TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 24 – 30 czerwca 2026 | nr 26 (4016)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

SENS ZAMIAST SENSACJI

Słowik: lekarz milioner i szpital bankrut

Leder: jak opowiedzieć świat na nowo

Broń AI: algorytm zdecyduje, kogo zabić

Fiedorczuk: Kohelet na letnie przesilenie

Festiwal Conrada: ogłaszamy program

JAK ŻYĆ OFFLINE

JUŻ CO DZIESIĄTY MŁODY POLAK POTRAFI SIĘ WYLOGOWAĆ

OLGA DRENDA | STR. 10-15

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

RAINBOW
LATO
JEDYNE
W TWOIM
RODZAJU
Lecąc na wakacje z Rainbow masz zawsze w cenie:
Bagaż rejestrowany i podręczny
Transfer lotnisko-hotel-lotnisko
Ubezpieczenie podstawowe
Opieka rezydenta
R.pl
Znajdź wyjazd idealnie dopasowany do Ciebie!
REKLAMA

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, ANNA GOC

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Lekarz milioner i szpital bankrut
PATRYK SŁOWIK

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

18 Tajne przez poufne
STEFAN SĘKOWSKI: *Czy Tusk zarządza lepiej spółkami zależnymi od państwa niż Morawiecki?*

22 Tęczowe okno pogodowe
MARTA GLANC: *Pierwsze związki jednopłciowe zaczynają działać w naszym systemie*

25 Wszystkie dni ojca
ROZMOWA Z JAKUBEM STEFAŃCZYKIEM, NIEWIDOMYM

■ ■ ROZMOWA

28 Jak opowiedzieć świat na nowo
ROZMOWA Z ANDRZEJEM LEDEREM, FILOZOFEM I PSYCHOTERAPEUTĄ

■ ■ ŚWIAT

34 Człowiek w pętli
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI: *Czy autonomiczne drony AI same już znajdują cele i zabijają ludzi?*

37 Hiszpański front narkowojny
AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z HISZPANII: *W Andaluzji trwa wyścig, którego stawką jest zdrowie Europy*

38 Doktor od twarzy
MIŁKA FIJAŁKOWSKA Z BEJRUTU: *Jest brytyjsko-palestyńskim chirurgiem plastycznym. Pracował w Iraku, Syrii, Jemenie, Libanie i Gazie*

41 Z pariasa mocarz
MAREK KĘSKRAWIEC: *Iran z wojny wychodzi silniejszy i może dalej spokojnie terroryzować własne społeczeństwo*

42 Ostatnia nadzieja Putina
FILIP RUDNIK: *Impas w negocjacjach z USA niecierpliwi Kreml. Czy Putinowi uda się znów wciągnąć Stany do rozmów ponad głowami Ukraińców i Europy?*

■ ■ WIARA

48 Tutaj, pod słońcem
JULIA FIEDORCZUK: *Kohelet to wiedział: wszystko jest tchnieniem. Także czerwiec z najdłuższym dniem w roku, który jutro zacznie się znów kurczyć*

52 Miłosierdzie drugiego sortu
EDWARD AUGUSTYN Z WILNA: *Trzy lata spędzone w Wilnie były najważniejsze w życiu Faustyny*

TEMAT TYGODNIKA

10
Jak żyć offline

OLGA DRENDA

Za sprawą cyfrowych narzędzi coraz więcej rzeczy robimy bezwiednie. Stajemy się w ten sposób bierni i przemęczeni, by nie powiedzieć: wyręczeni na śmierć. Ale ten proces da się odwrócić.

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

■ STRONY SPECJALNE ■

77 MAGAZYN CONRAD 02 NIEPOSŁUSZEŃSTWO

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ
33 OLGA DRENDA
45 WOJCIECH BONOWICZ
116 PAWEŁ BRAVO
122 TOMASZ STAWISZYŃSKI

GRAFIKA NA OKŁADCE:
PRZEMYSŁAW GAWLAS
I MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

REDAKTORKA PROWADZĄCA:
ANNA GOC

55 Zamek, nie twierdza
KS. JACEK PRUSAK SJ: *O tym, jak wejść w modlitwę, opowiada karmelita Mateusz Filipowski*

57 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ NAUKA

60 Czy tam ktoś jest?
PAWEŁ ORŁOWSKI, MICHAŁ BOLA: *Wbrew naszej fascynacji sztuczną inteligencją, świadomość może być na zawsze zarezerwowana dla żywego organizmu*

■ ■ Z ODDECHEM

66 Na kraniec świata
PATRYCJA BUKALSKA: *Mija 50 lat od triumfalnego powrotu pierwszej polskiej wyprawy antarktycznej*

■ ■ HISTORIA

72 Czerwcowy przełom
ŁUKASZ KAMIŃSKI: *To był najmniej dramatyczny z powojennych protestów. Ale zmienił wszystko*

■ ■ KULTURA

104 Bękartka
MAREK BIEŃCZYK: *Violette Leduc dosłownie wżerała się w materię słów, by w ten sposób wżerać się we własne istnienie, podsycać ogień*

108 Mistrz świata

AGATA GRZYBOWSKA

JULIUSZ PIELICHOWSKI: *Łukasz Żal jest dziś jednym z najbardziej rozchwytywanych operatorów filmowych*

112 Polecamy

114 Bez objawienia
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Dzień objawienia" Stevena Spielberga*

115 Poetka wolności
LEKTOR *o tomie Any Blandiany „Zapada we mnie cisza"*

■ ■ PSYCHE

118 Niech dorośli coś z tym zrobią
MAGDALENA BIGAJ: *Największym nieporozumieniem w debacie wokół tzw. zakazu mediów społecznościowych jest przekonanie, że chodzi o zakaz dla dzieci*

KS. ADAM

Boniecki: *Gdybyśmy się cofnęli*

Gdyby spadły bomby albo przyszła jakaś katastrofa i wszystkie nasze elektrownie diabli wzięli, czy byśmy potrafili żyć? Oczywiście, że byśmy potrafili. Nie zaraz, z trudem, ale przecież tak żyliśmy – i ja to jeszcze pamiętam. Były lampy karbidowe, były lampy naftowe, były świece. Gdyby wysiadły wszystkie urządzenia kanalizacyjne, gdyby woda przestała lecieć z kranów i gdyby nie płynęła w klozecie... Było i tak, i jakoś, ciężko, bo ciężko – ale żyliśmy. Gdyby nie było kolei albo były tylko nieliczne, jakoś byśmy się przemieszczali. Nie mówiąc o katastrofach takich urządzeń jak komputery, GPS-y, bankomaty i tak dalej.

Wymyślamy te sposoby ułatwienia sobie życia, oszczędzania czasu, lepszego docierania do wiadomości, wymyśliliśmy też sztuczną inteligencję, która zaczyna uzupełniać naszą powolną i niepewną inteligencję, roztaczając niewyobrażalne perspektywy. Oczywiście, jak wszystkie ludzkie wynalazki, perspektywy sztucznej inteligencji są nie tylko pozytywne. Oczywiście, jej twórcy – podobnie jak twórcy mediów społecznościowych, smartfonów itd. – robią wszystko, co w swojej mocy, żebyśmy z tych narzędzi korzystali coraz więcej i więcej, żebyśmy się od nich uzależnili. Widać jednak, że coraz więcej jest ludzi, którzy tę pułapkę widzą – i którzy potrafią z nowych narzędzi korzystać rozważnie i z umiarem. Piszemy o dobrych i złych

GRAŻYNA MAKARA

GRAŻYNA MAKARA

ANNA

Goc: *Offline i aspekt uzdrowiskowy*

Można powiedzieć, że jestem hedonistą – wróciły do mnie słowa Ireneusza Kani, gdy czytałam tekst **OLGI DRENDY** „Jak żyć offline". Znał 25 języków, choć twierdził, że nie ma do nich głowy. Przetłumaczył ponad sto książek, choć głównie tych, których sam był ciekaw. I – niezależnie od wieku – trenował przysiad ze sztangą, martwy ciąg i wyciskanie na ławeczce, bo wiedział, że bez dbałości o ciało trudno o zadowalający stan ducha.

Wszystko to *offline*. Zamiast smartfona, wolał telefon stacjonarny. Zamiast komputera, zeszyty i ołówki. Zamiast spędzać czas przed jakimkolwiek ekranem, wolał jeździć na rowerze albo słuchać muzyki. I choć był jednym z najintensywniej pracujących znanych mi ludzi, był jednocześnie jednym z najbardziej zadowolonych z tego, co robił.

Czy to kwestia pokolenia? Być może, ale i wyboru. – Był tylko jeden człowiek we współczesnej historii, który przewidywał, że wynalazki mogą obrócić się przeciwko człowiekowi. Był nim Lem – powtarzał. Wygląda jednak na to, że ludzi, którzy obawiają

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL
ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 71
SPRAWDŹ PROMOCYJNĄ OFERTĘ: PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

stronach cyfrowej rewolucji niemal co tydzień, także w tym numerze, więc ja chciałbym położyć akcent właśnie na tę rozwagę i umiar.

Narzędzi i systemów ułatwiających życie jest więc coraz więcej. Nie sądzę, żeby decyzja odwrócenia się od tego wszystkiego miała głębszy sens. Oczywiście, te systemy wymagają wysiłku poznawczego, na który nie wszystkich stać. Zorientować się w rozkładzie jazdy jest stosunkowo łatwo, poznanie możliwości komputera jest bardziej skomplikowane. Są też sfery, w których uznajemy wyższość instrumentów i nawet jeżeli z nich korzystamy, nie próbujemy zrozumieć systemu ich działania. Ważne, byśmy rozumieli siebie: widzieli, co nam robi np. nadmierne z nich korzystanie.

Istnieją oczywiście kontestatorzy nowoczesnych wynalazków. Ludzie, którzy świadomie ograniczają korzystanie z komputerów, telefonów komórkowych, samochodów oraz mnóstwa przedmiotów, które po prostu ułatwiają życie. Czy są szczęśliwsi od ludzi, którzy tych przedmiotów używają? Czy wybierając życie bardziej analogowe tracą czas, którego mogliby nie tracić? A może właśnie przeciwnie: coś odzyskują? Sprawdźmy, czytając tekst otwierający bieżące wydanie „Tygodnika”. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego”

się wpływu „wynalazków”, choć w innej perspektywie, bo na ich własne życie – przybywa. Pretekstem tekstu Drendy są najnowsze badania Narodowego Centrum Kultury, z których wynika, że co dziesiąty Polak unika bycia *online*. Tym ciekawsze, że w grupie tej wyróżnia się pokolenie osób od 18 do 24 lat. „Młodzi analogowcy” – bo tak nazwali ich badacze, pokazują, że da się żyć *offline*. I że może to być, mimo pozornych niewygód, znacznie bardziej rozwijające, a i przyjemne.

W tym kontekście warto też sięgnąć po tekst **MAGDALENY BIGAJ**, prezeski fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa, która pisze o nieporozumieniach debaty wokół tzw. zakazu mediów społecznościowych. I zadaje nam wszystkim spóźnione pytania: „Coraz wcześniej wręczaliśmy dzieciom smartfony, by »nie były wykluczone« (z czego?), cyfryzowaliśmy szkoły, by uczyły kompetencji przyszłości (jakich?), zapraszaliśmy do rozmaitych ciał doradczych przedstawicieli big techów, wierząc, że zostaniemy tygrysami gospodarki cyfrowej (dla czyich korzyści?)”.

Jeden z bohaterów tekstu Drendy przyznaje, że bycie *offline* ma też „aspekt uzdrowiskowy”. Tym bardziej polecam, by czas offline’u spędzić z tym wydaniem, które najlepiej czytać równolegle z książką „Duszność” Violette Leduc i tekstem o pisarce **MARKA BIEŃCZYKA**. ©℗

Anna Goc, dziennikarka i redaktorka. Autorka książek „Boniecki. Rozmowy o życiu”, „Głuszy”, za którą otrzymała m.in. Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU”

MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Rozdanie świadectw. Jaka powinna być polska szkoła, żeby dzieci chciały do niej chodzić.

ANNA KORYTOWSKA
Pod rękę z nałogowcem. Osoby współuzależnione potrzebują zadbać o siebie.

MICHAŁ TOMCZUK
Krzątactwo w epoce scrollowania. Kolejne pokolenia odkrywają pisarstwo Jolanty Brach-Czainy.

MACIEJ JARKOWIEC
Ameryka, 250 lat mitu. Westerny, rdzenni i... Taylor Swift, Lincoln, Reagan i... Trump: co zostało z naszego marzenia?

MONTAŻ „TP”

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

OBRAZ TYGODNIA

15–21 CZERWCA 2026

KAROL NAWROCKI zdecydował o odebraniu Wołodymyrowi Zełenskiemu Orderu Orła Białego w związku z nadaniem przez prezydenta Ukrainy jednostce wojskowej imienia „Bohaterów UPA", a Zełenski odesłał order do Warszawy przez firmę kurierską. „Brnięcie w konflikt polityków w Polsce i w Ukrainie to strategiczny błąd, na którym stracą obie strony" – ocenił Donald Tusk, dodając, że w rozmowach z europejskimi partnerami stara się „minimalizować straty i obniżać napięcie". ■■■ **PRZYWÓDCY PAŃSTW G7** (w tym Donald Trump) zadeklarowali dalsze wsparcie dla Ukrainy i zwiększanie presji na gospodarkę rosyjską. W końcowym komunikacie szczytu we Francji znalazła się ocena, że Kijów osiągnął postęp na polu walki. ■■■ **MIĘDZY IRANEM A USA** wciąż bez ostatecznego porozumienia, choć na bazie prowizorycznej umowy przez cieśninę Ormuz znów płyną transporty z ropą – po kilkanaście milionów baryłek dziennie. Negocjacje w Szwajcarii prowadzi wiceprezydent J.D. Vance, a prezydent Trump w tym czasie wygraża Irańczykom w mediach społecznościowych i tradycyjnych (w rozmowie z Fox News mówił, że „rozwali ten kraj w cholerę"), być może dlatego, iż prezydent Iranu deklaruje, że jego kraj nie zrezygnuje ze wzbogacania uranu. ■■■ **10 LAT PO BREXICIE** sytuacja polityczna w Wlk. Brytanii daleka jest od stabilizacji: z funkcji premiera ustąpił Keir Starmer, którego ma zastąpić Andy Burnham, niedawny burmistrz hrabstwa Wielki Manchester. ■■■ **NA SZCZYCIE UE** dyskutowano kwestie nielegalnej migracji (przywódcy 19 państw, w tym premierzy Polski, Włoch i Danii, zaapelowali o przyspieszenie działań na rzecz jej ograniczenia, np. tworzenie ośrodków dla migrantów poza terytorium Unii) i kolejnego budżetu (kanclerz Niemiec ocenił, że przedłożona przez Komisję Europejską propozycja jest „abstrakcyjnie wysoka", i oznajmił, że Berlin nie zgodzi się na dalsze zadłużanie wspólnoty). ■■■ **MINISTROWIE OBRONY NATO** potwierdzili gotowość zwiększenia wydatków na obronność do poziomu 5 proc. PKB do 2035 r., a ministrowie z Polski i Niemiec podpisali umowę zacieśniającą współpracę militarną obu państw. ■■■ **NIEMIECKA POLICJA** zatrzymała Roberta Bąkiewicza i grupę członków Ruchu Obrony Granic, którzy wbrew zakazom usiłowali umieścić krzyż przy tymczasowym pomniku w centrum Berlina, upamiętniającym polskie ofiary II wojny światowej. Sprawa wywołała emocje w kraju; Przemysław Czarnek mówił o „niemieckich bojówkach w mundurach", które „brutalnie spacyfikowały i pobiły polskich patriotów", Donald Tusk nazwał akcję Bąkiewicza „ruchawką". ■■■ **1,6 MLN ZŁ ZAROBIŁ** – według portalu Zero.pl – w warszawskim Szpitalu Południowym radny KO i lekarz Dawid Kacprzyk, który zorganizował w placówce szybką ścieżkę i salonik VIP dla polityków swojej partii. Nagłośnienie informacji doprowadziło do zmian we władzach szpitala i usunięcia lekarza z KO. ■■■ **ORDERY BYWAJĄ** również wręczane: Robert Makłowicz otrzymał Order Chorwackiej Plecionki.

RADEK PIETRUSZKA / PAP

LEKARZ MILIONER I SZPITAL BANKRUT

POWYŻEJ: Poseł Prawa i Sprawiedliwości Łukasz Kmita po konferencji prasowej przed Warszawskim Szpitalem Południowym, w którym pracował Dawid Kacprzyk. 17 czerwca 2026 r.

Polski system ochrony zdrowia jest w jeszcze gorszej kondycji, niż wszystkim się wydawało. Skoro jednak upadliśmy tak nisko, nigdy nie było równie sprzyjających warunków do przeprowadzenia głębokiej reformy.

PATRYK SŁOWIK

28-letni Dawid Kacprzyk, młody lekarz i polityk partii rządzącej, zarobił w 2025 r. 1,6 mln zł. Dokonał tego w trzech publicznych szpitalach i jednej publicznej przychodni. Szkopuł w tym, że Kacprzyka często na dyżurach nie było. A w Warszawskim Szpitalu Południowym, gdzie początkujący medyk pełnił już funkcję ko-

Kieszeń bez dna

WEDŁUG GUS suma prywatnych i publicznych wydatków na ochronę zdrowia w 2024 r. (kolejny rok jest w trakcie rozliczeń) wyniosła 293,61 mld zł, czyli aż 8,1 proc. PKB. W ciągu roku zwiększyliśmy je o 46,9 mld zł, czyli o 19,1 proc. W raporcie o wiele mówiącej nazwie Narodowy Rachunek Zdrowia widać, że tempo, w jakim rosną wydatki prywatne (w 2024 r. 64,5 mld zł), jest zbliżone do dynamiki wzrostu wydatków publicznych. Już to jasno pokazuje, że samo zwiększenie finansowania ochrony zdrowia z budżetu nie poprawia dostępności usług medycznych. Tylko między rokiem 2023 a 2024 kwota bezpośrednich polskich wydatków na lekarzy wzrosła z poziomu będącego równowartością 1,1 PKB do 1,3 PKB. Obowiązkowe składki zdrowotne stanowią obecnie zaledwie 65,8 proc. wszystkich polskich wydatków na zdrowie. Kolejne 12 proc. to wydatki samorządowe i państwowe szczebla centralnego. W tegorocznym budżecie założono, że do NFZ państwo dopłaci 26 mld zł. W przyszłym roku dotacja na ten cel wyniesie ok. 35 mld zł. ©℗ MR

ordynatora szpitalnego oddziału ratunkowego, stworzono nadzwyczajną ścieżkę przyjęć dla polityków i ich rodzin (bardziej szczegółowo opisałem tę sprawę na portalu Zero).

NIEPRZEJRZYSTY SYSTEM | Sprawa Kacprzyka ma swój ciężar polityczny, ale wywołała też dyskusję o zarobkach lekarzy. Szybko się okazało, że wynagrodzenia w wysokości ponad 100 tys. zł miesięcznie może mieć ponad 5 tys. osób pracujących w tym zawodzie. Jeszcze pół roku temu rządzący, w tym przedstawiciele Ministerstwa Zdrowia, mówili o kilkuset. Co ciekawe, dokładnych statystyk nikt nie zna, bo państwo wciąż nie posiada mechanizmu analizy zarobków lekarskich.

Media zaczęły opisywać inne przypadki. Przykładowo: ortopeda z Grójca jednocześnie kieruje dwoma szpitalami i ma w tym czasie przyjmować dziesiątki pacjentów dziennie. Skutek? Zarobił ponad 2,5 mln zł w ubiegłym roku. Niestety, oba szpitale przynoszą znaczne straty, a jeden może niebawem zostać zamknięty.

Bynajmniej nie chcę stać się drugim Ludwikiem Dornem. Nie będę nawoływał: „pokaż, lekarzu, co masz w garażu”, nie będę wypominał, że niektórzy medycy jedzą kanapki z kawiorem. Nie chodzi mi o szczucie. Ale faktem jest, że w kraju, w którym publiczne szpitale toną w długach, pacjenci miesiącami czekają na badania, a pielęgniarki i ratownicy słyszą od dyrektorów, że „nie ma pieniędzy”, takie kwoty działają jak siarczysty policzek. Tym bardziej że w wielu szpitalach wynagrodzenia pochłaniają przytłaczającą część budżetów, a kontrakty lekarskie należą do najtrudniejszych do opanowania kosztów.

Państwo zbudowało na tyle nieprzejrzysty system, że dopiero przypadkowe ujawnienie majątku osoby pełniącej funkcję publiczną (i zainteresowanie tym mediów) pozwala dojrzeć, jak dzielone są kawałki tortu. Część medyków dostaje pieniądze po prostu przyzwoite. A niektórzy dostają miliony.

PRZECIEŻ RYNEK WYCENIŁ | Polscy lekarze przez lata słusznie protestowali przeciw upokarzającym warunkom pracy: kolejkom, niedoborom kadrowym i pogardzie polityków. Gdy dekadę temu młodzi medycy urządzali protest głodowy, trzymałem za nich kciuki.

Mam też wśród znajomych wielu lekarzy. Widzę, że znaczna część z nich ciężko pracuje i zasługuje na każdą wypracowaną złotówkę. Kłopot zaczyna się wtedy, gdy etos służby – tak, bycie lekarzem to forma służby społeczeństwu – zostaje zastąpiony maksymalizacją przychodu. A solidarność zawodowa skutkuje milczeniem wobec patologii.

Zasada „rynek wycenił” brzmi gorzko w systemie finansowanym ze składek ludzi, którzy coraz częściej leczą się prywatnie, bo publicznie nie dają rady doczekać wizyty.

REFORMA CZY KOLEJNE UDAWANIE | Afera związana z młodym lekarzem, który jeszcze chwilę temu należał do partii rządzącej, jest druzgocąca dla ekipy Donalda Tuska. Zarazem stanowi doskonałą okazję do reformowania systemu. Do wprowadzenia kontroli nad zarobkami, do uczciwszego dzielenia tortu, do ograniczenia corocznych podwyżek, które dziś wynikają z prawa, a które nie są już potrzebne, bo sytuacja finansowa medyków na przestrzeni ostatnich kilku lat istotnie się poprawiła.

Poza samym lekarskim samorządem zawodowym nikt nie sprzeciwi się zmianom. Prezydent zapewne podpisze ustawę, społeczeństwo to poprze. Przykładowo można by wprowadzić ewidencję łącznych wynagrodzeń z publicznych placówek, jawne zasady kontraktów kierowniczych i limit dyżurów (czy ktokolwiek wierzy, że lekarz spędza na nich ciągiem 72 albo 96 godzin; a jeśli tak – czy nie jest to niebezpieczne dla pacjentów?).

Równocześnie mamy prawo oczekiwać, że reforma dotknie samych polityków i wpłynie na ich podejście do placówek ochrony zdrowia. Niedawno, przy okazji sprawy Jacka Protasiewicza (związany z PSL, za to niemający w przeszłości związków z ochroną zdrowia, został członkiem zarządu szpitala powiatowego w Lipnie; po medialnym nagłośnieniu sprawy odwołano go ze stanowiska), pisałem, że szpitale są od ratowania ludzi. Nie powinny być natomiast od ratowania podupadłych politycznych karier. Tymczasem rządzący – niezależnie od nazwy partii – traktują lecznice jako miejsce do podreperowania portfela, ponadpartyjnie trafiając do zarządów i rad nadzorczych publicznych szpitali oraz przychodni.

Być może nawoływanie do zmiany, w tym zmiany, która ograniczy wpływy polityków, to głos pięknoducha. Ale co nam pozostało poza wiarą, że może być lepiej? ©

Autor jest redaktorem naczelnym portalu Zero.pl

Na oparach

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Wyobraźmy sobie dziesięć osób siedzących w pokoju nauczycielskim – i że ta dziesiątka jest reprezentatywna dla ponad pół miliona polskich pedagogów. Czworo z nich (42 proc.) źle sypia; pięcioro jest przygniecionych stresem; sześcioro (64 proc.) chronicznie zmęczonych, przy czym aż ośmioro (82 proc.) bywa przemęczonych jeszcze przed wyjściem do pracy.

Nie wiadomo, co w wynikach ostatniego, reprezentatywnego badania grupy prawie 1800 polskich nauczycieli, przygotowanego przez pedagogów z UW pod kierownictwem prof. Małgorzaty Żytko, jest bardziej niepokojące: czy owe liczby, czy fakt, że wskaźniki te trudno – np. za sprawą urlopu – zniwelować. Stres nauczycielski, czytamy w raporcie, ma bowiem charakter systemowy, „stał się codziennością na tyle oswojoną, że bywa traktowany jako swoista, choć fałszywa norma".

– Te liczby mówią m.in. o niemożności rozdzielenia życia prywatnego od zawodowego – mówi „Tygodnikowi" prof. Żytko. – Mówią też o nadmiarze biurokracji, trudnych relacjach z rodzicami, braku uznania i docenienia społecznego tego zawodu. Wskazują również negatywne elementy kultury pracy, w ramach której dyrektor może dzwonić do nauczycielki w sobotę z prośbą, by opublikowała coś na facebookowym profilu szkoły.

W badaniach jest i odrobina światła. Co najmniej siódemka z naszej dziesiątki czerpie radość i sens z pracy – 76 proc. widzi w niej pozytywne wyzwania, a 77 proc. nowe i interesujące strony. Nauczyciele nie zgubili powołania – czytamy w raporcie – ale brak im sił, by je realizować, bo pracują na rezerwach.

„I odpocząć. Odpocząć za wszelką cenę!" – mówi rozpaczliwie bohater kultowego „Dnia świra", sfrustrowany polonista, ale odpoczynek nie będzie mu dany. Pytana, jak go osiągnąć mimo systemowych ograniczeń, prof. Żytko odradza podczas wakacji pracę przypominającą tę szkolną (np. kolonie) i przebywanie w hałasie. Za to doradza ciszę, a także przyjemności i hobby, na które w roku szkolnym brakowało czasu.

Tak naprawdę jednak, dodaje pedagożka, nie będzie wypoczętych i zdrowych nauczycieli bez zmiany systemu. – Przeorganizujmy przestrzenie szkół, bo są już miejsca ciszy dla uczniów, ale rzadko dyrektorzy budują podobne dla nauczycieli – radzi prof. Żytko. – Ograniczmy biurokrację, która w tej chwili jest nastawiona na kontrolę, a nie wspieranie. Zapewnijmy nauczycielom autonomię i prawną ochronę. Odpolitycznijmy edukację, bo nauczyciele są zestresowani nieprzewidywalnością – w mało którym kraju da się zlikwidować gimnazja albo ograniczyć zadania domowe jednym ministerialnym rozporządzeniem. I wprowadźmy urlop regeneracyjny, bo ten istniejący, „dla poratowania zdrowia", zakłada przecież, że nauczycielowi można pomóc dopiero wtedy, gdy już zachoruje. ©℗

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Lekcja języka polskiego w szkole podstawowej

Order i immunitet

WOJCIECH PIĘCIAK

Minął miesiąc od 26 maja, gdy Wołodymyr Zełenski podpisał dekret nadający jednostce sił specjalnych imię „Bohaterów UPA" – i widać już, że osiągnął cel, który chciał nim uzyskać. Jeszcze miesiąc temu wielu moich ukraińskich znajomych – podobnie jak wielu liderów opinii – było gotowych „pognać het" Zełenskiego. Ci pierwsi nie gryźli się w język: widzieliby go za kratami za niewątpliwy już, jak przekonywali, udział w „schemacie" korupcyjnym, a także za wcześniejsze krycie skorumpowanych kumpli.

Dziś ci sami ludzi stoją za Zełenskim (nawet jeśli przez zaciśnięte zęby), zwłaszcza po pozbawieniu go Orderu Orła Białego, co odebrano jako upokorzenie także kraju. Widać to w sondażach: w maju Zełenski dołował i większość chciała, by po wojnie zniknął, a dziś znów ma większość (na ile trwale, to pytanie ważne, ale tu wtórne). Zresztą mam wrażenie, że u wielu niekoniecznie jest to odruch solidarności, lecz przekory – wobec Polaków, których gniew miałby być tożsamy z narzucaniem im polskiej interpretacji historii (gdy w istocie to interpretacja uniwersalna: zbrodnia to zbrodnia, czy Wołyń, czy Bucza).

Zełenski zyskał rodzaj „immunitetu". Daliśmy mu go pospołu: Polacy i Ukraińcy. My nawet nie tyle naszym gniewem (zrozumiałym), co właśnie tym orderem. Decyzję prezydenta Nawrockiego można zrozumieć na poziomie emocji, ale ciężko wskazać jej zysk polityczny dla Polski. Jest za to wrażenie, że Nawrocki zagrał w scenariuszu pisanym przez Zełenskiego. I tak oto ze sfery publicznej zniknął „Wowa": to imię pada na taśmach ujawnionych w maju przez ukraińskie media. Pochodzące z podsłuchów antykorupcyjnych służb, pokazują, jak ludzie wokół Zełenskiego „szyli" państwo („Wowa" miałby być wśród beneficjentów). Także w maju zarzuty usłyszał Andrij Jermak, jego prawa ręka. Kolejne takie przecieki i można by sobie wyobrazić demonstracje pod hasłem „Zełenski het!".

Jest zresztą dowód, że podejmując 26 maja decyzję, Zełenski świetnie wiedział, co robi. Na początku 2022 r. obiecał on Andrzejowi Dudzie – podczas spotkań, na których ustalono, że w razie czego Polska da Ukrainie ciężką broń, by mobilizowani rezerwiści mieli z czym ruszyć w bój – iż nie będzie nadawać jednostkom na patronów ludzi i organizacji winnych zbrodni na polskich cywilach (opisuje to Jakub Kumoch w tekście w kwartalniku „Bezpieczeństwo Narodowe" nr 2/2025; jest on dostępny *online*).

To informacja dla tych, którzy wciąż wierzą, że Zełenski spełnił tylko prośbę żołnierzy. Gdyby istotnie chciał spełnić prośby tych, których znam, to powinien zrezygnować ze startu w wyborach po wojnie. Swoje miejsce w historii Ukrainy już ma. ©℗

Mózg lubi papier. Na ekranie czyta się trudniej

GORGEV / SHUTTERSTOCK

NAUKA ▪ Gdyby nasz mózg działał jak komputer, to nie robiłoby mu różnicy, w jaki sposób wprowadzamy do niego informacje. Komputer dane przetwarza przecież tak samo, niezależnie od tego, na jakim nośniku zostały mu dostarczone. Z mózgiem jest inaczej – bo np. dla zapamiętywania treści znaczenie ma to, czy czytamy tekst zapisany na papierze, czy wyświetlony na ekranie.

Taką przewagę papieru nad elektroniką pokazało kilka metaanaliz, w których brano pod uwagę wyniki uzyskane w wielu niezależnych eksperymentach. Np. w 2018 r. Pablo Delgado z Uniwersytetu w Walencji i współpracownicy przeanalizowali badania z lat 2000-2017, w których wzięło udział łącznie ponad 170 tys. osób. Okazało się, że badani lepiej rozumieją treść materiałów zapisanych na papierze zwłaszcza wtedy, gdy czytają teksty informacyjne lub mieszankę tekstów informacyjnych i narracyjnych (w przypadku tych wyłącznie narracyjnych przewaga papieru zanikała), a także przy ograniczonym czasie na lekturę. Co ciekawe, w eksperymentach z ostatnich lat efekt papieru był wyższy. Podważa to przekonanie, że różnice między czytaniem na papierze i na ekranie będą się zacierać, gdy czytelnicy coraz bardziej przyzwyczają się do ekranów. Wygląda na to, że jest odwrotnie!

Rok później inna metaanaliza pokazała, że czytelnicy „papierowi" bardziej precyzyjnie oceniają swoje wyniki. Są więc nie tylko bardziej wydajni w lekturze, ale i bardziej świadomi tego, jak dużo rozumieją.

Powtarzające się wyniki takich badań skłoniły Keitę Umejimę z Uniwersytetu Tokijskiego do zbadania, w jaki sposób czytanie na tablecie i na papierze angażuje mózg.

W opisanym właśnie w „PLOS One" eksperymencie japońskiego neurobiologa wzięło udział 25 studentów i doktorantów, których zadaniem była lektura mangi „Kuu Neru Futari Sumu Futari". Ten komiks opowiada każdą historię dwukrotnie – z perspektywy dwóch osób. Uczestnicy badania czytali pierwszą część na papierze lub tablecie, a drugą – w skanerze do rezonansu magnetycznego (na ekranie), potem odpowiadali na pytania. Badaczy interesowało to, czy sposób czytania pierwszej części wpłynie na funkcjonowanie mózgu przy dalszej lekturze i pytaniach. Co się okazało?

Po pierwsze, choć liczba poprawnych odpowiedzi była podobna dla obu grup, to jednak uczestnicy „tabletowi" potrzebowali więcej czasu na odpowiedzi. Po drugie, u badanych z grupy „papierowej" mózg wykazywał niższą aktywność w pewnych obszarach związanych z przetwarzaniem języka (lewa kora przedmotoryczna i lewy zakręt czołowy dolny) podczas lektury drugiej części tekstu i przy odpowiedziach na pytania, co badacze zinterpretowali jako wskaźnik mniejszego wysiłku poznawczego potrzebnego do integracji informacji i zrozumienia tekstu. Aby równie dobrze śledzić historię, czytelnicy „tabletowi" musieli bardziej wysilać mózgi.

Badacze spekulują, że „przewaga papieru" może brać się z kilku czynników – m.in. stąd, że papier, który zapewnia stały układ stron, daje silniejsze wskazówki przestrzenne niż tablet i gwarantuje ciągłość percepcyjną, a także umożliwia fizyczne poczucie postępu lektury. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

BARTOSZ MINKIEWICZ

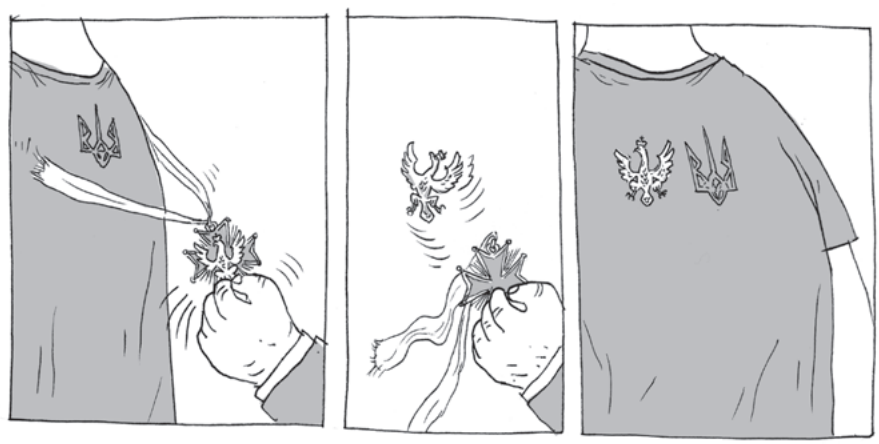

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

JAK ŻYĆ OFFLINE

Za sprawą cyfrowych narzędzi coraz więcej rzeczy robimy bezwiednie. Stajemy się w ten sposób bierni i przemęczeni, by nie powiedzieć: wyręczeni na śmierć. Ale ten proces da się odwrócić.

TEKST OLGA DRENDA

ILUSTRACJE PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP”

Michał urodził się na początku lat osiemdziesiątych. W czasach szkolnych był dobry w biegach na orientację. Umiał nieźle liczyć w pamięci, choć czasem zacinał się na mnożeniu 7 razy 8. Studia skończył z pełną szafką zapisanych zeszytów i pobazgranych notatkami kserówek, choć jego pismo ręczne zawsze przypominało nieporadne wprawki ucznia podstawówki.

Telefony i maile całkiem wielu osób znał na pamięć, nie mówiąc o adresach wraz z kodem pocztowym. Znajomi zazdrościli mu opanowania, bo faktycznie rzadko kiedy wyprowadzały go z równowagi poranne korki czy trochę „lagujący” (spowalniający) komputer – zawsze mógł posłuchać sobie muzyki albo pobawić się w głupie rysunki na kartce.

Tak było jeszcze dziesięć lat temu.

Milenialsi: czy smartfon coś im odebrał

Dzisiaj Michał korzysta z tych samych wygodnych rozwiązań, co większość z nas: ma smartfona w kieszeni, nawigację w aucie, czasem korzysta z czatbotów, ale bez przesady. Ostatnio jednak zorientował się, że wszystko stało się dla niego za wolne, nieporęczne, pracochłonne. Nie umiał sobie przypomnieć, kiedy ostatnio chciało mu się pogłówkować nad jakimś prostym problemem.

Chcąc wytłumaczyć komuś drogę w okolicy, którą przecież nieźle znał, musiał się sporo namęczyć bez pomocy mapy w telefonie. Prosty rachunek procentowy w głowie wymagał takich akrobacji umysłowych, że zrobiło mu się wstyd. Nie pamiętał, kiedy czekał na coś bez przykrego zniecierpliwienia.

Czuł, że wszystko w jego życiu jest teoretycznie wygodniejsze, ale on sam coraz mniej pamięta i umie, a do tego wcale nie czuje się specjalnie lżej. Jakby podpisał kuszącą umowę na wyręczanie w codziennych zadaniach, a może wręcz rozpieszczanie wewnętrznego lenia w zamian za samodzielność i umiejętności, które wcześniej nie sprawiały mu problemu. Umowa opłacała się coraz mniej, a nawet podejrzanie przypominała cyrograf.

Zetki: internet był od zawsze

Córka Michała, Maja, przyszła na świat już jako obywatelka nie tylko Polski i Unii Europejskiej, ale także świata cyfrowego. Towarzyszką jej dzieciństwa była Świnka Peppa z ekranu tableta, a potem ulubieni youtuberzy. Nigdy nie korzystała z papierowej mapy, wycieczki z tatą planowali już, wbijając piny w mapę Google’a i wybierając optymalną trasę.

Ma czasem tendencję do bezkrytycznej wiary w to, co usłyszy na wideoblogach, i do chodzenia na skróty – czatbot robił jej ściągi i streszczał lektury.

Opanowanie gier, aplikacji, edycji grafik i montowania filmów przychodzi jej w lot.

Część lat szkolnych Mai przypadła na *lockdown*, dlatego jej naturalnym środowiskiem kontaktów z rówieśnikami jest internet. Tam udziela się w społecznościach fanów k-popu, z którymi widuje się potem na zlotach. Ale też właśnie internet zmotywował ją do zdobywania i dzielenia się umiejętnościami bardzo *offline*, wymagającymi cierpliwości, precyzji i pracy rąk: tworzeniem kostiumów, makijaży, kaligrafią w bullet journalu, czyli ozdobnym osobistym organizerze. Ostatnio umawia się ze znajomymi na wspólne rysowanie na wideo.

Efekt Google'a: pamiętasz, czego szukałeś, ale nie co znalazłeś

Michał i Maja to postaci powołane do życia na potrzeby tego artykułu, ale sklejone z jak najbardziej realnych doświadczeń usłyszanych w rozmowach z najprawdziwszymi ludźmi.

Wszystkie pokolenia odczuwają konsekwencje nadmiernego odciążenia poznawczego (*cognitive offloading*), ale w nieco inny sposób. Odciążenie poznawcze to praktyka stosowana jeszcze przed wynalezieniem komputerów i prawdopodobnie stosowana przez każdego – chodzi o wszelkie sposoby, które pozwalają delegować nieco wysiłku umysłowego na zewnątrz: karteczki *post-it* i kalendarze, które pomagają pamiętać, kalkulatory wyręczające w liczeniu. Prosiaczek z „Misia Uszatka" wiązał na chusteczce węzełek, gdy chciał sobie przypomnieć o jakiejś ważnej sprawie. Stosowana z umiarem, praktyka ta pozwala uwolnić możliwości umysłu, by móc skupić się na bardziej złożonych sprawach i nie rozdrabniać się nad problemami rutynowymi.

Im bardziej jednak polegamy na takich pomocach, tym bardziej rośnie zagrożenie, że zamiast działać jak brzytwa, umysł się przytępi i rozleniwi. Już w 2011 r. Betsy Sparrow, Jenny Liu i Daniel Wegner z Uniwersytetu Harvarda opisali „efekt Google", czyli zapamiętywanie, czego szukaliśmy w wyszukiwarce, ale już nie samej odpowiedzi.

Obecnie w odniesieniu do utraty umiejętności poznawczych używa się czasem pożyczonego z ekonomii, złowrogo brzmiącego terminu „deskilling", czyli spadek kwalifikacji. W kontekście przemysłu używano go do sytuacji, gdy wykwalifikowanego pracownika firma zastępowała niezawodowym operatorem maszyny, co oznaczało osłabienie pozycji tego pierwszego. Dziś natomiast, gdy redukujemy cały wysiłek, pozwalając się w pełni wyręczać urządzeniom, robimy to sobie sami.

Cyfrowa amnezja: gdy wiedza rdzewieje

Starsi – ci, którzy zdobyli umiejętności analogowe, a potem wykonali skok na główkę w cyfrową rzeczywistość – mierzą się ze specyficzną odmianą atrofii: zanikiem kompetencji poznawczych zbliżonym do osłabienia mięśni po bardzo długim bezruchu. Zjawisko to upowszechniło się na tyle, że doczekało się złowrogo (i słusznie) brzmiącego określenia „cyfrowa amnezja".

Wiedza nie znika zupełnie, ale mocno rdzewieje i powrót do dawnej wprawy bywa frustrujący, bo przypomina nam o własnych zaniedbaniach. To do nich mógłby swoje słowa kierować główny bohater wydanej w 2014 r. powieści „Ślepnąc od świateł" Jakuba Żulczyka: „Wyjąłeś sobie wszystko z głowy i włożyłeś w tablet, w komputer, w chmurę, w cokolwiek (...) Co się stanie, jak pamięć zewnętrzna się zepsuje?".

Młodsi, „tubylcy cyfrowi", często stoją przed wyzwaniem trudniejszym, ale być może bardziej ekscytującym: nauki czegoś zupełnie od zera. Nie muszą sobie czegoś przypominać czy robić kroku wstecz, bo pewnych rzeczy, oczywistych jeszcze dla pokolenia ich rodziców, czasami się po prostu nie uczyli. Z badań szwajcarskiego socjologa i analityka behawioralnego Michaela Gerlicha wynika, że najmłodsi użytkownicy są najbardziej narażeni na zależność od wspomagania technologicznego, a co za tym idzie, osłabienie zdolności do samodzielnego i krytycznego myślenia.

Cyfrowy impuls: do realu da się wrócić

Nie jest jednak powiedziane, że znajdujemy się na jednokierunkowej drodze, co widać także w wynikach badań. Przykładowo, projektant i wykładowca George Hajian dzielił się swoimi wnioskami z zajęć ze studentami, którzy od początku pracowali w środowisku cyfrowym. Im więcej zlecał zadań wymagających ręcznej pracy, tym dokładniejsze i lepsze stawały się ich projekty wykonane już przy pomocy komputerów.

Bywa też, że to świat cyfrowy dostarcza impulsu, by wyjść poza jego granice, zachęcając do udziału w społecznościach zainteresowań. Miewają być może dla wielu nowomodne nazwy, które pozwalają odnaleźć się nawzajem w internecie, ale kolejnym krokiem jest wyjście do tzw. realu: *birdwatching* (ptasiarstwo, czyli obserwowanie i rozpoznawanie ptaków), *urban sketching* (rysowanie w plenerze).

Podczas najbliższej podróży pociągiem zachęcam do dyskretnego rozejrzenia się dookoła: wielu pasażerów będzie siedzieć z nosami w telefonach, ale ci z krzyżówką czy robótką prawdopodobnie ↦

↦ będą należeć do pokolenia dwudziestolatków (a do nowego hobby prawdopodobnie zachęcił ich internet).

Analogowe umiejętności są, owszem, chronologicznie starsze, ale dla ludzi, którzy od urodzenia żyją w środowisku cyfrowym, bywają zupełną nowością. Niektórzy podejmują się ich opanowania.

Amerykański eksperyment: życie bez telefonu

Jeremy Rellosa, dziennikarz „New York Magazine", postanowił przez miesiąc prowadzić swoje zwyczajne życie – z pracą, podróżami, spotkaniami towarzyskimi – ale bez telefonu komórkowego. Przypominało to wycieczkę do świata sprzed 20 lat: Rellosa zamontował sobie w domu telefon stacjonarny i prosił rozmówców o zostawienie wiadomości na automatycznej sekretarce, muzyki słuchał z odtwarzacza MP3 z radiem, papierowe mapy czy dowody rezerwacji drukował z komputera, zdjęcia robił samodzielnym aparatem fotograficznym.

Największym wyzwaniem okazało się dla niego to, że nie może na bieżąco zmieniać planów, a brak telefonu wymusił na nim punktualność. Największym zaskoczeniem – przypadkowe spotkanie znajomego na drugim krańcu Stanów. Okazało się, że obaj zostali zaproszeni na ten sam ślub. Dla milenialsa to wszystko może brzmieć jak małe piwo, ale Rellosa, przedstawiciel generacji Z, musiał już sam opracować sobie te strategie („nigdy nie umawiałem się z nikim na randkę przez e-mail", przyznał szczerze).

Analogowa podróż: najważniejsze są mapy

Szczęśliwym zrządzeniem losu akurat kiedy zaczynam pracę nad tym artykułem, w luźnej rozmowie mój dobry kolega zapowiada, że wybiera się na pierwszą w życiu podróż z papierową mapą. Ma dobrego przewodnika – to urodzony w roku 2000 Bartek Szabat, muzyk zespołu Poczta Polska, który regularnie wciąga znajomych w „analogowe" wyprawy.

– Przede wszystkim zasadą jest, że nie bierzemy smartfonów. Na wszystkie funkcje, które się nam gromadzą w jednym małym, płaskim urządzonku elektronicznym, musimy znaleźć ekwiwalenty analogowe, więc bagaż trochę się rozrasta. Mamy jeden telefon w bagażniku, jakąś starą „cegłę" na wypadek sytuacji awaryjnych. Jedziemy starym samochodem, mamy mapę, aparat fotograficzny, dwie walizki kaset magnetofonowych, starą japońską kamerkę Victor, którą kiedyś kupiłem za 20 złotych – opowiada Bartek. – Zaczęło się od tego, że kupiłem starą mapę Czech i Słowacji z 1997 r. Budują nowe autostrady, ale starych przecież nie zaorają i nie obsadzą polem, prawda? A skoro i tak nie zamierzałem jeździć po nowych drogach, bo to nudne, to uznałem, że stare mapy wystarczą. Jeździmy bez celu, zazwyczaj zaczynamy od słowackiej granicy, bo jestem z południa. Tankujemy furę do pełna i po prostu jedziemy, aż się paliwo skończy. Jak się skończy, to tankujemy znowu i wracamy do Polski.

Najważniejsze są mapy. Bartek przyznaje, że od dziecka jest „mapiarzem", a jeżdżąc z rodzicami samochodem, uwielbiał śledzić i zapamiętywać trasy. Żartuje, że dzięki temu ma naturalny kompas w głowie, a może wręcz mentalną mapkę w prawym dolnym rogu ekranu, jak w grze „Need for Speed". Wszyscy dotychczasowi towarzysze podróży byli „pokoleniem GPS", zupełnymi nowicjuszami w kwestii map.

Orientacja przestrzenna: kiedy warto się zgubić

– Na początku myślałem, że będzie to wyglądać tak, że osoba na miejscu pasażera będzie rozkładała mapę na pół przedniej szyby, że będziemy się gubić. Wszyscy jakoś szybko to łapią i potrafią sobie ukuć mniej więcej wyobraźnię przestrzenną, choć oczywiście robimy oberki, czyli zawracamy – śmieje się Bartek i dodaje, że nauka orientacji w przestrzeni i radzenia sobie w podróży w ogóle przychodzi uczestnikom zadziwiająco naturalnie.

– Jak mówiłem znajomym na uczelni, jaki mam plan przed pierwszą taką podróżą, to wszyscy mówili, że zwariowałem, że zginiemy jak ciotka w Czechach.

REKLAMA

Okazało się, że wszystkie trudności są pozorne. Po prostu mamy oczy dookoła głowy, rozglądamy się, czy gdzieś jest znak na stację benzynową, na aptekę, na noclegi. Jeśli nie znajdziemy czegoś w wiosce, kierujemy się na najbliższe miasto. Taka jazda na znaki jest trochę jak gra w podchody. To też prostsze, luźniejsze i przyjemniejsze dla umysłu – opowiada muzyk.

– Od czasu, kiedy jeżdżę – dodaje – przestałem w ogóle szukać w internecie, gdzie można coś dobrego zjeść, tylko rozglądam się po okolicy, wybieram losowo, sprawdzam organoleptycznie. Te pozornie wygodne rzeczy, sprawdzanie wszystkiego w smartfonie, wybieranie bez końca, porównywanie, są w rzeczywistości bardzo angażujące.

Aspekt uzdrowiskowy: w poszukiwaniu naturalnych emocji

Wyprawy bez smartfona miały z początku być tylko przygodą z elementem kontrolowanego ryzyka. Okazało się, że mają, jak mówi Bartek, aspekt uzdrowiskowy. – Nie wiedzieliśmy jeszcze, jak bardzo to będzie relaksujące. Taka dwu-, trzydniowa wyprawa w nieznane jest jak film drogi. Mierzymy się wtedy z różnymi trudnościami, co też jest super, bo jeśli masz wszystko zaplanowane, nic cię nie zaskoczy i nie doświadczasz naturalnych emocji.

A te bywają ogromne – np. gdy po całym dniu błądzenia udaje się znaleźć kolegę, z którym było się umówionym „na mniej więcej". – Raz przyjęliśmy sobie konkretny cel: odwiedzić naszego serdecznego koleżkę, który przebywał w Wiedniu. Umówiliśmy się telefonicznie przed wyjazdem, poprosiliśmy, żeby się za bardzo nie oddalał. Mieliśmy mapę, która sięgała dokładnie do Wiednia, małą karteczkę z adresem i informację, że Roman mieszka naprzeciwko jakiejś pizzerii. To wszystko. Musieliśmy kombinować przy pomocy dostępnych w metrze mapek turystycznych, dogadywać się łamanym niemieckim. Po kilku godzinach tułania się po mieście znaleźliśmy pizzerię. Roman akurat wynosił śmieci i zauważył naszą czerwoną Mazdę. Mamy to na filmie, jak zaczynamy się wszyscy przytulać. Myślałem, że jestem wprawiony, ale również dla mnie to było niesamowite doświadczenie – wspomina mój rozmówca.

BARTEK SZABAT:

Nie bierzemy smartfonów. Mamy stary samochód, mapę, aparat fotograficzny, dwie walizki kaset magnetofonowych. Tankujemy furę do pełna i po prostu jedziemy, aż się paliwo skończy.

Próba powtórzenia tego wyzwania, tym razem z koleżanką w Budapeszcie, nie doszła do skutku ze względu na, jak do tej pory, jedyną niebezpieczną sytuację podczas wypraw *offline* – zasłabnięcie i konieczność wezwania lekarza. To wydarzenie uświadomiło też Bartkowi, co jest najtrudniejszą do opanowania umiejętnością, w której wyręcza nas technologia: komunikacja z innymi. – To, że masz smartfon, sprawia, że jesteś absolutnie samowystarczalna. Czasami nie musisz komunikować się z nikim, w ogóle. A kiedy korzystasz z bardziej ograniczonych mediów, to musisz korzystać z pomocy napotkanych ludzi, którzy nie zawsze mówią po angielsku. Smartfony sprawiły, że nie trzeba gadać z ludźmi, żeby rozwiązać w danej chwili jakiś problem. Nikt już nie pyta o drogę, chyba że mu się rozładuje telefon. Na kursach językowych to podstawa, ale w rzeczywistości nikt tego nie robi.

Cyfrówka na domówce: podpowiedź dla zmęczonych

Korzystanie z analogowych technologii bywa czasem zbywane przez sceptyków albo jako nieżyciowa próba zawracania kijem Wisły, albo jako nieszkodliwa retromania, sztuka dla sztuki, rodzaj estetyzacji życia, w której chodzi głównie o to, że urządzenia starszych generacji wyglądają fajnie na zdjęciach w mediach społecznościowych. Choć i taki aspekt istnieje, to skupianie się wyłącznie na nim pomija najciekawszą część obrazu: to, czego uczy i co zmienia w nas posługiwanie się rozwiązaniami innymi niż domyślne i zbaczanie z oczywistego kursu rozwoju.

Czasami przynosi to niespodziewane rezultaty. – Regularnie robię podejścia do starszych technologii, z różnymi efektami – opowiada Antoni Przesławski, znany jako 63anton, artysta wizualny i z pewnością nie cyfrowy asceta, raczej człowiek, który nieustannie przeplata w swoim życiu wymiar *online* i *offline*.

– Do najbardziej udanych należą te z aparatami fotograficznymi. Ludzie robią się zmęczeni ciągłymi zdjęciami, zestresowani możliwością zostania uchwyconym w niekorzystnym momencie (i od razu zapostowanym w social mediach). Ale gdy na domówce pojawia się osoba z cyfrówką, tworzy to specjalny rytuał. Zamiast unikać oka obiektywu jak ognia, każdy nagle, niezależnie od obecnego stanu, chce się znaleźć na zapozowanym zdjęciu, być częścią uwiecznianego momentu. Większość ludzi mogła nie mieć takiego sprzętu w ręce, więc z chęcią zagada do osoby posiadającej takowy, i próbuje samemu zrobić parę zdjęć. Fotki robione telefonem zazwyczaj natychmiast stają się elementem instagramowej relacji, a na zdjęcia z cyfrówki trzeba poczekać parę dni. Z racji na swój charakterystyczny styl, zdjęcia takie oprócz wartości „in the moment" i wpływu na energię imprezy, są też atrakcyjne jako pamiątka. Zamiast na *stories*, pewnie wylądują w poście, może nawet na czyjejś ścianie jako obraz z historią. Nie tyczy się to oczywiście tylko spotkań towarzyskich, aparat noszony na co dzień zmieniał moje postrzeganie otoczenia – mówi.

Obecnie jego ulubionym aparatem fotograficznym jest trzynastoletni smartfon, iPhone 5s, który służy mu jedynie do ↦

↦ fotografowania. Zapewnia pożądaną niedoskonałość obrazu, a do tego mieści się w kieszeni. Działa prospołecznie, bo jako niespotykany już model – niby nowy, a jednak już *vintage* – budzi zainteresowanie ludzi, zachęcając do rozmowy.

Dwanaście godzin screentime'u: czy to się da odświeżyć

Antoni jest przykładem człowieka, który retro technologie traktuje jako sposób poszerzenia swoich możliwości i doświadczeń, nie jako wehikuł nostalgii. Testując je metodą prób i błędów, przy okazji dowiaduje się czegoś o sobie, o tym, na co zwraca uwagę i czego poszukuje.

W przypadku muzyki zrezygnował z korzystania z modnego obecnie retro urządzenia – iPoda shuffle, którego sposób odtwarzania zbytnio różnił się od jego przyzwyczajeń zaangażowanego konsumenta audio, ale już w przypadku filmu zdecydowanie wybiera opcję *vintage*.

– Największy problem jest taki, że współczesny macOS nie lubi się z 16-letnim odtwarzaczem, przez co do wgrania muzyki użyć musiałem dwóch innych komputerów. Biorąc pod uwagę, że na bieżąco odkrywam nową muzykę i towarzyszy mi niemal całą dobę, taki problem z zarządzaniem biblioteką jest dość kluczową sprawą. W przypadku filmów wyznaję odwrotną filozofię. Mimo traktowania laptopa niemal jak przedłużenia siebie, nie jestem fanem oglądania filmów na nim, szczególnie na streamingach, które tną jakość, gubiąc szum, psując gradienty i zaburzając kontrast kolorów. Jeśli już chcę obejrzeć film w domowym zaciszu, jestem skłonny poświęcić nawet godzinę na wypłynięcie celem znalezienia odpowiedniej blurayowej wstawki na niezbadanych wodach, żeby wycisnąć z (naprawdę imponującego wizualnie) ekranu w laptopie maksimum. Albo po prostu pójdę do kina studyjnego. Po seansie kinowym często czeka mnie dyskusja, a następnie powrót tramwajem i, po drodze, refleksje o kinowym doświadczeniu. Dzięki temu nie jest to tylko kolejny kolorowy obraz na moim ekranie podczas codziennych dwunastu godzin screentime'u, a faktyczne doświadczenie dzieła kultury w sposób, w jaki zostało stworzone.

Siła tarcia: niech żyją drobne niedogodności

Moi rozmówcy, niezależnie od siebie, wskazują na podobną korzyść płynącą ze świadomego wybierania starszych technologicznie rozwiązań: wystawianie się na drobne niewygody, celowe utrudnianie sobie życia (odrobinę, używam tego słowa ze świadomą przesadą) po to, żeby wycisnąć z niego więcej, żeby lepiej doświadczać, zapamiętywać, przeżywać.

Gdy amerykańska publicystka Kathryn Jezer-Morton wprowadziła do obiegu termin tarcie (*friction*) na określenie bardziej konkretnego, samodzielnego kontaktu ze światem, zyskał on błyskawiczną popularność. Jezer-Morton nazwała coś, czego ludzie doświadczają powszechnie. Współczesne rozwiązania cyfrowe ułatwiają wszelkie doświadczenia i minimalizują zaangażowa-

---

Kim są młodzi analogowcy

W KWIETNIU 2026 R. Narodowe Centrum Kultury opublikowało wyniki dużego, ogólnopolskiego badania. Jego inicjatorem i pomysłodawcą był socjolog prof. Marek Krajewski wraz z zespołem: prof. Iwoną Kurz, dr. hab. Mikołajem Lewickim i dr. Maciejem Frąckowiakiem. Celem projektu było określenie, w jaki sposób konkretne aktywności kulturalne, takie jak słuchanie muzyki, czytanie książek czy chodzenie do teatru, zakorzenione są w naszych codziennych czynnościach.

PODCZAS PRACY nad zebranym materiałem okazało się, że aż 10 proc. z nas wyraźnie unika bycia *online*. Zespół prof. Krajewskiego nazwał tę grupę „młodymi analogowcami". Nieprzypadkowo. Segment „analogowców" wyróżnia się bowiem na tle pozostałych grup wiekiem – większość to osoby w wieku 18-24 lata. Łączy je miejski styl życia (to przede wszystkim mieszkańcy średnich i dużych miast) oraz przywiązanie do bardziej tradycyjnych form funkcjonowania i konsumpcji mediów. „Młodzi analogowcy" są też stosunkowo dobrze wykształceni – 30 proc. posiada wykształcenie wyższe, a 35 proc. średnie.

WARTO ZWRÓCIĆ UWAGĘ na charakterystyczną dla tej grupy strukturę gospodarstw domowych. Zdecydowana większość „analogowców" mieszka z innymi osobami – rodziną, partnerem lub współlokatorami. Samotnie żyje jedynie 16 proc. przedstawicieli segmentu, co świadczy o tym, że „analogowcy" to osoby aktywne społecznie, pozostające w relacjach rodzinnych lub partnerskich, często znajdujące się na etapie budowania swojej pozycji zawodowej i życiowej.

MIMO młodego wieku „analogowcy" wykazują większe przywiązanie do tradycyjnych sposobów spędzania czasu, zdobywania informacji i uczestniczenia w kulturze niż wielu ich rówieśników. To osoby, które chętniej sięgają po doświadczenia *offline*, cenią bezpośredni kontakt społeczny, kulturę, edukację i bardziej świadome korzystanie z technologii. W efekcie tworzą grupę, która łączy młodość i otwartość na zmiany z dystansem wobec nadmiernej cyfryzacji codziennego życia.

CHARAKTERYSTYCZNE jest dla nich podejmowanie tradycyjnych aktywności kulturalnych: czytanie książek i gazet, słuchanie muzyki (również radia). „Analogowcy" rzadziej poświęcają czas na nowinki technologiczne, rezygnują z mediów społecznościowych i zakupów przez internet. Korzystają z kultury raczej za pomocą komputera niż telefonu, a jeszcze rzadziej – telewizora. ©℗ MOCH

nie użytkownika tak, że przechodzimy nad nimi bezwiednie. Przekroczenie granicy optymalnego odciążenia poznawczego czyni człowieka jednocześnie biernym i przemęczonym. Można powiedzieć – wyręczonym na śmierć.

Poszukiwanie pozytywnego tarcia czy napięcia między sobą a światem nie jest skomplikowane, wymaga tylko jednego kroku w tył: spaceru bez GPS, pójścia dokądś pieszo, zamiast pojechania samochodem, ugotowania posiłku samodzielnie. Czasami – rozdzielenia zadań smartfona pomiędzy oddzielne narzędzia. Jezer-Morton przekonuje, że takie proste poszerzanie samodzielności i rezygnacja z nadmiernej wygody przynosi dla umysłu i psychiki podobne korzyści, co dla ciała ruch.

Kajecik zamiast tabletu: to pomaga zapamiętywać

– Nie chcę robić sobie pod górkę, ale ta łatwość, z którą absolutnie wszystko można sobie scyfryzować, jest zbyt kusząca – mówi Bartek Szabat. – W ramach decyfryzacji, którą staram się wprowadzać na co dzień, kupiłem sobie kajecik. Taki notes B5. Dzięki niemu od roku nie korzystam już z notatek iPhone'owych, które są dzisiaj standardem zapisu myśli, coraz mniej używam kalendarza Google'a. Zawsze mam ze sobą ten mój notatnik z fajnym datownikiem na górze. To daje mi szersze pole do zapisu swoich myśli niż klawiatura iPhone'a, która jest ograniczona do znaków. A tu mogę sobie coś narysować, dodać strzałeczkę. Bardzo mi się przyjemnie pisze w tym kajeciku.

Liczni badacze dodaliby, że nie jest to jedynie przyjemne, ale też korzystne dla zapamiętywania i umiejętności głębokiego uczenia się.

Antoni mówi, że w swoich eksperymentach ze starszymi technologiami poszukuje wymiaru, którego współcześnie najbardziej mu brakuje, czyli aspektu dotyku i pamięci mięśniowej. Przekonuje, że smartfon stał się zbyt uniwersalnym kombajnem jak na możliwości naszych zmysłów, i że oduczenie się polegania jedynie na nim przynosi spore korzyści.

ANTONI PRZESŁAWSKI:

Po seansie kinowym często czeka nas dyskusja z innymi widzami. Dzięki temu nie jest to kolejny kolorowy obraz na ekranie podczas codziennych dwunastu godzin screentime'u, a faktyczne doświadczenie dzieła kultury.

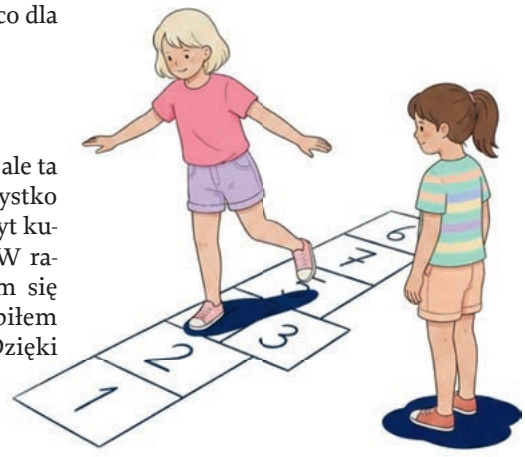

– Muzyki słuchamy z telefonów, zdjęcia robimy telefonem, filmy oglądamy na telefonie nawigujemy telefonem, czytamy na telefonie pracujemy na telefonie i socjalizujemy się na telefonie. Każda czynność w naszym codziennym życiu ma miejsce z użyciem jednego obiektu, z jednym sposobem interakcji, dostarczającym głównie bodźców wizualnych. Nawet pralka, zmywarka czy płyta indukcyjna są sterowane dotykowo. Klimatyzacja w samochodzie czy przycisk otwarcia drzwi w autobusie również – mówi.

Pamięć ciała: dotyku się nie wygeneruje

I podsumowuje: – Mam wrażenie, że przez takie podejście w projektowaniu strasznie przeciążamy sobie wybrane zmysły, nie używając w ogóle pozostałych. Do dziś pamiętam sposób, w jaki chodziła klamka w aucie rodzinnym, które mieliśmy, gdy byłem mały. Fizyczne odczucie tamtego momentu przywołam nawet szybciej niż obraz w głowie – po prostu mając migające kolorowe obrazy 24/7 przed oczami, trudniej je zapamiętać. Szczególnie gdy te obrazy możemy do woli generować komputerowo, a fizycznych odczuć na szczęście jeszcze nie.

Antoni mówi, że poszukuje nieprzewidywalności, którą współczesne rozwiązania eliminują jako przeszkodę, a tymczasem to ona dostarcza odkryć, pobudza inspirację i w konsekwencji zwiększa satysfakcję.

– Szum na płycie winylowej, nierówno podświetlony wyświetlacz, przybrudzona taśma magnetyczna, źle naświetlona klisza fotograficzna. Każde z tych zjawisk wprowadza do procesu twórczego pewną niewiadomą, ingerencję sił natury w nasze działania, element niepewności, czy wszystko wyjdzie tak, jak to planowaliśmy, a może natrafimy na jakąś ciekawą, nieprzewidzianą niespodziankę. Fizyczne nośniki mediów mają swoje granice i dużo ciekawiej się po nich poruszać i próbować je naginać, w przeciwieństwie do nieograniczonego sandboxa ery cyfrowej, gdzie mnogość możliwości prowadzi do paraliżu decyzyjnego i przestymulowania.

W 1970 r. Alvin Toffler napisał, że „analfabetami XXI wieku będą nie ci, którzy nie potrafią czytać i pisać, ale ci, którzy nie potrafią się uczyć, oduczać i uczyć na nowo". Z perspektywy 2026 r. widać, jak cenną umiejętnością w tym procesie jest zatrzymywanie się w bezkrytycznym płynięciu przed siebie, a czasem zrobienie pozornego kroku w tył, by móc zintegrować cyfrowe z organicznym – to, co *online*, i to, co *offline*. © OLGA DRENDA

Redaktor naczelny: JACEK STAWISKI
Zastępcy redaktora naczelnego: EWELINA BURDA, MICHAŁ OKOŃSKI
Redakcja: www.TygodnikPowszechny.pl/redakcja
Wydawca: Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Prezes zarządu: JACEK ŚLUSARCZYK
www.tygodnikpowszechny.pl/wydawca
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
tel. 668 477 039
Reklama i promocja: tel. 602 590 416
reklama@tygodnikpowszechny.pl
promocja@tygodnikpowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@tygodnikpowszechny.pl
Druk: Walstead Kraków sp. z o.o.
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
© Wszelkie prawa zastrzeżone
Regulamin korzystania z artykułów: www.tygodnikpowszechny.pl/nota-wydawnicza

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

BARBARA ZIAJKA

Jacek Stawiski, prof. Karolina Ćwiek-Rogalska i prof. Eryk Krasucki na konferencji „Ziemie Zachodnie i Północne", zorganizowanej przez „Tygodnik Powszechny" i Sejm RP. 15 czerwca 2026 r.

W Sejmie o Ziemiach

JACEK STAWISKI

Kolejne wydanie specjalne „TP" poświęcimy „Ziemiom Odzyskiwanym". Na ich temat zorganizowaliśmy też w Sejmie konferencję naukową.

Ziemie Zachodnie i Północne, nazywane często Odzyskanymi, to mimo upływu ponad ośmiu dekad od końca II wojny światowej fascynujący temat dla badaczy, artystów, pisarzy. Dlatego kolejny numer wydania specjalnego „Tygodnika Powszechnego", które ukaże się w lipcu 2026 r., poświęcone będzie temu obszarowi, obejmującemu – warto podkreślić – jedną trzecią współczesnej Polski. Wydanie nosić będzie tytuł „Ziemie Odzyskiwane". Dlaczego „Odzyskiwane", zamiast po prostu „Odzyskane" albo „Zachodnie i Północne"? Dlatego, że wiele procesów społecznych, zachodzących na tych obszarach, wymyka się używanym dotąd schematom (o peerelowskich kliszach propagandowych nie wspominając). Jako „Tygodnik" chcemy wiedzę o tych obszarach „odzyskiwać"; opowiadać o ich zasiedleniu, zakorzenieniu i oswojeniu.

Prace nad wydaniem specjalnym stały się też pretekstem do zorganizowania w Sejmie RP – przy wsparciu Kancelarii Sejmu – konferencji o różnych spojrzeniach na obszary włączone do Polski w 1945 r. I znowu pojawia się pytanie: dlaczego Sejm? Dlatego, że parlament nie jest tylko miejscem mniej lub bardziej ostrego sporu politycznego. Tam, gdzie gromadzą się przedstawicielki i przedstawiciele polskiego społeczeństwa, powinny również odbywać się spotkania nie tyle ponad podziałami, ile pomimo podziałów. Spotkania pokazujące, że zaduma oraz namysł nad Polską i jej problemami, nad jej historią i współczesnością, są równie istotne co polityczna codzienność.

15 czerwca 2026 r. zorganizowaliśmy więc w Sejmie trzy panele dyskusyjne. Pierwszy to „Bilans zasiedlenia Ziem Zachodnich – między PRL-owską propagandą a narodowym sukcesem"; w tych ramach dyskutowali prof. Karolina Ćwiek-Rogalska z PAN i prof. Eryk Krasucki z Uniwersytetu Szczecińskiego. Drugi – zatytułowany „Ziemie Zachodnie i Północne po 1989 r. – laboratorium trendów" – pozwolił opisać Śląsk Opolski, Dolny Śląsk, Ziemię Lubuską, Pomorze Zachodnie, Pomorze oraz Warmię i Mazury na tle ogromnych zmian w całej Polsce, które wyznaczają transformacja gospodarcza lat 90. i obecność Polski w UE. W czasie panelu zaprezentowano m.in. wyniki badań Instytutu Zachodniego w Poznaniu na temat stosunku Polek i Polaków do Ziem Zachodnich i Północnych. W dyskusji udział wzięli prof. Andrzej Sakson i dr Małgorzata Bukiel z Instytutu Zachodniego, Beata Maciejewska z „Gazety Wyborczej" i dr Tomasz Grabowski.

I wreszcie trzeci panel – poświęcony artystycznemu spojrzeniu na Ziemie Odzyskane, zatytułowany „Nieswojość. Pokaz fotografii i rozmowa", z udziałem prof. Agaty Pankiewicz z krakowskiej ASP i prof. Marty Leśniakowskiej z Instytutu Sztuki PAN. Panel stał się okazją do spojrzenia na dawne i współczesne podejście do dziedzictwa kulturowego Ziem Zachodnich, tak jak zobaczyli je Agata Pankiewicz i Marcin Przybyłko w publikacji „Nieswojość". Zwłaszcza ta dyskusja wywołała spore emocje wśród publiczności, ponieważ – zdaniem części słuchaczy – obraz Ziem Zachodnich w ich książce nie oddaje piękna i troski o dziedzictwo tych obszarów. ©℗

Wszystkie debaty – prowadzone przez dziennikarzy „Tygodnika Powszechnego" Annę Goc, Jacka Stawiskiego i Marka Rabija – dostępne są na kanale YouTube Sejmu RP.

ORGANIZATORZY: SEJM RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ, TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER: Pomorze Zachodnie

REKLAMA

podlaski festiwal naturokultury

zielono mi
FESTIWAL NATUROKULTURY

BIAŁYSTOK TYKOCIN
4–5 lipca 2026

rozmowy, spacery, warsztaty, teatr, książki, koncerty i tańce!
plus ZIELONY AUTOBUS Z KOLORKIEM, czyli wycieczka z Turystą z Podlasia!

Katarzyna Herman

Kolorek

Sw@da x Niczos

Karolina Cicha

Julia Kamińska

rozmowy:

- Katarzyna Herman
- Kolorek
- Paweł Średziński
- Agata Passent
- Karolina Felberg-Pawłowska
- Dorota Sumińska i Marta Stachowiak
- Marta Sawicka-Danielak
- Karolina Szymańska
- Olga Gordiejew-Pobot

teatr i książki:

- „Bieżeńcy 1915" BY Teatr
- Aneta Prymaka-Oniszk
- „Milcząca wiosna" Rachel Carson
- Dorota Borodaj
- Joanna Pachałko
- Szymon Bujalski
- Miłka Malzahn
- Natalka Suszczyńska

koncerty i tańce:

- Karolina Cicha & Spółka – zielony koncert familijny
- Julia Kamińska i „Sublimacja"
- DJ Czarek i Guilty Pleasure Set
- Sw@da x Niczos

WSTĘP WOLNY!

from ego to eco

BIAŁYSTOK, **Patio Filharmonii Podlaskiej,** ul. Podleśna 2

TYKOCIN, **Salon Pod Sowami,** ul. Poświętna 4

zielono_mi_fest
Festiwal Zielono Mi
PROGRAM: **zielonomifest.pl**

PARTNERZY STRATEGICZNI:
Białystok
Podlaskie

PARTNERZY:
Centrum Kultury Białoruskiej w Białymstoku
Цэнтр беларускай культуры ў Беластоку
TYKOCIN
Hampton by Hilton Białystok
PWN

PATRONI MEDIALNI:
Podlaska Regionalna Organizacja Turystyczna
CZWÓRKA POLSKIE RADIO
Polskie Radio Białystok

KRAJ

TAJNE PRZEZ POUFNE

Czy Tusk zarządza lepiej spółkami zależnymi od państwa niż Morawiecki? Nie wiadomo. Nie znamy nawet uzasadnień dla przybicia stempla „państwowości" konkretnym firmom. Tworzy się je na poczekaniu w zależności od politycznych potrzeb.

STEFAN SĘKOWSKI

Jeśli wierzyć w oświadczenia polityków opozycji, w spółkach Skarbu Państwa (SSA) ma miejsce istny armagedon. W maju wiceprezes PiS Przemysław Czarnek zapowiedział kontrole poselskie w Orlenie, Jastrzębskiej Spółce Węglowej i Azotach. „Mówimy o trzech spółkach strategicznych odpowiedzialnych również za bezpieczeństwo i działających w sektorze bezpieczeństwa, które przyniosły rekordowe straty w czwartym kwartale 2025 roku" – twierdził polityk wskazując na to, że Orlen miał stracić 5,5 mld zł netto, JSW 3,4 mld zł, a Grupa Azoty 4,2 mld.

Czarnek nie dodał, że inne spółki były w dużo lepszym stanie. W tym samym okresie Polska Grupa Energetyczna zarobiła 3,1 mld zł, a PKO BP i KGHM po 2,7 mld zł. Jednak nie powinno nas to uspokajać, bo jak wskazuje Jacek Frączyk z „Business Insidera", co trzy miesiące publikujący podsumowanie wyników finansowych „Holdingu Tuska" (19 przedsiębiorstw zależnych od państwa notowanych na warszawskiej giełdzie), w IV kwartale straciły one łącznie 1 mld 42 mln złotych.

„Gdzie są pieniądze Polaków?" – pyta więc Czarnek, ale jest to o tyle bezzasadne, że strat nie można w tak łatwy sposób podsumowywać. Jeśli np. biorą się one z niższych marż lub niepodnoszenia cen przez SSA (mimo droższych surowców), to pieniądze zostają po prostu w kieszeniach klientów.

Z drugiej strony, w ubiegłym roku spółki węglowe dostały prawie 9 mld „pieniędzy Polaków" w postaci dopłat i dokapitalizowania skarbowymi papierami wartościowymi. Tyle że głównej części tego wsparcia, związanej z planowaną redukcją zdolności produkcyjnych, nie otrzymuje choćby podlubelska kopalnia Bogdanka, co czyni ją mniej konkurencyjną wobec śląskich kuzynek – i to także wpływa na jej sytuację finansową. Niemniej wątpię, by kandydat PiS

PRZEMEK ŚWIDERSKI / REPORTER

na premiera – choć sam jest z Lubelszczyzny – miał odwagę domagać się obcięcia wydatków na Górnym Śląsku.

W sumie „Holding Tuska" jest od końca 2023 r. na plusie łącznie o ok. 30 mld zł. Dla porównania, w dwóch ostatnich pełnych latach rządów PiS „Holding Morawieckiego" zarobił ponad 120 mld zł. To wyliczenie ma oczywiście swoje ograniczenia, bo kwoty te nie są urealnione o inflację, w tym okresie zmieniał się także skład państwowego portfela na GPW – niemniej czterokrotna przebitka robi wrażenie.

Czy ekipa Tuska zaprzepaszcza schedę po poprzednikach?

Mniej kasy dla partii

Prześledźmy, co kolejni ministrowie aktywów państwowych w obecnym rządzie (było ich łącznie z obecnym trzech) robili od grudnia 2023 r. Ich urzędowanie zaczęło się, jak zwykle, od miotły personalnej. Barometr „Rzeczpospolitej", mierzący rotację prezesów spółek z udziałem Skarbu Państwa, zakończył 2024 rok na poziomie 94,3 pkt (w ciągu roku wymieniono władze niemal we wszystkich monitorowanych firmach). Znalazł się on blisko rekordów z pierwszego roku rządów PiS, gdy wskaźnik przekraczał 100 pkt (oznacza to, że w niektórych spółkach zmieniono prezesów już po pierwotnej rotacji).

Nie ma badań, które pozwalałyby uczciwie stwierdzić, że obecnie obsadza się stanowiska bardziej kompetencyjnie niż partyjnie. Nowi członkowie zarządów i rad nadzorczych to często osoby mające przede wszystkim doświadczenie w tych samych lub innych spółkach zależnych od państwa za „poprzedniego Tuska". Przykładem może być szef Orlenu Ireneusz Fąfara, były prezes Orlen Lietuva, a także prezes PKO BP Szymon Midera, wcześniej kierujący Bankiem Pocztowym, czy prezes PZU SA Bogdan Benczak, przez lata związany z różnymi spółkami Grupy PZU.

Jednak inaczej niż za czasów PiS, kiedy to członkowie władz spółek przekazali na konta swej partii co najmniej 5,5 mln zł, niewielu z obecnych prezesów odpłaca się politycznym patronom darowiznami. Wyjątkami są np. Mateusz Pindel (prezes Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach) – który w latach 2024-2026 wpłacił 75 230 zł na Polskie Stronnictwo Ludowe, a także Ireneusz Sitarski (wiceprezes Orlenu) i Cezary Stypułkowski (dwa miesiące po wpłaceniu darowizny rada nadzorcza Pekao S.A. wybrała go prezesem spółki), którzy przekazali odpowiednio 20 i 30 tys. zł w 2024 r. na rzecz Nowej Lewicy.

Na liście darczyńców Koalicji Obywatelskiej (to jej podlega ministerstwo aktywów) oraz Polski 2050 za lata 2024-2025 nie znalazłem osób zasiadających we władzach podmiotów zależnych od państwa, oprócz Magdaleny Roguskiej, która w marcu 2024 r. wpłaciła na PO 9 tys. zł, ale dopiero kilkanaście dni po tym, jak ustąpiła z RN Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych. Wśród czołowych darczyńców partii koalicyjnych są głównie lokalni i ogólnopolscy politycy niezwiązani ze spółkami zależnymi od państwa oraz przedstawiciele prywatnego biznesu.

Pieniądze dla innych mediów

Można powiedzieć, że spółki przestały być bezpośrednio drenowane na rzecz partyjnych budżetów. Mniej widoczne są również pośrednie formy zawłaszczania SSA, np. poprzez wspieranie z publicznej kasy okołopartyjnych mediów. Już w 2024 r. pięciu głównych prawicowych wydawców straciło prawie połowę aktywnych wspierających. Reklamy niemal zniknęły z Republiki i, w mniejszym stopniu, z wPolsce24, a zaczęły wracać do TVN i TVN24.

Częściowo jest to odcięcie kroplówek dla mediów prawicowych, a częściowo ogólne ograniczenie wydatków firm zależnych od państwa na marketing. Przykładowo w 2024 r. siedmiu dużych państwowych reklamodawców ograniczyło emisję spotów telewizyjnych z 966,6 tys. do 763,7 tys.

Warto też dodać, że składki na założoną w epoce PiS Polską Fundację Narodową płacą dziś już tylko trzy spółki-fundatorzy: KGHM Polska Miedź, Orlen i PZU. Pozostałe wstrzymały wpłaty, uznając, że ↦

Rafineria Gdańska, część PKN Orlen, jednego z największych koncernów multienergetycznych w Europie Środkowej.

↦ dalsze finansowanie PFN może być bezzasadne, a teraz czekają na systemowe rozwiązanie sprawy. Z kolei PFN pozwała o zapłatę zaległych składek trzech innych fundatorów: Polski Holding Nieruchomości, Giełdę Papierów Wartościowych oraz Polską Wytwórnię Papierów Wartościowych. Według fundacji wybrano je na początek dlatego, że pozwanie ich oznaczało niższe koszty sądowe.

Od strony instytucjonalnej zmienia się jednak niewiele. Obietnicą KO i koalicji 15 Października nie było przecież zastąpienie jednych nominatów drugimi, lecz także wprowadzenie czytelnych kryteriów naboru i transparentnych konkursów na stanowiska w spółkach z bezpośrednim lub pośrednim udziałem państwa. Tymczasem przez ostatnie dwa lata KO i PSL utrącały bądź rozwadniały kolejne propozycje polityków Polski 2050 (wspieranych częściowo przez Nową Lewicę) w zakresie zamknięcia dostępu niekompetentnym partyjnym działaczom do stanowisk.

Dopiero w lutym tego roku, ponad dwa lata od objęcia władzy przez Tuska, Ministerstwo Aktywów Państwowych (MAP) ogłosiło Kodeks Dobrych Praktyk Nadzoru Właścicielskiego. Zapisało w nim „jasne reguły zamiast uznaniowości", neutralność polityczną, standard kompetencji, większą rolę rad nadzorczych czy procedurę „stosuj albo wyjaśnij", nakazującą uzasadniać obejście wskazanych w kodeksie procedur.

Brzmi to rozsądnie, tylko że kodeks to miękka i ogólnikowa regulacja. Jeśli jego przepisy będą przeszkadzały „górze", to nie będą przestrzegane i nie będzie miał kto wyciągać konsekwencji. Reszta to zapowiedzi: MAP chce zmienić ustawę o zasadach zarządzania mieniem państwowym i podwyższyć wymagania wobec kandydatów na członków rad nadzorczych. Słusznie, szkoda tylko, że proces zmian trwa tak długo.

Nieobiektywne kryteria

Równocześnie resort aktywów ogłosił dwa dodatkowe priorytety dla działalności spółek mu podległych: częstszej współpracy z krajowymi poddostawcami (*local content*) oraz zapewnienia finansowania na potrzeby obronności. Obie zasady, choć można je tłumaczyć patriotyzmem gospodarczym czy bezpieczeństwem narodowym, mogą negatywnie odbić się na zyskach państwowych firm.

> Obietnicą koalicji 15 Października było wprowadzenie czytelnych kryteriów naboru i transparentnych konkursów na stanowiska w spółkach. **Nigdy niespełnioną.**

Skarb Państwa ma jednak swoje udziały w różnych firmach nie tylko dla zysku. Po co jeszcze? To zależy, kto i o co pyta. Słowem wytrychem, którym w odniesieniu do różnej maści przedsiębiorstw posługują się zarówno były szef MAP Jacek Sasin, jak i obecny Wojciech Balczun, jest bezpieczeństwo. Tę funkcję nadaje się zwłaszcza Orlenowi, który politycy widzą w roli „narodowego czempiona" ciągnącego w górę całą gospodarkę.

W związku z tym w sektorze bankowym zaszła w ostatnich latach wręcz repolonizacja (zakup Pekao S.A. od Unicredit przez PZU i Polski Fundusz Rozwoju) pod hasłem „kontroli polityki kredytowej", promowanej przez Mateusza Morawieckiego. Spółki finansowe odgrywały też ważną rolę w „przygotowaniu i wdrożeniu szeregu instrumentów chroniących firmy i ich pracowników przed skutkami COVID-19", jak mówił Sasin. A dziś, we współpracy z Ministerstwem Zdrowia, spółki zależne od państwa mają się angażować np. w działania na rzecz profilaktyki i edukacji zdrowotnej.

Wciąż jednak nie mamy obiektywnych kryteriów, na podstawie których moglibyśmy jednoznacznie stwierdzić, czy rządzący dobrze zarządzają państwowym majątkiem. Uzasadnienie dla przybicia stempla „państwowości" danej spółki szyje się na poczekaniu w zależności od politycznych potrzeb.

Nie potrafię znaleźć uzasadnienia dla państwowej własności takich firm jak Sklejka Orzechowo, Armatura Kraków czy Fabryka Szlifierek „FAS-Głowno". Rządzący nie przedstawiają nam żadnych powodów, dla których podobne przedsiębiorstwa są zależne od państwa. W ustawie o zasadach zarządzania takim mieniem czytamy, że służy ono ogólnikowemu „wykonywaniu zadań publicznych". Z przepisów nie wynika jednak spójny katalog celów i uzasadnień dla utrzymywania własności państwa w konkretnych podmiotach.

Najwyraźniej jednak niektóre z nich spełniają zadania ważniejsze niż inne, skoro w świetle ustawy 30 z nich rządzący w ogóle nie mogą sprzedać poza sektor państwowy. Są to głównie spółki energetyczne, paliwowe i surowcowe, ale także Totalizator Sportowy czy Pałac Saski sp. z o. o., zajmująca się odbudową rzeczonego obiektu.

Istnieje także, częściowo pokrywająca się z ustawową, lista spółek o istotnym znaczeniu dla gospodarki państwa, sporządzona dla 23 obszarów, m.in. energetyki, komunikacji czy działalności finansowej. Znajdują się na niej także nieoczywiste przypadki takie jak Totalizator Sportowy, którego podstawowa, raczej hazardowa działalność w ogóle się w te obszary nie wpisuje.

Tajemnicza misja

Kolejną podgrupą są spółki realizujące misję publiczną – ich jednak rządzący nie wymieniają. Twórcom (jestem jednym z nich) raportu „(Nie)jawna polityka właścicielska państwa" (wyd. Forum Obywatelskiego Rozwoju) udało się ustalić na podstawie rozproszonych źródeł, że jest ich co najmniej 70. To m.in. media publiczne, porty morskie, ale także firmy zarządzające specjalnymi strefami ekonomicznymi.

Krótko mówiąc, liczbę spółek, których „państwowość" da się dziś w ogóle zaczepić o któryś z ustawowych lub quasi-ustawowych tropów, nasz raport szacuje na 81. Jest ich jednak znacznie więcej, a ich zadania są bardzo często co najmniej mgliste. Wedle oficjalnych danych państwo angażuje się w 331 aktywnych przedsiębiorstw, z czego w 180 przypadkach oznacza to co najmniej 50 proc. udziałów lub akcji.

W kolejnych co najmniej kilkudziesięciu firmach władza ma decydujące słowo co do działalności, gdyż nawet jeśli jest akcjonariuszem mniejszościowym, to wpływa na ich funkcjonowanie. Poprzez innych udziałowców, czasem wykorzystując ich rozdrobnienie albo dzięki specjalnym przepisom statutowym dającym Skarbowi Państwa większe uprawnienia.

ANDRZEJ KULPITA / EAST NEWS

Minister Wojciech Balczun ogłosił co prawda Kodeks Dobrych Praktyk, ale transparentnych konkursów w SSA nadal nie ma. Konferencja prasowa Orlenu, Warszawa, 11 czerwca 2026 r.

Problem w tym, że na tej liście są jedynie firmy, w których państwo ma bezpośrednie udziały. Nie ma na niej choćby drugiego co do wartości aktywów banku Pekao S.A., niewątpliwie zależnego od państwa, tyle tylko, że pośrednio, poprzez państwowe PZU i PFR, do których należy. W kontekście czysto prawnym Pekao S.A. wypada więc z kadru tak jak setki spółek-córek (sam Orlen ma ich 180) i wnuczek, lub też spółek portfelowych państwowych konglomeratów inwestycyjnych, takich jak Polski Fundusz Rozwoju, Agencja Rozwoju Przemysłu i Towarzystwo Finansowe Silesia; a także podmiotów trzymanych pośrednio przez fundusze inwestycyjne.

Czy można inaczej?

Nie wszędzie jest tak, jak w Polsce. W Norwegii rząd co roku publikuje raport o własności państwa w spółkach, który służy przejrzystości. Polityka właścicielska jest tam przedmiotem debaty parlamentarnej: spółki dzielone są na te nastawione na osiąganie zysku oraz te realizujące cele polityki publicznej.

Przykładem tych pierwszych jest działająca globalnie firma energetyczna Equinor (dawniej Statoil). Państwo uzasadnia udział w niej utrzymaniem centrali w Norwegii, a celem właścicielskim pozostaje najwyższy możliwy zwrot w długim okresie. Do drugiej grupy zalicza się np. instytucje kultury, m.in. Norweską Operę i Balet czy Teatr Narodowy, które dostarczają wartościowe treści także mieszkańcom odległych od Oslo północnych ostępów kraju.

Dla każdej takiej spółki norweskie państwo podaje uzasadnienie posiadania udziałów, np. bezpieczeństwo energetyczne, ochronę zasobów naturalnych czy gotowość kryzysową. Opisuje też, czy w odniesieniu do konkretnej spółki własność państwową należy utrzymywać, ograniczyć, a może firmę należałoby sprywatyzować. Bo i taka opcja jest brana pod uwagę, w przeciwieństwie do Polski (w Norwegii istnieje tylko 69 spółek z bezpośrednim udziałem państwa).

U nas ustawa wymaga każdorazowej zgody rządu na zbycie akcji Skarbu Państwa, a w przypadku 30 spółek wprost zakazuje sprzedaży akcji, z wyjątkami dla transferów wewnątrz sektora państwowego.

Także w Finlandii rząd przedstawia parlamentowi coroczne sprawozdanie o udziałach państwa w przedsiębiorstwach. Spółki mają przypisane konkretne cele: inwestorskie, strategiczne albo związane z obowiązkami ustawowymi i misją publiczną. Parlament określa też minimalne progi udziałów w wybranych spółkach, a zejście poniżej wymaga jego zgody.

Z kolei we Francji co roku powstaje sprawozdanie z działalności państwa jako udziałowca, również przedstawiane parlamentowi. Raport przygotowuje Agencja ds. Udziałów Państwa, odpowiadająca za inwestycje w spółkach uznawanych za strategiczne. Sprawozdanie opisuje ich sytuację finansową, tłumaczy decyzje o prywatyzacji, nabyciu udziałów czy strategii handlowej. Wyróżnia też ogólne uzasadnienia własności: strategiczny charakter, wykonywanie zadań publicznych albo ryzyko systemowe w razie upadłości.

Wytyczyć cele czempionom

W Polsce co prawda Prokuratoria Generalna ma obowiązek sporządzania sprawozdania o stanie mienia Skarbu Państwa, jednak to raczej inwentaryzacja aktywów niż polityka właścicielska. Wspólnie z innymi autorami raportu, którym przewodził Patryk Wachowiec z Forum Obywatelskiego Rozwoju, zaproponowaliśmy, by rząd co roku przedstawiał Sejmowi sprawozdanie z zaangażowania państwa w firmy. Miałby on pokazywać portfel przedsiębiorstw państwowych i spółek z udziałem Skarbu Państwa oraz opisywać ich działalność.

Dla każdego podmiotu rząd musiałby wskazać potrzebę i cel utrzymywania tam własności, a także wyjaśnić, dlaczego nie da się osiągnąć go mniej inwazyjnymi narzędziami, np. regulacjami (koncesjami lub obowiązkiem świadczenia określonych usług publicznych), zamówieniami publicznymi czy dotacją. Raport byłby poddany sejmowej debacie, a ponadto rządzący musieliby publikować regularnie aktualizowaną informację o tym, jakie przedsiębiorstwa są pod jego nadzorem, z uwzględnieniem spółek-córek i różnych funduszy.

Obowiązek uzasadniania własności wymusiłby na rządzących analizę potrzeby posiadania udziałów w każdej ze spółek oraz wytyczenia im mierzalnych celów do osiągnięcia. Dzięki temu nareszcie dowiedzielibyśmy się, ile faktycznie dają nam nasze „narodowe czempiony". Utrudniłoby to także traktowanie ich jako łupu partyjnego.

Świadomość realnej skali państwowej własności jest warunkiem sensownego nadzoru, ewaluacji, a także debaty publicznej i polityki antykorupcyjnej. Bez tego poselskie kontrole, choć co do zasady istotne, będą tylko wycinkowym sprawdzaniem najbardziej nośnych medialnie przypadków niegospodarności.

© STEFAN SĘKOWSKI

MAREK CZEŻYK

Zaręczyny Natalii i Weroniki

Tęczowe okno pogodowe

MARTA GLANC

RODZINA | Dzięki transkrypcji zagranicznych aktów małżeństwa pierwsze związki jednopłciowe zaczynają działać w naszym systemie. Ale walka o równość w Polsce wciąż trwa.

Zaczęło się od pytania: „Czy chcesz ze mną chodzić?". Odpowiedź brzmiała: „No nie wiem, niech będzie, obojętnie". 35-letni Rafał opowiada to ze śmiechem. Jego mąż ma tak samo na imię i jest w tym samym wieku. Obaj pracują w branży IT. Ale wiele ich też różni.

Jeden Rafał potrafi wrócić z imprezy z wianuszkiem nowych znajomych, drugi co najwyżej z zapisanym numerem telefonu. Z tych różnic przez lata zrobili swój atut i dziś są zgranym zespołem. Razem są od 14 lat.

Wiedzie im się dobrze, zarówno finansowo, jak i zdrowotnie. Dotąd nie zetknęli się z problemami, które dotykają pary jednopłciowe w trudnych momentach. Rafałowie nie mieli więc motywacji, aby prawnie uregulować swoją sytuację. Do czasu.

Aż nie mogłem uwierzyć

– Po wyroku Trybunału Sprawiedliwości nakazującym uznanie małżeństwa pary gejów stwierdziliśmy, że otwiera się dla nas okno możliwości. Od razu zacząłem sprawdzać, gdzie i jak możemy wziąć ślub – mówi Rafał. Padło na Danię, gdzie do zawarcia małżeństwa wystarczy, by małżonkowie mieli ważne dowody osobiste. – Początkowo aż nie mogłem w to uwierzyć – dodaje, bo w wielu państwach procedury okazały się zbyt skomplikowane.

Rafałowie wzięli ślub w marcu, w urzędzie niewielkiej gminy Tønder, gdzie nie musieli długo czekać na termin. Nie zrobili wesela, z bliskimi zjedli tylko obiad. W restauracji Duńczycy dopytywali ich, dlaczego nie pobrali się w Polsce – przecież byłoby łatwiej. Gdy odpowiadali, że w ich kraju nie jest to możliwe, spotykali się ze zdziwieniem.

Po powrocie do kraju zaczęli bitwę o transkrypcję. Chociaż są z Krakowa, wniosek złożyli w warszawskim urzędzie. Czemu stolica? Mieli nadzieję, że w mieście, którego prezydentem jest Rafał Trzaskowski, będzie łatwiej. Ale początkowo otrzymali informację o zawieszeniu postępowania. Złożyli zażalenie, na które mieli tylko tydzień. Pomagał im prawnik.

Małżonkowie nie są zadowoleni, że musieli włożyć tyle wysiłku w zalegalizowanie wieloletniego związku. – Argumenty przeciw transkrypcji, które słyszeliśmy, urągają ludzkiej inteligencji. Był np. problem z tym, jak ma wyglądać formularz, bo nie może być „małżonek nr 1" i „małżonek nr 2". Podobno dlatego, że mogłoby to być degradujące dla osoby oznaczonej numerem 2. Zamiast po prostu znaleźć rozwiązanie, szukano kolejnych powodów, by nic nie zrobić – ocenia Rafał.

Jest jednak wdzięczny parom, które wywalczyły możliwość transkrypcji. Rafał wspomina, że gdy był w technikum, jeden chłopak zawziął się i poszedł na studniówkę ze swoim partnerem. – Wiem, że obecnie pary jednopłciowe na balach szkolnych już tak nie dziwią. To dzięki takim ludziom coś się zmienia – mówi.

Kilka dni po naszej rozmowie Rafał wysyła mi postanowienie warszawskiego Urzędu Stanu Cywilnego o podjęciu zawieszonego postępowania w sprawie transkrypcji. Dzieje się to krótko po 22 maja. Tego dnia ministrowie cyfryzacji i spraw wewnętrznych podpisali rozporządzenie określające nowe wzory aktów małżeństwa. W danych osób, które zawarły małżeństwo, dwa razy jest opcja „mężczyzna/kobieta".

– A ta gmina, w której wzięliśmy ślub, już nie ma takich szybkich terminów. Pewnie dlatego, że skierowałem tam z pięć par, które właśnie organizują własne śluby – mówi mi Rafał.

Rząd pod presją

Choć rząd przedstawia możliwość uznawania małżeństw jednopłciowych jako dowód nowoczesności państwa i szacunku dla wszystkich obywateli, w rzeczywistości został postawiony pod ścianą.

Jesienią ubiegłego roku TSUE orzekł, że odmowa uznania małżeństwa jednopłciowego legalnie zawartego w innym państwie członkowskim jest niezgodna z unijnym prawem. Chodziło o sprawę dwóch Polaków, którzy pobrali się w 2018 r. w Berlinie i nie mogli dokonać transkrypcji aktu małżeństwa w polskim urzędzie. Sprawa trafiła do Naczelnego Sądu Administracyjnego, a ten zwrócił się z pytaniem prejudycjalnym do TSUE. Ostatecznie polski sąd nakazał uznanie tego małżeństwa.

Zanim polscy ministrowie podpisali rozporządzenie określające nowe wzory aktów małżeństwa, minęło kilka miesięcy. Jak informuje Maja Heban ze stowarzyszenia Miłość Nie Wyklucza, NSA zdążył w tym czasie wydać łącznie cztery wyroki o uznanie małżeństwa jednopłciowego zawartego poza krajem. Ponadto trzy takie wyroki zapadły na poziomie wojewódzkich sądów administracyjnych.

– Wyrokami sądów i presją społeczną udało się zmusić rząd do tego, by zrobił absolutne minimum. Propaganda sukcesu w ustach polityków jest tu nie na miejscu – komentuje Heban. Jak szacuje, małżeństw jednopłciowych w Polsce jest nie więcej niż kilka tysięcy.

– Trzeba jednak pamiętać, że do niedawna mówiliśmy o braniu ślubu za granicą ze świadomością, że w Polsce będzie on tylko symboliczny – wyjaśnia Maja Heban. Przewiduje, że liczba małżeństw jednopłciowych może znacznie wzrosnąć dzięki szansie na realne skutki prawne takiego ślubu.

Walka trwa

Też mają po 35 lat i to samo imię. Mogą pochwalić się podobnym stażem związku jak Rafałowie, bo w tym roku obchodzą 15. rocznicę. Do tego również pracują w tej samej branży, bo od 10 lat prowadzą i rozwijają agencję marketingową, którą założyli. Śmiejemy się, że czytelnicy mogą nie uwierzyć w taki przypadek. A jednak! Michałowie z Warszawy zaręczyli się już 10 lat temu, ale ze ślubem czekali aż do teraz. Pobiorą się za kilka miesięcy na Malcie. Tego dnia będą z nimi ich rodziny i przyjaciele.

– O ślubie myślimy od dawna, ale chcieliśmy to zrobić w momencie, gdy nie będzie miał tylko symbolicznego charakteru. Ślub humanistyczny byłby pewnym performansem dla nas i najbliższych. A nam zależy, by prawo rozpoznało nasz związek – mówią mi. Dodają, że gdyby małżeństwa jednopłciowe były legalne, dawno już by byli po ślubie.

Przez lata wierzyli, że sytuacja w Polsce się zmieni. Wspierali organizacje pozarządowe, chodzili na protesty, naciskali oddolnie na polityków, aby zapewniono równe prawa osobom LGBT+. Jednak lata mijały, a ich sytuacja niewiele się zmieniała. – Każde kolejne wybory były dla nas rozczarowaniem. Mogliśmy tak czekać do emerytury – zaznacza Michał Ł.

Dodaje, że tylko dzięki ciężkiej pracy społeczności LGBT+ pojawiły się nowe możliwości. Ma jednak świadomość, że walka się nie kończy. – Czekają nas kolejne bitwy, aby nasze małżeństwo miało takie same skutki prawne, jak zalegalizowane związki heteroseksualne. Od razu zacznę starania o wspólnotę majątkową. Jeśli to się nie uda, na pewno pójdę do sądu. Myślę, że takich spraw będzie wiele.

Michał B. podkreśla, że razem z partnerem chcą prowadzić wspólne gospodarstwo domowe, a przecież to także jedna z wartości konserwatywnych. – Kiedy ludzie zobaczą, ile jest takich par jak my, akceptacja społeczeństwa będzie rosła. Temat się znormalizuje, zresztą myślę, że już teraz nie budzi takich emocji jak kiedyś.

Poruszamy też bardzo ważny wątek: nie każdy ma możliwość zorganizowania ślubu za granicą. To spore koszty, nawet jeśli do innego państwa lecą tylko małżonkowie ze świadkami. Rafałowie wydali łącznie 10 tys. zł, a nie mieli wesela. Zatem jest opcja legalnego małżeństwa jednopłciowego, ale bardziej dostępna dla osób zamożniejszych.

– Myślimy o wielu ludziach, którzy są wykluczeni ekonomicznie lub społecznie, dla których nawet wyjazd do Niemiec może być nieosiągalny. Liczba papierów, wniosków, które musieliśmy złożyć, tłumaczeń notarialnych... To wszystko jest czasochłonne, niełatwe i wiąże się z kosztami – przyznają moi rozmówcy.

Oni sami poczuli, że powinni zrobić to teraz, bo sytuacja w kraju zawsze może ulec zmianie. – Politycy mogą przecież przywrócić stary wzór aktów małżeństwa. Ale staram się być nastawiony pozytywnie i wierzę, że ten temat w końcu przestanie dzielić społeczeństwo – podsumowuje Michał B.

To wciąż za mało

28-letnia Natalia i 30-letnia Weronika spod Warszawy są razem ponad trzy lata. Rok temu się zaręczyły. Ich rodziny są ze sobą bardzo zżyte, chociaż bliscy Weroniki potrzebowali czasu, aby zaakceptować ich relację. – Z czasem zobaczyli, że przy mnie Weronika poszła do przodu. Z kolei moja mama wciąż pyta mnie o narzeczoną, rzadziej o mnie – śmieje się Natalia. Uważa, że czasy się zmieniają i nawet osoby o konserwatywnych poglądach inaczej patrzą na społeczność LGBT+.

Tym bardziej nie rozumieją, dlaczego nie mogą pobrać się w Polsce. To, co dzieje się wokół transkrypcji, nie napawa ich przesadnym optymizmem. – To nadal nie jest to, co chcieliśmy osiągnąć. Dostaliśmy tak naprawdę zalążek równości małżeńskiej – ocenia Natalia.

Obie mają duże rodziny, które wspierają ich relację, chciałyby więc móc zorganizować ślub na miejscu. Żeby wszyscy, których kochają, mogli być z nimi tego dnia. – Babcia Weroniki, bardzo mi ↦

↦ bliska, ma 86 lat. I nie powinna być narażana na daleką podróż – mówi Natalia.

Weronika dodaje, że bycie w związku homoseksualnym wciąż wiąże się z jakąś walką. – Walczysz o swoją relację, akceptację dla niej, walczysz o prawa, które inni mają bez wysiłku. A my jesteśmy takimi samymi obywatelkami jak cała reszta – mówi. – Para heteroseksualna może znać się chwilę i wziąć ślub, gdzie chce. Może to zrobić w przypływie chwili i rozstać się po kilku miesiącach – dodaje Natalia.

Obie nie wierzą, że kiedykolwiek będą traktowane na równi z osobami heteroseksualnymi. Jednak chcą się pobrać i planują zrobić to za 2-3 lata. Ślub wzięłyby nawet, gdyby transkrypcja nie była możliwa. Ale widzą w niej nowe możliwości. Wcześniej planowały spisanie umowy notarialnej. – Teraz możliwe, że to nam odpadnie. Chociaż same nie wiemy. Jest dużo informacji, a wciąż mało konkretów – przyznaje Natalia.

Znają parę kobiet, które w ogóle nie rozważają małżeństwa poza Polską. Uznają, że albo będą mogły zrobić to tak jak wszyscy, albo wcale. – Mnie najbardziej bolą takie sytuacje życiowe jak szpital, dziedziczenie – zaznacza Natalia. Ma problemy ze zdrowiem i bywała w szpitalach. Zdarzało się, że Weronikę pytano, kim jest dla swojej narzeczonej.

– Widziałam, że niektóre osoby w szpitalu były zniesmaczone, że ja pomagam Natalii przebrać się czy umyć. Jedna pani z sali, na której leżała, myliła nawet moją płeć i myślała, że jestem mężem Natalii – przyznaje Weronika. Natalia dodaje, że kiedyś było ciężej. Ludzie potrafili się od niej odwrócić tylko przez to, że jest lesbijką.

Dziewczyny jednak zgodnie przyznają, że Polska w roku 2026 powinna być już w innym miejscu, jeśli chodzi o prawa osób LGBT+.

Niepewna przyszłość

Zakład Ubezpieczeń Społecznych poinformował w komunikacie, że będzie traktował małżeństwa jednopłciowe „na równi z innymi małżeństwami zawartymi w Polsce i potwierdzonymi przez właściwy Urząd Stanu Cywilnego". Narodowy Fundusz Zdrowia widzi sprawę podobnie.

To jednak nie sprawia, że w Polsce zapanuje równość małżeńska. Wyjaśnia mi to adwokatka Weronika Pikusa, która od

ARCHIWUM PRYWATNE

Rafałowie wzięli ślub w marcu 2026 r., w urzędzie niewielkiej gminy Tønder w Danii.

Wyrokami sądów i presją społeczną udało się zmusić rząd do tego, **by zrobił absolutne minimum.** Propaganda sukcesu w ustach polityków jest więc nie na miejscu.

lat prowadzi kancelarię specjalizującą się w prawach osób LGBT+. – Nie jesteśmy w Stanach Zjednoczonych, gdzie ustanawiany jest precedens. U nas postępowania administracyjne rozpatrywane są indywidualnie i w konkretnych sprawach. Obecnie nie mamy podstaw prawnych do uznawania małżeństw jednopłciowych, tylko prawną argumentację. Ona wyznacza kierunek, ale nie zobowiązuje do konkretnych rozstrzygnięć. Rozporządzenie ministrów jest jedynie aktem pomocniczym, a nie podstawą prawną – tłumaczy.

Dodaje, że w Polsce mamy dwie frakcje: jedna podziela argumentację NSA i uznaje, że chociaż Konstytucja RP chroni małżeństwa heteroseksualne, to nie zakazuje tych jednopłciowych. Druga uważa, że ustawa zasadnicza tęczowe małżeństwa wyklucza. Te dwie interpretacje wciąż będą się ścierały. Dlaczego?

Jak mówi Weronika Pikusa, transkrypcja jest wiernym przepisaniem aktu, bez którego polskie prawo nie widzi danego małżeństwa. W świetle prawa powinno to skutkować nadaniem takiej parze wszystkich praw, które mają małżeństwa heteroseksualne. – Obawiam się jednak, że nie będą nadane automatycznie, bo wciąż nie mają twardej podstawy prawnej. To już widać po dyskusji, która się teraz toczy – mówi adwokatka.

Osoby LGBT+ będą musiały dalej walczyć o swoje prawa, bo mogą być one podważane. – Najbliższe lata pokażą, jak różne organy będą do tego podchodziły. Nie wiemy na przykład, co z urzędami skarbowymi. Społeczność będzie naciskała na rządzących, w tym na ministra finansów, aby wydano wytyczne. Wciąż jednak takie sprawy będą mogły być kwestionowane.

Czego małżeństwa jednopłciowe mogą być pewne? – Przy dokonywaniu transkrypcji składamy oświadczenie co do nazwiska małżonków i dzieci. Tego nikt nie podważy. Dotychczas wiązało się to z bardzo trudnym procesem administracyjnym. To duży plus dla tęczowych rodzin. Mamy też zielone światło od ZUS-u i NFZ. To już naprawdę coś.

Obecny rząd jest we frakcji, która chce liberalnie podchodzić do małżeństw jednopłciowych. Ekipy rządzące się jednak zmieniają. Co jeśli wygra obóz, który jest przeciw równym prawom dla osób LGBT+?

– Transkrypcje, które zostaną dokonane, są praktycznie nienaruszalne – mówi adwokatka. – Natomiast w przyszłości praktyka może się zmienić, np. poprzez zmianę istniejących ustaw. Z pewnością teraz otworzyło się okno pogodowe dla tęczowych par. I jestem przekonana, że wiele z nich będzie chciało z niego skorzystać.

© MARTA GLANC

ARCHIWUM RODZINNE

Jakub Stefańczyk z ośmioletnią córką Ewą i psem Porterem. Bielsko-Biała, maj 2026 r.

Wszystkie dni ojca

JAKUB STEFAŃCZYK, NIEWIDOMY:

RODZINA | W przedszkolu nauczycielka powiedziała, że moja córka konfabuluje. Mówi, że w wakacje jedzie sama z tatą za granicę i nad morze. Potwierdziłem wszystko, co mówiła Ewcia, a pani zapytała ze zdumieniem: „Naprawdę?”.

MAŁGORZATA NOCUŃ: Kiedy odprowadzasz swoją córkę do szkoły w śródmieściu Krakowa, przed gmachem mówisz: „No to pa”, ona się uśmiecha, uwalnia Twoją dłoń i znika za drzwiami, a Ciebie Porter – pies przewodnik – prowadzi dalej.

Wyglądacie na bardzo szczęśliwych. W młodości czułeś, że chcesz mieć dziecko?

JAKUB STEFAŃCZYK: Tak, ale uważałem, że do siódmego roku życia wychowywać je będzie jego mama. Kasia, moja narzeczona, wytłumaczyła mi, że od początku wspólnie będziemy się o nie troszczyć. Niewiele brakowało, a z tego powodu uciekłbym sprzed ołtarza.

Bałeś się?

Bardzo. W pokoleniu moich dziadków, a także rodziców, znam niewielu dobrych ojców. Mało który jest zaangażowany w relacje ze swoimi dziećmi. Czułem, że i ja temu wyzwaniu mogę nie sprostać. Szczególnie przerażała mnie opieka nad niemowlęciem.

Pochodzę z Radomia, w moich okolicach żywy był zabobon mówiący o „schynięciu” dziecka. Niemowlę traktowane bez należytej delikatności – której brak objawiać się może np. nieodpowiednim sposobem ułożenia na rękach, a nawet nieodpowiednim spojrzeniem – stanie się płaczliwe, straci apetyt, zacznie chorować. Będzie po prostu „schnąć”. Nie wierzę w przesądy, jednak z domu wyniosłem przekonanie, że dzieci są niczym porcelana. Dotkniesz i rozsypią się w drobny mak.

Twoja córeczka urodziła się przez cesarskie cięcie. W czasie operacji siedziałeś pod salą, czekałeś, aż lekarz do Ciebie wyjdzie i powie, że Ewa jest już na świecie.

Kiedy to się stało, zapytałem, czy mogę się z nią przywitać. Usłyszałem, że oczywiście. Przyniesiono mi ją i ułożono na rękach. Była taka maleńka: jej główka opierała się o mój łokieć, a stópki sięgały nadgarstka. Wszystko, co teraz powiem, będzie truizmem i nie odda tego, co w tamtej chwili czułem. Świat się zatrzymał, a ja nagle przekonałem się, że mam w sobie niewyczerpane pokłady miłości do tego dziecka, i że jest ona absolutnie bezwarunkowa.

W kobiecie mężczyzna się zakochuje, bo uwodzi go jej piękno, charakter, intelekt, a dziecko kocha się, ponieważ pojawiło się na świecie. Poczułem – wręcz fizycznie, w mięśniach, kościach – że jestem odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo i użyję wszelkich swych sił, by ją obronić przed złem.

Z wykształcenia jestem historykiem, kiedy tuliłem Ewkę, zrozumiałem, dlaczego w starożytnym Rzymie istniał rytuał „uznania dziecka” – polegał on na podniesieniu wysoko noworodka przez ojca i pokazaniu go zgromadzonemu tłumowi. W tej chwili mężczyzna stawał się ojcem.

Poznając ją, słuchałeś jej oddechu, czułeś jej zapach?

Tak, ale byłem też przekonany, że takie maleństwo głośno krzyczy. A Ewa nie płakała, rozległo się ledwie kwilenie, takie cichutkie: „pi, pi, pi”. Wrzasnąłem na całą salę: „Niech ktoś do mnie przyjdzie!”. Usłyszałem kroki położnej, która po chwili zapytała, w czym może mi pomóc. Wytłumaczyła, że dziecko, które przed chwilą przyszło na świat, nie ma siły głośno płakać. Poza tym operacja cięcia cesarskiego nie była łatwa. Ewa nie chciała opuścić macicy – wychłodziła się i miała za chwilę trafić do inkubatora.

Sam urodziłeś się jako skrajny wcześniak, ważyłeś kilkaset gramów i mieściłeś się na dłoni, długo walczyłeś o życie w inkubatorze. ↦

↦ **Retinopatia wcześniacza – choroba wywołana tlenoterapią – odebrała Ci wzrok.**

Kiedy przyszedłem na świat, lekarz powiedział mojej mamie: „Proszę się nie martwić, jest pani młoda, urodzi pani jeszcze". Mama modliła się, żebym przeżył. Tłumaczono jej, że konsekwencją wcześniactwa może być czterokończynowe mózgowe porażenie dziecięce – choroba, która odbiera człowiekowi władzę nad ciałem – nie siedzi, nie porusza rękoma, nogami. Może także dojść do utraty słuchu i wzroku. Ale mama wciąż powtarzała: „Oby tylko nie umarł".

Wzrok straciłem w pierwszych miesiącach życia, wcześniej lekarze zauważyli, że nie wodzę wzrokiem za przedmiotami. To był cios dla mojej mamy, a lęk o mnie zdominował jej życie. W wieku szesnastu lat byłem bardzo dobrze rozwinięty intelektualnie – mama dużo mi czytała, dbała, bym poznawał świat, ale nie umiałem posmarować kanapki masłem czy złożyć ubrań. We wszystkim byłem wyręczany. Kiedy poznałem Kasię, siedziałem zaszyty w czterech ścianach akademika i czytałem książki, od wielkiego dzwonu wychodziłem z białą laską na dwór. Od swojej przyszłej żony usłyszałem, że muszę się usamodzielnić.

Poznaliście się w krakowskim technikum dla osób niewidomych i niedowidzących.

Tak, Kasia jest osobą niedowidzącą. Nasza znajomość zaczęła się na potańcówce, nazajutrz umówiliśmy się na wspólne śniadanie. Dobrze nam się rozmawiało, lubiliśmy wspólnie spędzać czas, np. czytając książki.

Dokładnie pamiętam chwilę, w której się w niej zakochałem. Staliśmy naprzeciw siebie na dworcu i kupowaliśmy bilety na wspólną podróż, powiał wiatr, poczułem jej zapach. To było jak uderzenie „sycylijskim piorunem", o którym pisał Mario Puzo w „Ojcu chrzestnym". Pomyślałem: „To będzie moja dziewczyna".

Po urodzeniu Ewy, kiedy położna wypowiedziała słowo „inkubator" – podobnie jak ponad ćwierć wieku wcześniej Twoją matkę – zdjął Cię lęk.

Zapytałem, gdzie znajdują się drzwi prowadzące do sali Ewci. Pokazano mi je, równocześnie instruując, że rodzicom nie wolno przekroczyć progu. Nie wahałem się ani chwili, nacisnąłem klamkę. Za plecami słyszałem krzyk położnej: „Proszę nie wchodzić!", ale udałem, że nie słyszę. W końcu ktoś stwierdził: „Zostaw go, przecież widzisz, że wariat". Zaprowadzono mnie do inkubatora, pozwolono dotknąć córeczki. Zapytałem nawet, czy jej oczy zostały odpowiednio zabezpieczone.

Później odwiedzałem Kasię i Ewkę na sali poporodowej. Dotykałem córeczki centymetr po centymetrze: główka, rączki, brzuszek, nóżki. Wtulałem w nią nos.

Nie miałeś obaw, że przez przypadek zrobisz Ewie coś złego?

Kupiłem specjalny leżaczek, by ją kąpać, niestety pewnego razu namydlona zsunęła mi się z rąk; od tamtej pory kąpała ją Kasia. Nauczyłem się przygotowywać mleko modyfikowane – żona wykonała specjalne nacięcia w strzykawce, dzięki którym odmierzałem odpowiednią ilość płynu. Uwielbiałem karmić Ewkę: siadałem w bujanym fotelu, zakładałem słuchawki i włączałem kryminał. Kiedy malutka zjadała mleko i zasypiała mi na klatce piersiowej, rozpinałem koszulę, a ona wtulała się we mnie. Przewijałem ją, przebierałem, usypiałem. Czasem Kasia się śmiała: „No jak te śpioszki ubrałeś? Przecież są tyłem do przodu!". Czasem źle zapiąłem pampersa i mała się posikała. Ale ze wszystkim sobie w końcu radziłem.

Kiedy Ewa miała pół roku, moja żona poszła spotkać się z koleżankami. Zapytały, kto opiekuje się Ewką. Nie mogły uwierzyć, że została ze mną. Z facetem? W dodatku niewidomym?

Czy wiesz, jak wygląda Ewa?

Oczywiście. Ewa ma dziś osiem lat. Ma ładny, proporcjonalny nos, który odziedziczyła po mamie, regularne rysy twarzy. Kiedy się uśmiecha, w jej policzkach powstają małe dołeczki. Jest wysoka, ma długie smukłe nogi, lubi wiązać włosy w dwa kucyki. Jej dłoni nie pomyliłbym z dłonią nikogo innego. Kiedy milcząc, podaje mi ją, od razu mówię: „Cześć, Ewka".

Niedługo zacznie dorastać.

Tak, już robi się dziewczęca. Staje przed lustrem, przymierza sukienkę za sukienką. Jest łobuziarą, ma też twardy charakter, więc ciężko jest jej w czymś ustąpić. Szanuję jej zdanie i nie mówię, że skoro jest dzieckiem, ma siedzieć cicho. Robi się teraz coraz bardziej samodzielna – należy do harcerstwa, jeździ na obozy.

Pewnie jak każdy ojciec czujesz niepokój o nią?

Boję się, że kiedyś będzie zagrażać jej jakieś niebezpieczeństwo, a ja jej przed nim nie obronię. Stanie się ofiarą hejtu w internecie, ktoś zaproponuje jej narkotyki albo wyrządzi inną krzywdę. Czasem myślę też, że źle się stanie, jeśli zatrzymam się w poznawaniu Ewki, utrwalę sobie jej obraz w głowie i przestanę postrzegać ją jako zmieniającą się osobę.

W jaki sposób opowiadasz Ewie o otaczającym ją świecie?

W wieku dwóch lat Ewa zaczęła mówić, wtedy też pojawiło się pytanie: „Tata, a cio to?". Odpowiadałem: „Ewko, twój tata nie widzi". „Wiem" – odpowiadała. „A cio to?". Wówczas prosiłem ją, by dany przedmiot opisała. Czasem ktoś obecny w pobliżu – czy to w tramwaju, czy w parku – pomógł mi, odpowiadając córce w moim imieniu. Bywało też, że konfabulowałem.

Czy Ewa buntuje się przeciwko Twojej niepełnosprawności?

Kilka lat temu wybraliśmy się z przyjaciółmi na wakacje. W pensjonacie był szwedzki stół, poprosiłem więc Ewę, by nałożyła nam jedzenie na talerze. W pewnym momencie się zniecierpliwiła, powiedziała, że denerwuje ją, iż musi obsługiwać niewidomego ojca; inne dzieci nie mają takiego obowiązku.

Bardzo mnie to zabolało, ale pomyślałem sobie, że ona jest jeszcze małą dziewczynką, a ja obarczam ją być może zbyt wieloma obowiązkami. Powiedziałem: „Ewciu, rozumiem. Trochę mi przykro, ale sobie poradzę". Przy następnym posiłku poprosiłem przyjaciół o pomoc, a nazajutrz Ewa powiedziała: „Tatusiu, przepraszam cię. Lubię ci pomagać, wczoraj byłam zmęczona. Nie fatyguj już cioci, to moje zadanie".

Dawniej pytała, czy nie można przywrócić mi wzroku. Spokojnie odpowiadałem, że medycyna wciąż jest w tej kwestii bezradna. Chyba już pogodziła się, że jestem osobą niewidzącą.

Co najbardziej lubisz robić z Ewą?

Kąpać się w morzu. Mocno ją obejmuję, by nie porwał jej przypływ, albo trzymam

JAKUB STEFAŃCZYK
jest historykiem, nauczycielem i pedagogiem specjalnym. Pracuje jako przewodnik w Centrum Nauki i Zmysłów w Krakowie, pisze teksty publicystyczne i naukowe na tematy historyczne.

ARCHIWUM RODZINNE

Na zdjęciu z ośmioletnią córką Ewą i psem Porterem, kwiecień 2026 r.

ją w kole ratunkowym i podskakujemy, kiedy nadchodzi fala. Jesienią i zimą pływamy w basenie. Ewa biegle czyta i coraz chętniej sięga po książki. Ponieważ sam jestem molem książkowym, planuję wprowadzenie w domu „czasu wspólnego czytania". Siądziemy obok siebie – ona po cichutku odda się swojej lekturze, a ja swojej, w alfabecie Braille'a.

Ewa bardzo kocha też konie i uczy się na nich jeździć, więc moim obowiązkiem jest zawożenie córki do stadniny.

Pewnie niepełnosprawność nie pozwala Ci towarzyszyć córce w niektórych czynnościach?

Wówczas proszę kogoś o pomoc albo za nią płacę. Marzę, by pojechać z Ewą na leśny biwak. Nie poradzę sobie jednak z rozbiciem namiotu i rozpaleniem ogniska. Może poproszę o wsparcie kolegę, który za mnie te czynności wykona, a ja będę gotować – jestem dobrym kucharzem.

Ewa czasem pyta: „Tata, mogę wejść na drzewo?". Pozwalam na to, starając się ją asekurować, choć wiem, że sam powinienem na to drzewo z nią wejść. Bo takie rzeczy córki robią ze swoimi ojcami.

Niekiedy Ewa musi być bardziej zdyscyplinowana niż inne dzieci. Kiedy idziemy na plac zabaw, umawiam się z nią, że jeśli trzy razy krzyknę: „Ewcia", a ona nie zjawi się przy mnie, to wracamy do domu. Rozmyślam, czy aby nie jestem zbyt surowy, czy nie trzymam się wyznaczonych zasad zbyt sztywno, po czym mówię sobie: „Trudno. Jesteś niewidomy. Nie masz alternatywy". Brak zdecydowania może sprawić, że córce stanie się coś złego.

Niektórzy mówią, że dziecka nie da się upilnować. Tobie zawsze się udaje?

Ależ skąd. Kiedy Ewka była mała, wyczułem palcem, że w zabawce, którą przed chwilą miała w rączce, brakuje małej, okrągłej bateryjki. Zapytałem, gdzie jest, a ona odpowiedziała: „Tu". Pomyślałem, że chodzi o usta, i strach mnie sparaliżował, ale na szczęście znalazłem ją w jej łóżeczku.

Innym razem szukałem skarpetek w szufladzie, spieszyłem się do pracy. Ewa siedziała zabezpieczona w łóżeczku: materacyk na najniższym poziomie, szczebelki. Nagle usłyszałem hałas, podbiegam do łóżeczka, było w nim pusto. Schylam się, a Ewka leży na podłodze i się nie rusza. Podniosłem ją, była jak lalka – sztywno zastygła w jednej pozie. Ale kiedy ją przytuliłem, z całych sił wydarła mi się do ucha.

Pewnego razu – wspinając się po półkach – weszła na szafę i znalazła się pod samym sufitem. Bała się, więc wtuliła się między ułożone tam plecaki i czekała, aż ktoś ją zdejmie. Wszedłem na drabinę, powiedziałem, by się we mnie wtuliła, i zeszliśmy razem.

Czy zdarza Ci się – w kontekście ojcostwa – przeklinać swoją niepełnosprawność? Czy też jesteś z nią pogodzony?

Niepełnosprawność przeszkadza mi w byciu tatą, bywa, że mnie irytuje, że z jej powodu jest mi bardzo przykro. Sprzeciwiam się narracji, którą czasem słyszę, że oto fakt, iż nie widzę, ubogaca moją rodzinę, że jest niemal czymś dobrym, że stanowi dar. Niestety, tak nie jest. Moja niepełnosprawność wiele odbiera mojemu dziecku i mojej żonie. Dlatego w obszarach, w których sobie radzę, staram się robić jak najwięcej. Zawsze mogę liczyć na wsparcie mojej żony i jej pomysłowość.

Niedawno Kasia i Ewa wybrały się na rowerową wyprawę, wróciły zmęczone, ale przeszczęśliwe. Trochę im tego pozazdrościłem. Kolejną wycieczkę spróbujemy odbyć wspólnie – ja z Kasią wsiądziemy na tandem, a Ewka pojedzie za nami.

Chyba niewielu rzeczy odmawiasz Ewie.

Kiedy sama opowiada o naszych przygodach, nie tylko dzieci, ale i dorośli jej nie wierzą. W przedszkolu nauczycielka wezwała mnie na dywanik i poprosiła, bym porozmawiał z Ewą, bo córka konfabuluje. Mówi, że w wakacje jedzie z tatą za granicę, nad morze i do dziadka w góry. „No wie pan..." – z zażenowaniem zawiesiła głos. Kiedy odrzekłem, że wszystko, co mówi Ewcia, jest prawdą, pani ze zdumieniem zapytała: „Pan tak sam z nią jeździ? Naprawdę?". Zresztą, także w szkole chłopcy nie dawali jej wiary, powiedzieli, by „nie ściemniała". Stwierdzili, że ze mną „nie da się tych wszystkich rzeczy robić". Było jej przykro.

Dokąd wyjeżdżacie?

Kilka razy byliśmy w Holandii. Z żoną i znajomymi na Cyprze, niedługo jedziemy do Włoch. Kiedy lecimy za granicę, Ewa jest moimi oczami, trzyma mnie za rękę i mówi, co znajduje się w naszym otoczeniu; ja wtedy zajmuję się prowadzeniem rozmów w obcych językach. Na szczęście świat staje się coraz przychylniejszy wobec osób z niepełnosprawnościami: na lotniskach czy dworcach można poprosić o asystenta.

Czego nauczyła Cię Ewa?

Na pewno wyrabia we mnie dużo cierpliwości. Poza tym nauczyła mnie objaśniania trudnych rzeczy w prosty sposób. Pokazała mi również, że czasem nie wszystko musi wyjść dobrze i trzeba sobie dać prawo do błędu.

© Rozmawiała MAŁGORZATA NOCUŃ

ADOBE STOCK

ROZMOWA

JAK OPOWIEDZIEĆ ŚWIAT NA NOWO

ANDRZEJ LEDER, FILOZOF I PSYCHOTERAPEUTA:

Funkcjonujemy niby we wspólnych bańkach, ale tak naprawdę każdy pozostaje sam wobec strumienia treści płynącego przez ekran. W takich warunkach trudno tworzyć wspólne mitologie.

Pustki na lotnisku we Frankfurcie, czarna tablica odlotów w grudniu 2021 r.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Co właściwie dzieje się ze światem?

ANDRZEJ LEDER: Najważniejsze jest przesunięcie jego ekonomicznego centrum. Odchodzimy od dominacji globalnej Północy – przede wszystkim Stanów Zjednoczonych i Europy – w stronę Wschodu i globalnego Południa. Wschód to głównie Chiny i Azja Południowo-Wschodnia, Południe – kraje postkolonialne, dawniej nazywane „trzecim światem".

To przesunięcie wywołuje ogromne wstrząsy ekonomiczne, ale być może jeszcze ważniejsze są inne jego konsekwencje. Za sprawą dezindustrializacji globalnej Północy całe grupy społeczne stały się – z punktu widzenia systemu – zbędne. Widzimy to także w Polsce. I to właśnie te grupy coraz wyraźniej podważają dotychczasowy porządek polityczny i społeczny.

Drugim wymiarem zmiany jest katastrofa klimatyczna. W centralnej Polsce mieliśmy wiosną dramatyczną suszę. W miastach długo można tego nie zauważać – dopóki w kranie jest woda, a w gniazdku prąd. Ale wiemy już, że wcześniej czy później pojawia się konieczność racjonowania jednego i drugiego. To oznacza nie tylko nieuchronną zmianę sposobu produkcji energii, ale także modelu jej zużywania. Problemem nie są wyłącznie paliwa kopalne, lecz również skala naszej konsumpcji energii.

A jednocześnie rozpada się chyba coś jeszcze – wspólny sposób rozumienia świata. Jesteśmy świadkami erozji zachodniego imaginarium: języka, symboli i opowieści, które organizowały nowoczesność.

Opowieści działają, jeśli są adekwatne do świata, który mają opisywać. Jeśli wydarzenia kompletnie do nich nie pasują, to opowieści wpierw jawią się jako groteskowe, a potem faktycznie się rozpadają. Ale jest jeszcze jeden proces, który się z tym łączy – rewolucja komunikacyjna. Usieciowienie świata i dominacja platform społecznościowych całkowicie zmieniły sposób, w jaki poznajemy rzeczywistość. Można to porównać z rewolucją Gutenberga albo przejściem od kultury oralnej do piśmiennej. Tamte procesy również wywoływały ogromne wstrząsy.

W obrębie globalnej Północy, dawniej zwanej Zachodem, przyczyną kryzysu wspólnego obrazu świata pozostaje jednak przede wszystkim zmiana struktury społecznej. Powojenny porządek opierał się na względnie stabilnym podziale klasowym i wspólnych ramach wyobraźni społecznej – zestawie opowieści, symboli i wartości organizujących życie zbiorowe. Dziś ten układ się rozpada. Najbogatsi coraz bardziej odrywają się od lokalnych wspólnot i przestają potrzebować wspólnej opowieści organizującej społeczeństwo.

Media społecznościowe ten proces wzmacniają. Rozprzestrzeniają nowe mitologie i narracje. Jeszcze nie wiemy, jaki porządek się z tego wyłoni, ale widzimy, że ten dawny odchodzi w przeszłość.

W „Prześnionej rewolucji" pisał Pan, że momenty głębokiego kryzysu są pozbawione własnego języka – że brakuje narzędzi, by je opisać. Czy nie żyjemy właśnie w takim czasie?

Zdecydowanie. Nie mamy czegoś w rodzaju wspólnego dramatu – opowieści, która mogłaby organizować zbiorowe doświadczenie. Dodatkowo rewolucja ↦

↦ komunikacyjna wzmacnia tendencje skrajnie indywidualistyczne. Neoliberalizm już wcześniej promował indywidualizm, a media społecznościowe okazały się dla niego idealnym narzędziem. Wbrew dawnym nadziejom internet raczej dzieli, niż łączy. Funkcjonujemy niby we wspólnych bańkach, ale tak naprawdę każdy pozostaje sam wobec nieustannego strumienia treści płynącego przez ekran. W takich warunkach trudno tworzyć wspólne mitologie. A jeśli już się pojawiają, jak narracja antyszczepionkowców, przecinają i fragmentaryzują społeczeństwa w zupełnie nowy sposób.

Nowoczesna demokracja stała się możliwa także dlatego, że istniała wspólna przestrzeń informacyjna. Dziś nawet jeśli próbujemy zrozumieć świat – choćby wojnę w Ukrainie – dostajemy właśnie strumień obrazów i krótkich komunikatów niż spójną opowieść.

Oczywiście można próbować samodzielnie składać te fragmenty w całość, ale wymaga to czasu, wysiłku i umiejętności krytycznego myślenia – a wszystko są to dobra, których nam brak. Jednocześnie niezwykle łatwo znaleźć narracje odpowiadające naszym emocjom i przekonaniom. Ludzie wybierają opowieści, które potwierdzają ich sposób widzenia świata.

Obrazowy i skrótowy sposób prezentowania spraw i zjawisk pogłębia problem. Polscy nacjonaliści szukają obrazów przedstawiających Ukraińców jako zagrożenie, a środowiska liberalne widzą w nich przede wszystkim ofiary i sojuszników. Pomiędzy tymi obrazami nie ma żadnego zapośredniczenia.

Emocjonalne profilowanie przekazów dodatkowo rozbija wspólne imaginarium.

Dobrym przykładem są technologiczni miliarderzy w USA. To ludzie świetnie wyedukowani technicznie, ale słabo wykształceni i słabo zorientowani w historii czy teorii społecznej. Kiedy odkrywają pewne nurty filozoficzne, zaczynają traktować je jako prawdy objawione, szczególnie jeśli uzasadniają ich własną pozycję. Mechanizm jest prosty: skoro odnieśli sukces, to znaczy, że są lepsi, a w demokracji rządzi większość, więc rządzą gorsi, z czego wynika, że demokracja zaczyna być zbędna. Państwo jest zbędne. Nawet równość praw jest zbędna.

Z kolei w fenomenie Trumpa kluczowy jest sam język – chaotyczny, bełkotliwy, podważający reguły debaty publicznej.

Destrukcja języka politycznego jest jednocześnie fascynująca i niepokojąca. I nie dotyczy wyłącznie Stanów – podobne mechanizmy pojawiają się w Europie. Taki język trafia przede wszystkim do ludzi pozbawionych nadziei i żyjących od pokoleń na marginesie społeczeństwa. Fenomen Trumpa polega więc nie tyle na samym języku, ile na tym, że miliony ludzi odnajdują w nim potwierdzenie własnych emocji. To zresztą przypomina atmosferę, w której rodził się europejski faszyzm.

Działania Trumpa i jemu podobnych to także rosnące przyzwolenie na przemoc.

To ta sama dynamika. Jeśli ktoś przez długi czas doświadcza marginalizacji – ekonomicznej, społecznej czy osobistej – frustracja łatwo znajduje ujście w fantazjach przemocowych. Widzimy to dziś również w reakcji manosfery wobec kobiet.

Agresja przenika także codzienne relacje społeczne. Przy czym jej ogromne pokłady – zorganizowana przestępczość w wielkiej skali, mordowanie aktywistów politycznych – to była cecha krajów globalnego Południa; Brazylii, Meksyku czy krajów postradzieckich. Dziś wyłania się w krajach naszego kręgu cywilizacyjnego.

Czyli nieubłaganie pędzimy w stronę uskoku cywilizacyjnego. I nie wiadomo, co się za nim kryje.

Jestem zwolennikiem czegoś, co nazywam optymizmem apokaliptycznym: przekonania, że najbliższy czas będzie trudny, ale jednocześnie otworzy nowe możliwości. Przeżywam to zresztą na dwóch poziomach. Jako obywatel, ojciec, mąż mam powody do niepokoju. Ale jako filozof, który próbuje rozumieć rzeczywistość, jestem tym momentem zafascynowany. Bo właśnie w takich okresach trzeba – i można – szukać nowego języka opisu świata.

REKLAMA

Ponury, smutny, zły.
Czy tacy naprawdę jesteśmy?

znak TYGODNIK POWSZECHNY

To koniec nowoczesności – a wraz z nią jej najważniejszego osiągnięcia, czyli liberalnej demokracji?

Powiedziałbym raczej, że nowoczesność właśnie realizuje się w pełni – choć w sposób budzący ogromne napięcia. Jej istotą pozostaje organizowanie społeczeństwa wokół masowej produkcji i konsumpcji, a ten fundament trzyma się mocno. Oczywiście klasa średnia globalnej Północy przeżywa kryzys. Ale równocześnie powstają nowe klasy średnie i klasy pracujące w Chinach czy Indiach.

W tym sensie nowoczesność się nie kończy – ona się globalizuje. Natomiast jeśli utożsamimy ją z demokracją liberalną, to rzeczywiście widać kryzys. I jest to przede wszystkim kryzys skali. Procesy gospodarcze i społeczne dawno przekroczyły możliwości państw narodowych. Możemy wybierać parlamenty i rządy, ale ich realna sprawczość wobec globalnych korporacji czy rynków jest ograniczona. Wydaje mi się więc, że kolejnym etapem będą musiały być formy demokracji o skali większej niż państwo narodowe – nazwijmy je roboczo demokracjami kontynentalnymi.

Czyli Europa – jeśli chce zachować polityczną podmiotowość – musi stać się organizmem bardziej zwartym?

Największą przewagę mają dziś organizmy kontynentalne – USA, Chiny, Indie. Jeśli Europa nie stanie się czymś podobnym, pozostanie zbiorem relatywnie małych państw rozgrywanych przez większych graczy. Zresztą już dziś coraz częściej funkcjonuje bardziej jako przestrzeń użytkowana gospodarczo czy turystycznie niż samodzielny podmiot polityczny. Dlatego sądzę, paradoksalnie i wbrew dzisiejszym trendom, że jeśli suwerenność europejskich narodów, a wraz z nią europejska demokracja ma przetrwać, to w formie politycznej federacji.

Dziś jednak odpowiedzią na globalizację staje się coraz częściej powrót nacjonalizmów.

Tak, przy czym w mojej ocenie to klasyczny *backlash* wobec neoliberalnej globalizacji. Powrót do wspólnoty narodowej jest często próbą obrony praw socjalnych, które państwo narodowe wciąż jeszcze częściowo gwarantuje, a które ulegają erozji wobec międzynarodowej konkurencji i rywalizacji.

PIOTR KAMIONKA / REPORTER

PROF. ANDRZEJ LEDER jest psychiatrą, psychoterapeutą i filozofem kultury. Wśród jego książek są m.in. „Przemiana mitów, czyli życie w epoce schyłku", „Prześniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej" oraz „Ekonomia to stan umysłu. Ćwiczenie z semantyki języków ekonomicznych".

Równocześnie istnieje proces przeciwny – potrzeba budowania większych wspólnot politycznych. I właśnie napięcie między powrotem do narodu a koniecznością działania w większej skali będzie jednym z głównych konfliktów najbliższych lat.

A lewica – nie tylko w Polsce – za tym wszystkim nie nadąża.

To problem strukturalny. Jeszcze do lat 70. społeczeństwa zachodnie były w dużej mierze społeczeństwami przemysłowymi. Około jednej trzeciej ludzi pracowało w przemyśle – i to była naturalna baza społeczna lewicy. Dziś ta struktura się rozpadła. Praca nie zniknęła, ale przybrała inne formy: logistyka, platformy cyfrowe, rozproszone usługi, zawody opiekuńcze czy niższe szczeble sektora „intelektualnego", które zresztą za chwilę zacznie wypierać AI. To ogromna grupa, ale zupełnie inaczej zorganizowana niż dawny proletariat. Lewica nie znalazła języka ani form działania, które pozwalałyby do niej dotrzeć. Dodatkowo neoliberalizm wmówił wielu tym ludziom, że nie są pracownikami, tylko „przedsiębiorcami samych siebie".

Warto jednak pamiętać, że to przede wszystkim problem globalnej Północy. W Chinach po kryzysie finansowym mieliśmy strajki, które realnie poprawiły warunki pracy. W Indiach odbywały się gigantyczne protesty przeciwko deregulacji rolnictwa – uczestniczyły w nich miliony ludzi. Może właśnie na globalnym Południu pojawiają się dziś nowe formy mobilizacji politycznej.

Historycznie źródło problemów lewicy to rewolty lat 60. i początku 70. XX stulecia. Społecznie zostały w dużej mierze przegrane, umożliwiły deregulację warunków pracy lat 80., ale jednocześnie kulturowo były zwycięskie. To wtedy nastąpiło przesunięcie: kwestie ekonomiczne zaczęły tracić znaczenie, a na pierwszy plan wysunęły się postulaty tożsamościowe.

Przekonuje Pan, że ekonomia stała się jedynym całościowym językiem opisu świata – a jednocześnie coraz mniej ludzi naprawdę rozumie, jak ona działa. Może potrzebujemy porządnej edukacji ekonomicznej?

Trzeba z tym pojęciem uważać, bo w Polsce często oznacza popularyzację ekonomii neoklasycznej i przekonania, że każdy powinien zostać przedsiębiorcą.

Natomiast jeśli mówimy o rozumieniu procesów ekonomicznych w ich związku ze strukturą społeczną i doświadczeniem ludzi, to jest to wręcz niezbędne. Ekonomia faktycznie jest dziś jedynym globalnie zrozumiałym językiem. To dlatego wiemy, co dzieje się na giełdach, a prawie nie słyszymy o wspomnianych protestach w Indiach czy Chinach. Informacje krążą głównie w ramach systemów ekonomicznych i są filtrowane przez ich logikę.

Potrzebujemy więc szerszego myślenia ekonomicznego, które pozwala zobaczyć całość procesów, a nie tylko ich fragment zgodny z dominującą ideologią. Być może potrzebna jest również zmiana samego języka ekonomii. Dziś większość decyzji podejmowana jest w bardzo krótkiej perspektywie – rocznej czy kilkuletniej – podczas gdy kluczowe procesy, choćby klimatyczne, rozgrywają się w skali dekad. Problemem jest też rozumienie własności, to widać po tym, jak groźna stała się jej koncentracja w obszarze technokorporacji – i wreszcie przemyślenie podstawowej litery języka ekonomicznego, czyli znaku pieniądza.

Coraz powszechniejsze staje się wrażenie, że pieniądz odrywa się ↦

↦ **od realnego doświadczenia i zaczyna funkcjonować jak autonomiczny, skupiony wyłącznie sam na sobie system.**

Z jednej strony tak, dlatego krytyczna refleksja nad pieniądzem jest konieczna. Z drugiej strony nie powinniśmy popadać w iluzję, że można się go pozbyć. Pamiętam końcówkę lat 80. w Polsce, kiedy gospodarka zaczynała działać na zasadach zbliżonych do barteru. To był system skrajnie niewydolny.

Nie chodzi więc o odrzucenie pieniądza, ale o zmianę funkcjonowania całego systemu finansowego. Takie zmiany nie dokonują się same – potrzebne są siły polityczne zdolne je wymusić. To oznacza również konieczność wyobrażenia sobie, w jakim kierunku miałyby pójść – ale taka wyobraźnia dopiero się kształtuje.

W Pana myśleniu psychoterapia i teoria społeczna się łączą – także wtedy, gdy mówi Pan o ekonomii, pragnieniu i przemocy. Czy te napięcia współczesnego systemu widać również w doświadczeniu terapeutycznym?

Pewne indywidualne zjawiska, z którymi spotykam się w gabinecie, mają charakter masowy. Jednym z nich są uzależnienia – nie tylko od substancji, także behawioralne. Coraz wyraźniej widać choćby kompulsywną konsumpcję. W takim układzie pieniądz zaczyna pełnić funkcję fetyszu – czegoś, co organizuje pragnienie i nadaje sens działaniu.

Dla mnie łączenie psychoanalizy z teorią społeczną było ważne od początku. Psychoanaliza to przecież nie tylko teoria terapii, ale także pewien rodzaj filozofii i sposób myślenia o społeczeństwie. Jeśli tak na nią spojrzymy, granica między tym, co psychiczne i społeczne, przestaje być wyraźna. Zresztą istnieje cała tradycja – od freudomarksizmu po szkołę frankfurcką i współczesne nurty lacanowskie – która próbuje łączyć analizę pragnienia z analizą struktur społecznych. To ważne, bo pozwala lepiej rozumieć mechanizmy zbiorowe. Kiedy mówię o pragnieniu odwetu jako czynniku politycznym, korzystam właśnie z takich narzędzi.

> Możemy wybierać parlamenty i rządy, ale ich sprawczość wobec globalnych korporacji czy rynków jest ograniczona. Pora na demokrację o skali większej niż państwo narodowe **– nazwijmy ją roboczo „kontynentalną”.**

Dziś terapia ma niemal wyłącznie indywidualny, intymny wręcz wymiar, a przecież powstała w konkretnych realiach historycznych.

I konkretnych realiach społecznych – w świecie mieszczańskim, opartym na silnym indywidualizmie. To sprzyjało myśleniu o ludzkich problemach przede wszystkim jako o efekcie indywidualnej historii życia, a nie szerszych procesów.

W wersji amerykańskiej psychoterapia momentami stawała się narzędziem dostosowywania jednostki do gospodarki rynkowej. Jeśli dobrze funkcjonujesz w systemie – jesteś „zdrowy”. W Polsce z kolei pojawiła się podczas transformacji – i związała się z wyobrażeniami rodzącej się klasy średniej o sukcesie i samorealizacji.

W Pana książce „Ekonomia to stan umysłu” ważnym pojęciem jest zaufanie. Mam jednak wrażenie, że żyjemy raczej w epoce jego rozpadu.

Powiedziałbym, że raczej poważnego kryzysu, bo nie znika całkowicie – raczej się fragmentaryzuje i działa w ograniczonych obszarach.

Leciałem niedawno samolotem między europejskimi miastami i uderzyło mnie, jak bardzo system masowego przemieszczania się oparty jest na zaufaniu. Kupujemy bilet *online*, system przyjmuje nasze deklaracje, przechodzimy kolejne procedury, a nawet nie pokazujemy dokumentu tożsamości... Siadamy obok obcych ludzi i zakładamy, że nie stanowią dla nas zagrożenia. To podstawowy, ale jednak realny poziom zaufania społecznego.

Równocześnie obserwujemy ogromny wzrost nieufności – wobec instytucji, intencji innych ludzi, tych bardziej odległych czy stygmatyzowanych, i wobec całych grup społecznych. Te dwa procesy dzieją się jednocześnie.

Trzeba pamiętać, że zaufanie zawsze jest pierwotne względem wiarołomstwa. Ufając, siłą rzeczy zakładamy możliwość nadużycia. Nie byłoby zdrady, gdyby wcześniej nie było zaufania. Ryzyko jest nieredukowalnym elementem tego procesu. I dodam jeszcze jedno: zaufanie jest jednym z podstawowych dóbr cywilizacyjnych, ale jego warunkiem pozostaje pewien poziom równości. Jeśli relacje stają się skrajnie hierarchiczne, trudno mówić o zaufaniu. Ono wymaga choć minimalnego poczucia wspólnoty.

Czyli wracamy do punktu wyjścia: bez wspólnego imaginarium nie da się utrzymać także zaufania.

Co ciekawe, ekonomia często próbuje stworzyć iluzję, że wspólnota nie jest potrzebna i wystarczy sam mechanizm wymiany. Ale przecież wymiana, od prostego kupienia pietruszki po najbardziej złożone systemy ekonomiczne, opiera się ostatecznie na pewnym poziomie zaufania. O innych, znacznie ważniejszych obszarach naszego życia, nawet nie wspominając.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubu „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ CZAS!

GRUDZIĄDZ – piątek, 26 czerwca, godz. 17.30,
Grudziądzkie Centrum Aktywizacji Społecznej Spichlerz 57 (ul. Spichrzowa 57),
„Jak zostałem mennonitą”, rozmowa ze Sławomirem Kerberem o odkrywaniu własnych korzeni.

Kluby „Tygodnika Powszechnego” zawieszają swoją regularną działalność na okres wakacji. Życzymy wszystkim dobrego odpoczynku i zapraszamy na spotkania od września.

ZESKANUJ I SPRAWDŹ

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

OLGA

Drenda: *Sztuczna trawa*

Zawód przyszłości – to brzmi marzycielsko i dumnie, pobudza ambicję i każe sięgać ku dalekim horyzontom. A przynajmniej tak było, bo dzisiaj, kiedy miałabym się zastanowić, co gwarantuje murowany sukces, musiałabym udzielić odpowiedzi, której chyba nie usłyszałby chętnie żaden rodzic myślący o przyszłości swego dziecka. Taki zawód to mianowicie, i zaręczam, że przykro mi to pisać, bo wolałabym, by było inaczej – oszust.

Kiedyś funkcjonowała obiegowa mądrość, że rozmaite innowacje i sposób adaptowania się człowieka do nich testują dwie branże: ezoteryczna i dla dorosłych. Ale im częściej słyszę o zdumiewających czasem pomysłach na oszustwa, kłamstwa i wyłudzenia, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że to właśnie ta dziedzina ewoluuje najszybciej, a zarazem zawsze wypływa na powierzchnię, pozostając odporną na wszelkie krachy, niezniszczalną jak niesporczak.

Niedawno dowiedziałam się, że na dużym festiwalu metalowym pod sceną krążyli akwizytorzy oferujący rzekomo wydane własnym sumptem i zarejestrowane gdzieś w garażu nagrania pasjonatów z Estonii. Zawartość musiała rozczarować nabywcę, który znajdował w niej co najwyżej „aromat sztuczny identyczny z naturalnym", bo płyta została w całości wygenerowana cyfrowo. Publiczności na szczęście natarczywość sprzedawców wydała się stosownie podejrzana – przede wszystkim to, że umożliwiali wpłatę każdym możliwym sposobem i byli, jak na amatorów, zaskakująco przygotowani, wręcz z rozgorączkowaniem czekając na akceptację płatności. Widocznie wspomnienia z czasów akwizycji magicznych garnków i kołder nie zatarły się jeszcze dostatecznie i dzięki temu udało się wypracować ostrzegawczą kontrę.

Podstępny wąż w (prawdziwej) trawie

OLGA DRENDA

Ta przygoda pokazuje, że oszustwo celuje teraz w być może największy głód człowieka epoki informacyjnej – potrzebę autentyczności, spontaniczności, luzu. Oferuje chwilę oddechu od sztuczności, a gdy klient już weźmie solidny haust, zaczyna wdychać trujące opary. Wydawałoby się, że mniej komercyjne obszary życia człowieka, takie jak granie w amatorskim zespole, są wolne od zagrożenia. Przeciwnie: być może są nawet bardziej zagrożone.

To przypomina mi, że niestety w Polsce zdumiewająco mało rozpowszechniona jest wiedza o fabrykowaniu spontaniczności, czymś, co w angielskim nazywa się astroturfingiem, czyli „sianiem sztucznej trawy". Oznacza to ukartowane działania, które mają wyglądać na autentyczne i oddolne: zwołanie manifestacji z udziałem statystów, graffiti pisane przez wynajętych ludzi, „oburzonego blogera", który oburza się na zlecenie. Nasza lokalna, polska wiedza potoczna jest na ogół wyczulona na ściemę, kit, nie lubi niespójności i udawania. Lśniący uśmiech akwizytora w garniturze – nie tędy droga. To dobre dla naiwnych, a na naiwnego nikt wyjść nie chce. Dlatego w Polsce naprawdę celne oszustwo udaje coś nieudawanego.

Niestety, oprócz autentyczności, jesteśmy najwyraźniej też spragnieni możliwości zaufania i odpoczynku od podejrzliwości. Dlatego czasami wystarczy, żeby ktoś wrzucił niedoskonałej jakości film, jak sobie gada w samochodzie „o tym, co go denerwuje", żeby założył profil z „takimi sobie rozkminkami", albo „ironicznie punktował rzeczywistość", żeby ludzie zmęczeni po pracy mogli sobie, może niezbyt higienicznie, odreagować. Ot, jedne z wielu stron czy kanałów, jakie ludzie zakładają z nudów albo z marzeń o sławie. Tylko tyle potrzeba, żeby wiele osób bezkrytycznie uznało, że to właśnie spontaniczny, niekłamany głos ludu, który musi, bo się udusi itp. Wszak obiegowa opinia głosi, że Polacy lubią narzekać i że są tak agresywni, bo nie ma słońca. Niezadowolony, czyli taki jak ja! I nikomu nie przyjdzie do głowy, że „głos ludu" może być równie wiarygodny, co przed laty tegoż ludu trybuna, a po dziesięciu materiałach ze zwyczajnym narzekaniem pojawi się jakiś na podejrzanie aktualny i gorący temat. I nikt nie pyta, po co właściwie ktoś miałby dzielić się tak często i tak publicznie swoimi monologami za darmo. A już zwłaszcza, gdy zakłada cały taki profil, gdzie dzieli się sążnistymi przemyśleniami... Moment, moment: za darmo?! W 2026 roku?! ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

CZŁOWIEK W PĘTLI

Czy autonomiczne drony AI same już znajdują cele i zabijają ludzi? Przyszłość, przed którą ostrzegano od lat, niepostrzeżenie nadchodzi.

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Test trwał ponoć 10 minut. Przeprowadzono go w 2024 r., ale informacje pojawiły się dopiero teraz. W pełni autonomiczne drony wysłano na linię frontu w rejonie Bachmutu z zadaniem samodzielnego wyszukiwania i zniszczenia celów. Podczas misji nikt ich nie nadzorował ani nie było z nimi kontaktu. Gdy później sprawdzano ten obszar, kamery dronów rozpoznawczych zarejestrowały ciała rosyjskich żołnierzy.

Choć o przeprowadzeniu testu mówił podczas konferencji Ołeksandr Kochanowski, prezes produkującej drony Aero Center, MON w Kijowie w tej sprawie milczy. Jeśli informacje zostaną kiedykolwiek potwierdzone, będzie to pierwszy przypadek, gdy samodzielnie działająca AI zabiła ludzi. A przyszłość, przed którą od lat ostrzegano, niepostrzeżenie nadeszła.

Łańcuch rażenia

Najważniejszą zmianą w wojnach naszych czasów nie jest ich automatyzacja. – Od dziesięcioleci wykorzystywane są pociski samonaprowadzające czy miny przeciwpiechotne, a jeśli na problem spojrzeć szerzej, to początki takich rozwiązań sięgają człowieka, który pierwszy wykopał wilczy dół i ustawił w nim zaostrzone pale – mówi nam dr Maciej Zając, etyk z Instytutu Filozofii i Socjologii PAN, specjalizujący się w kwestiach etyki technologii wojskowych.

Wojskowi mówią o łańcuchu rażenia (Amerykanie nazywają to bez owijania *kill chain*). Jak każdy łańcuch, składa się on z ogniw – identyfikacji celu, skierowania do niego sił, ataku i sprawdzenia efektywności. Każde z tych ogniw można zoptymalizować, co skraca czas między identyfikacją celu a jego zlikwidowaniem. Właśnie ta kompresja czasu jest najważniejszą zmianą współczesnych wojen. Dobrze obrazuje ją fakt, że tyle samo ataków, ile zachodnia koalicja przeprowadziła przeciwko ISIS w Iraku i Syrii w ciągu sześciu miesięcy w 2014 r., USA wykonały w tym roku podczas pierwszych czterech dni wojny w Iranie.

Sednem sporów między politykami, wojskowymi, prawnikami i etykami nie jest jednak przyspieszenie łańcucha zabijania ani nawet to, czy to AI „pociąga za cyngiel", lecz kto i jaką ponosi odpowiedzialność za maszyny, które zadaniowano do zabicia człowieka, oraz dokąd nas to doprowadzi.

Czołgi krzaki

Kateryna Bondar, była doradczyni rządu w Kijowie, w raporcie dla waszyngtońskiego Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych stwierdza, że w pełni autonomiczna broń, zdolna do „osiągania celów samodzielnie lub przy minimalnym nadzorze w złożonych i nieprzewidywalnych warunkach", nie jest jeszcze rzeczywistością pola bitwy na Ukrainie, choć rośnie liczba systemów, które są w stanie nawigować i namierzać cele samodzielnie, nawet jeśli operatorzy zachowują nad nimi całkowitą kontrolę.

Coraz większą autonomię wymuszają błyskawicznie udoskonalane przez Rosjan środki walki radioelektronicznej, czyli systemy zakłócające sygnały sterowania, transmisję danych czy nawigację satelitarną.

– Standardowy dron, gdy wleci w strefę zakłóceń, traci kontakt z operatorem i spada albo przechodzi w tryb awaryjny. Dron autonomiczny może kontynuować misję. To daje przewagę na polu walki, ale jednocześnie odbiera człowiekowi możliwość korygowania decyzji podejmowanych przez maszynę – mówi nam dr inż. Sławomir Telega z Wydziału Elektroniki Wojskowej Akademii Technicznej i CRW Telesystem-Mesko. Dodaje, że przejście w tryb autonomiczny sprawia, iż bez względu na to, jak dobry jest system, nigdy nie ma stuprocentowej pewności, kogo zaatakuje.

Dlatego skuteczność autonomicznych systemów zależy w dużej mierze od prawidłowej identyfikacji celów. Jak wielką wagę przywiązuje się do tego elementu, pokazuje uruchomiony w tym roku przez Ukrainę program Brave1 Dataroom – wirtualny poligon, na którym ponad sto firm zbrojeniowych trenuje i testuje swoje modele AI na milionach danych, które zebrano podczas rzeczywistych misji bojowych.

– Na tym polu też trwa jednak wyścig, bo Rosjanie robią wszystko, by na przykład czołg nie wyglądał jak czołg. Jeśli będzie przypominał coś innego, niegroźnego, istnieje duże prawdopodobieństwo, że system nie podejmie decyzji o ataku – mówi dr Telega.

Błąd programu

Niezidentyfikowanie celu może oznaczać utratę drona albo niepowodzenie misji. Ale jeszcze wyższą cenę płaci się za pomyłki. Wystarczy, że algorytm pomyli rolnika z grabiami przewieszonymi przez plecy z żołnierzem niosącym przenośną wyrzutnię przeciwlotniczą.

– Rozróżnianie obiektów w świecie i przypisywanie im złożonego statusu prawnego i moralnego jest jednym z najtrudniejszych problemów całej sztucznej inteligencji, nie tylko w systemach uzbrojenia. W środowisku pełnym osób i obiektów chronionych w praktyce wymagałoby stworzenia AI niemal dorównującej człowiekowi – mówi dr Zając.

Można wyobrazić sobie sytuację, w której jedna ze stron konfliktu przy pomocy broni autonomicznej atakuje pełną dzieci szkołę. Jak udowodnić, że był to błąd programu, a nie celowe działanie mające wywrzeć presję na przeciwniku? Nawet gdyby oprogramowanie przekazano do zbadania – co jest mało prawdopodobne, bo państwa nie dzielą się takimi tajemnicami – ustalenie prawdy mogłoby okazać się niemożliwe, bo współczesne systemy AI często działają jak „czarne skrzynki" – widać efekt ich działania, ale nie zawsze da się odtworzyć proces, który doprowadził do podjęcia konkretnej decyzji.

A to dopiero wierzchołek problemu.

Wymogi etyczne

Kwestia odpowiedzialności za zabicie człowieka przez autonomiczny system jest mniej skomplikowana, niż mogłoby się wydawać. Prawo międzynarodowe nakłada na walczących obowiązek odróżniania celów wojskowych od cywilów, oceny proporcjonalności ataku i minimalizowania ryzyka dla osób postronnych. Fakt, że część decyzji podejmuje autonomiczny system, nie zwalnia z żadnego z tych obowiązków. I kluczowy jest tu dowódca, który wysyła maszynę.

– Jeśli tysiąc kilometrów od brzegu walczą ze sobą dwa lotniskowce, a w pobliżu nie ma cywilów, ogromna większość problemów moralnych zwyczajnie nie zaistnieje, a zatem robot nie będzie miał okazji zachować się niewłaściwie. Znacznie trudniejsze są działania lądowe, zwłaszcza w miastach, i działania przeciwpartyzanckie – mówi dr Zając. Podkreśla, że „jeżeli żołnierz może wrzucić granat do budynku, może też wysłać ↦

Żołnierze ukraińskiego wywiadu lotniczego z dronami na linii frontu w rejonie Bachmutu. Ukraina, 10 maja 2024 r.

AA/ABACA / ABACA PRESS / FORUM

↦ do niego robota strzelającego do wszystkiego, co się rusza": – Kluczowe decyzje moralne podejmuje człowiek, który uznaje budynek za cel wojskowy, ocenia prawdopodobieństwo obecności osób chronionych i wynikającą z niego (nie) proporcjonalność ataku. Gdy te decyzje zostały już podjęte, robot jest jedynie narzędziem ich wykonania. Jeśli natomiast człowiek zadaniujący robota zaniedbuje swoją rolę decyzyjną czy przerzuca ją na maszynę niezdolną ją pełnić, tragedia jest tylko kwestią czasu.

Międzynarodowy Komitet Czerwonego Krzyża stwierdza wprost: „To nie system uzbrojenia musi działać zgodnie z prawem, ale ludzie, którzy go używają". A jak się mają do tego programiści czy twórcy dronów? Obowiązuje ich dokładnie ta sama zasada.

Amerykańska Agencja Zaawansowanych Projektów Badawczych w Obszarze Obronności (DARPA) podeszła jednak do problemu inaczej. Już w 2024 r. rozpoczęła program ASIMOV, który ma odpowiedzieć na pytanie, w jakim stopniu broń autonomiczna może spełniać wymogi etyczne. Rok później do mediów dotarła informacja, że 30 mln dolarów, jakie przeznaczono na program, rozdysponowano przede wszystkim pomiędzy... firmy zbrojeniowe, które już na autonomicznych systemach zarabiają.

Kontrola i iluzja

W ostatnich latach co jakiś czas pojawiały się informacje o atakach dronów, które autonomicznie namierzały i atakowały cele. Miało do tego dojść podczas wojen domowych w Libii (2020 r.) czy w Sudanie (zeszły rok). Za każdym razem pojawiały się jednak komunikaty, że system nie działał w pełni samodzielnie i człowiek go nadzorował (wojskowi mówią: „był w pętli dowodzenia").

To ważne, bo gdyby okazało się, że człowieka „w pętli" jednak nie było, to za ewentualne zbrodnie można by było pociągnąć nie tylko dowódcę, który drona wysłał, ale także jego przełożonych odpowiadających za wdrożenie i użycie systemu, co do którego wiedzieli (lub powinni byli wiedzieć), że nie jest w stanie działać zgodnie z międzynarodowym prawem humanitarnym, albo za zaniechanie nadzoru nad takim systemem.

O tym, jak iluzoryczny bywa nadzór człowieka „w pętli", świadczą doniesienia dotyczące systemów Lavender, Habsora i Where's Daddy, które izraelska armia miała wykorzystywać do identyfikowania osób związanych z Hamasem i wskazywania celów do ataku w Strefie Gazy. Według ujawnionych informacji system wytypował 37 tys. potencjalnych celów, a oficerowie zatwierdzali jego wskazania średnio co 20 sekund. Tyle zajmowała im decyzja o czyimś życiu lub śmierci (zwykle polegało to na sprawdzeniu, czy dana osoba jest mężczyzną; zakładano, że kobiety nie są bojownikami).

Międzynarodowej konwencji, która regulowałaby użycie broni autonomicznej, **przeciwne są m.in. USA i Rosja.**

Podczas wojny z Iranem amerykański system Maven miał w ciągu zaledwie czterech dni wskazać około dwóch tysięcy celów. Formalnie człowiek pozostawał „w pętli", ale skala i tempo działania rodzą pytania o rzetelną ocenę każdego przypadku. A zbombardowanie szkoły podstawowej dla dziewcząt w Minabie, w którym zginęło ponad 150 dzieci, może wskazywać odpowiedzi.

Siła nad racją

5 czerwca 2026 r. prezydent Donald Trump podpisał memorandum NSPM-11, w którym krytykuje dotychczasowe, zbyt biurokratyczne jego zdaniem procedury wdrażania sztucznej inteligencji w wojsku i nakazuje ich przyspieszenie. W ciągu 90 dni Pentagon ma zaktualizować dyrektywę regulującą rozwój i użycie autonomicznych systemów uzbrojenia. Choć memorandum nie zapowiada wprost osłabienia istniejących zabezpieczeń, można się spodziewać, że szybkość wdrożeń odbędzie się kosztem kontroli.

W wyścigu o to, kto mocniej skompresuje w czasie kolejne ogniwa łańcucha zabijania, uczestniczy jednak wielu graczy. Pekin zaprezentował w tym roku m.in. system Atlas, który ma umożliwiać jednemu operatorowi kierowanie rojem ponad 90 dronów. Moskwa z kolei rozwija m.in. systemy amunicji krążącej, takie jak Klin, wyposażane w coraz lepsze moduły AI umożliwiające samodzielne wyszukiwanie i atakowanie celów nawet po utracie łączności.

Czy w tym kontekście powinno dziwić, że prace nad międzynarodową konwencją, która regulowałaby użycie broni autonomicznej, od blisko dekady donikąd nie doprowadziły? Problematyczne jest nie tylko ustalenie, czy taka konwencja jest potrzebna (przeciwne jej są m.in. USA i Rosja), ale nawet ustalenie prawnie wiążącej definicji, co to jest broń autonomiczna.

– Żaden z najważniejszych graczy tego nie chce. W mętnej wodzie łatwiej łowić ryby – mówi prof. Tomasz Aleksandrowicz, ekspert ds. bezpieczeństwa Akademii Policji w Szczytnie. Zwraca uwagę, że choć konwencja w sprawie broni wykorzystującej AI powinna powstać, nie widzi na to większych szans. – Prawo międzynarodowe powstało, by ograniczać najsilniejszych. I właśnie z tego powodu, właśnie przez nich, w ostatnich latach przestało być przestrzegane – mówi profesor.

Jako przykład wskazuje konwencję o minach przeciwpiechotnych, z której wycofuje się coraz więcej państw, bo uznały, że przeszkadza w efektywnym prowadzeniu wojny. – Wydaje mi się, że wchodzimy w epokę będącą przeciwieństwem maksymy *plus ratio quam vis*. Dziś najpierw jest siła, a dopiero potem myśli się o prawie, które ma sankcjonować to, co zdobyto siłą. Prawo międzynarodowe funkcjonuje z woli państw. Jeżeli tej woli nie ma, pozostaje martwym przepisem konwencji wydrukowanej na ładnym papierze i dostępnej w kilku językach.

Nie czy, a kiedy

Być może za kilka lat test pod Bachmutem okaże się tylko przypisem w historii wojskowości. A może zostanie zapamiętany jako moment równie przełomowy jak pierwsze użycie czołgu. Na razie nie wiemy, czy w ogóle do niego doszło. Możliwe jednak, że największą zmianą, jaką przyniesie, nie będzie to, że zaczynamy uczyć maszyny zabijać, ale że one będą się tego uczyć same. Państwa i ich armie nie inwestują miliardów w technologie, których nie zamierzają użyć. Dlatego prawdziwym problemem nie jest już to, czy w pełni autonomiczna broń trafi na pole walki, lecz jak będzie wyglądał świat, gdy stanie się ona jego stałym elementem.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

MARÍA JOSÉ LÓPEZ / AP / EAST NEWS

Pogrzeb dwóch funkcjonariuszy Guardia Civile, którzy zginęli na służbie podczas pościgu za łodzią narkotykową wzdłuż wybrzeża Huelvy. 9 maja 2026 r.

Hiszpański front narkowojny

AGNIESZKA ZIELIŃSKA Z HISZPANII

NARKOTYKI | W Andaluzji trwa wyścig, którego stawką jest zdrowie Europy. W ciągu pierwszych jedenastu miesięcy 2025 r. przejęto w tym rejonie aż 268 ton narkotyków. Gangi opanowały tu morskie trasy przerzutu i są coraz bardziej agresywne.

Przeszywająca cisza. Kwiaty, hymn i trumny owinięte flagami. Wielu mieszkańców Huelvy, portowego miasta nad Atlantykiem, nie mogło tego dnia powstrzymać łez. Wśród nich Luisa. Funkcjonariuszka Guardia Civil niosła na ramionach trumnę męża, wspierana przez kilku kolegów. Na pogrzeb dwóch agentów antynarkotykowych przyszły tłumy.

55-letni Germán i 56-letni Jerónimo zginęli w walce z przemytnikami. Obaj przez ponad trzy dekady służyli w jednostce morskiej i niejedno przeszli. W styczniu 2025 r., w podobnym pościgu, zostali ranni: Jerónimo miał złamane żebra i przebite płuco, a Germán ranę ręki. Gdy dotarła do nich pomoc, byli bliscy hipotermii. Ale przeżyli.

Tym razem nie mieli szczęścia. Zginęli, a dwóch ich kolegów zostało rannych. Przemytnicy, których ścigali, uciekli, porzucając tylko jedną ze swoich łodzi.

STRAŻNICY EUROPY | Guardia Civil to formacja bliska francuskiej żandarmerii. Powstała ponad 170 lat temu do walki z bandytyzmem na prowincji. Dziś odpowiada m.in. za bezpieczeństwo na drogach i granicach, a także zwalcza przestępczość zorganizowaną.

Germán i Jerónimo zginęli na morzu w pobliżu Huelvy. To tutaj, a także w rejonie Kadyksu i ujścia rzeki Gwadalkiwir, koncentruje się dziś walka z przemytem narkotyków na Półwyspie Iberyjskim. Tędy narkotyki najczęściej trafiają z Afryki do Europy.

Stowarzyszenia członków Guardia Civil alarmują, że to walka nierówna. Łodzie przestępców, zwane *gomas*, to szybkie pontony lub półsztywne łodzie pneumatyczne o dużej pojemności. Mogą zabrać nawet pięć ton narkotyków. Przestarzały sprzęt, który ma Guardia Civil, nie daje sobie z nimi rady.

– Jedyne, co możemy zrobić, to ich ścigać i nakazać zatrzymanie, ale oni i tak się nie zatrzymają. Musimy czekać, aż zepsuje im się silnik – mówi „Tygodnikowi" Agustín Domínguez, rzecznik Stowarzyszenia „Sprawiedliwość dla Gwardii Cywilnej" (JUCIL).

Gwardziści domagają się także wyższych kar dla przemytników.

SZYBCY I BRUTALNI | Gwardzistom nie wolno strzelać w silniki łodzi, bo trafienie w bak może wysadzić je w powietrze. A Hiszpania to nie USA – widok eksplodujących łodzi to obraz, którego rząd wolałby uniknąć. Teoretycznie, zanim nie zatrzyma się takiej łodzi, nie ma przecież pewności, że transportuje ona narkotyki.

Tymczasem przemytnicy mają nie tylko coraz lepsze łodzie. Są też bardziej agresywni i lepiej uzbrojeni (w broń wojskową). Coraz częściej przemycają nie tylko haszysz, ale też kokainę, na rynku znaczenie droższą. Oraz coraz lepiej się organizują.

Prokuratura ds. walki z narkotykami (*Fiscalía Antidroga*) zwraca uwagę na zjawisko *petaqueo*. To małe łodzie, które wypływają w morze, niby niewinnie, aby dostarczać przemytnikom paliwo.

Chętnych do współpracy przemytnicy znajdują zwłaszcza w biednych andaluzyjskich wsiach i miasteczkach, gdzie udział w tym procederze to okazja na szybki zarobek.

CAŁOŚĆ OBRAZU | Raport Departamentu Bezpieczeństwa Narodowego podaje, że tylko w Cieśninie Gibraltarskiej ma działać ponad 600 łodzi. Ponieważ w tym rejonie narasta presja służb, przemytnicy przenoszą się coraz częściej do Huelvy i w okolice Algarve w Portugalii. Nie wahają się taranować łodzi policyjnych, gdy widzą, że mogą utracić towar. Raport stawia tezę, że zorganizowana przestępczość związana z narkotykami to „centralne zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego Hiszpanii".

Dalej: według delegatury rządu w Andaluzji, od stycznia do listopada 2025 r. przejęto na andaluzyjskim wybrzeżu 268 ton (sic!) narkotyków, z czego 190 ton ↦

↦ stanowił haszysz (Hiszpania jest europejskim „liderem", gdy idzie o ilości przemycanego tędy haszyszu). Aresztowano ponad 4 tys. osób. Zajęto też 641 sztuk broni palnej, 756 tys. litrów paliwa i 979 „środków transportu" (zapewne chodzi o łodzie i auta).

Z kolei według raportu, który Agencja Unii Europejskiej ds. Narkotyków (EUDA) opublikowała na początku czerwca tego roku, trzy kraje – Hiszpania, Francja i Belgia – są głównymi punktami przechwytywania kokainy w Europie. W tych krajach przejęto łącznie 67 proc. z 330 ton kokainy, którą skonfiskowano na terenie całej Unii w 2024 r.

INCYDENTY | Tymczasem niezadowolenie funkcjonariuszy narasta. Szef MSW, Fernando Grande-Marlaska, został wygwizdany podczas przysięgi nowego rocznika w Akademii Gwardii Cywilnej w Baezie. Kadetom nie spodobały się słowa ministra, który mówił o „wypadku podczas pracy", nawiązując do śmierci Germána i Jerónima.

„Doznałem urazu kręgosłupa pod koniec 2024 r., gdy przy prędkości 130 km na godzinę w naszą łódź uderzyli przemytnicy, których ścigaliśmy. Po tym »wypadku przy pracy«, jak to nazywają politycy, nadal nie mogę wrócić do pełnej sprawności" – mówił 46-letni gwardzista Rafael Sánchez w rozmowie z dziennikiem „La Razón".

Takich historii jak Rafaela jest wiele, ale nie wszyscy gwardziści chcą mówić. Niedawno zginęli Germán i Jerónimo. W 2025 r. w podobny sposób życie stracił portugalski funkcjonariusz. Dwa lata temu koło Barbate (Andaluzja) zginęło dwóch gwardzistów, gdy ich łódź staranował znacznie większy ponton przemytników. Wideo z ich śmierci krążyło w mediach społecznościowych.

Od 2018 r. w regionie Andaluzji odnotowano ponad 240 incydentów podczas operacji przeciw przemytnikom narkotyków. – Jeśli nic się nie zmieni i wciąż będzie brakować nam wyposażenia, będą ginąć kolejni gwardziści – mówi Agustín Domínguez z JUCIL.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

MIŁKA FIJAŁKOWSKA

Ghassan Abu-Sittah, brytyjsko-palestyński chirurg. Specjalizuje się w medycynie wojennej i chirurgii czaszkowo-twarzowej.

Doktor od twarzy

MIŁKA FIJAŁKOWSKA Z BEJRUTU

WOJNA I DZIECI | Jest brytyjsko-palestyńskim chirurgiem plastycznym i rekonstrukcyjnym. Pracował w Iraku, Syrii, Jemenie, Libanie i Gazie. Dziś Ghassan Abu-Sittah znów jest w Libanie. Oto jego opowieść.

Spotykamy się między operacjami. Codziennie prowadzi te planowe, a także te pilne. Jak trzy dni wcześniej, gdy jadąc już na umówiony wywiad, odebrałam od niego wiadomość: „Operacja dziecka z bombardowania, musimy przełożyć spotkanie".

Kiedy w końcu siadamy do rozmowy, sprawia wrażenie zmęczonego. W ostatnich tygodniach ma wyjątkowo dużo pracy, za sprawą wojny Izraela z libańskim Hezbollahem, za którą cenę płaci ludność cywilna.

Ghassan Abu-Sittah ma 57 lat, jest brytyjsko-palestyńskim chirurgiem plastycznym i rekonstrukcyjnym. Specjalizuje się w medycynie wojennej i chirurgii czaszkowo-twarzowej.

CHIRURG | Urodził się w Kuwejcie; ojciec był Palestyńczykiem, matka Libanką. Rodzina ojca, pochodząca z Gazy, po 1948 r. została wygnana przez Żydów z ojczystej wsi. Ojciec, lekarz, trafił do Kuwejtu, a potem, w latach 80., do Wielkiej Brytanii. Tu Ghassan ukończył studia w Glasgow, a także odbył staż i specjalizację z zakresu chirurgii czaszkowo-twarzowej u dzieci, chirurgii rozszczepów wargi i podniebienia oraz rekonstrukcji urazowej.

Pracował w brytyjskiej służbie zdrowia, leczył ofiary zamachów Al-Kaidy w Londynie w 2005 r. Wykładał w Centrum Badań nad Urazami Wybuchowymi przy Imperial College i w Grupie Badawczej ds. Konfliktów i Zdrowia przy King's College London. W kwietniu 2024 r. został

rektorem Uniwersytetu w Glasgow. Pełnił różne funkcje w międzynarodowych organizacjach w zakresie rekonstrukcji i urazów wojennych.

Pracował także wyjazdowo: w Iraku, Syrii, Jemenie, Libanie i Strefie Gazy. Ostatni raz w Gazie przez dwa miesiące: w październiku i listopadzie 2023 r. Dziś kieruje programem leczenia urazów wojennych u dzieci w Centrum Medycznym, które jest częścią Amerykańskiego Uniwersytetu w Bejrucie (to prywatna uczelnia, istnieje od 1886 r.).

W Centrum Medycznym Amerykańskiego Uniwersytetu w Bejrucie dr Abu-Sittah leczy dzieci – ofiary wojny.

Dr Ghassan Abu-Sittah: Szpital w Gazie stał się częścią pola walki.

ARCHIWUM PRYWATNE x2

REALIA | Abu-Sittah uważa, że wojna w Gazie była inna niż poprzednie: – Żeby to źle nie zabrzmiało, ale dobrze, że ta wojna wydarzyła się pod koniec mojej kariery zawodowej. Jej skala przekracza wszystko, co można sobie wyobrazić. To nie była wojna, to była rzeź. Widzę, jak praca w Gazie wpłynęła na moich kolegów, którzy dopiero zaczynają. Wojna w ogóle zmienia życie. Ale po takich doświadczeniach trudno je kontynuować.

W minionych 30 latach widział wiele. Poczucie obowiązku i świadomość unikatowego doświadczenia nie pozwalały przestać. – Od lat pracuję z wojennymi urazami, wiem, że mam realny wpływ na sposób leczenia w takim miejscu – mówi.

Są jednak rzeczy, do których nie da się przyzwyczaić. To elementy normalności w nienormalnych realiach: – Chwila, gdy obmywam włosy małej dziewczynki, pokryte krwią i błotem, i znajduję w nich kolorową gumkę do włosów. Albo gdy widzę, jak to dziecko wyglądało wcześniej, jakie miało życie, zanim zostało ono zmienione na zawsze.

STREFA | – Wyjechałem z Gazy po tym, gdy ogłoszono pierwszy rozejm – wspomina tamten dzień, 24 listopada 2023 r. – Później nie dostałem już od Izraela pozwolenia na kolejny wjazd.

Praca w Gazie była trudna, także szpitale były atakowane (94 proc. z nich zostało uszkodzonych lub zniszczonych, zginęło 1,5 tys. pracowników medycznych – podają Lekarze bez Granic). – Szpital stał się częścią pola walki. To było systematyczne niszczenie infrastruktury i ludzi. Jako lekarz w strefie konfliktu jestem z boku działań wojennych, a tu byłem w ich centrum. Nie opuszczałem szpitala. Spałem w sali operacyjnej. Budziłem się, myłem i pracowałem dalej – wspomina.

W ciągu dwóch miesięcy, gdy tam pracował, w Gazie zginęło 22 tys. ludzi. – To inny wymiar, nawet tego, co obserwujemy teraz w Libanie. Z moralnego punktu widzenia nie powinniśmy pozwolić, aby to, co wydarzyło się w Gazie, stało się dla nas miarą tego, co jest akceptowalną skalą wojny. Ale to się wydarzyło. 22 tysiące zabitych dzieci przez całą tę wojnę to nowy akceptowalny poziom rzezi i okrucieństwa.

DZIECI | Według Światowej Organizacji Zdrowia kolejne 10 tys. dzieci odniosło rany, które zostaną z nimi na całe życie.

Abu-Sittah: – Brakuje bezpiecznego miejsca, gdzie one mogłyby być leczone, rehabilitowane. Po takich urazach czasami przechodzi się kilka, kilkanaście operacji. Dzieci w Gazie nie mają na to szansy. Zamiast tego atakują je szczury. Rozmawiałem wczoraj z przyjacielem, mówił, że największy problem ludzi żyjących w namiotach i ruinach to dziś szczury. Z powodu zwłok pozostających pod gruzami, te gryzonie opanowały teren.

Trauma doznana przez dzieci w czasie wojny jest specyficzna. Abu-Sittah: – Obrażenie wojenne obejmuje całe spektrum, od ran fizycznych i emocjonalnych po społeczne. Dziecko doznaje krzywdy najczęściej we własnym domu, giną lub zostają ranni jego rodzice, rodzeństwo. To egzystencjalna trauma, dziecku wali się świat. Dom i rodzice, którzy dawali poczucie bezpieczeństwa, to wszystko w jednej chwili znika.

Pamięta słowa dziewczynki, którą operował w Gazie: – Czekałem na jej wybudzenie z narkozy. Gdy otworzyła oczy, powiedziałem: „Operacja się skończyła, jest dobrze, będzie dobrze". A ona na to: „Już nigdy nie będzie dobrze. Zabili mamę i tatę". To jest to, o czym mówię, że rana fizyczna jest tylko jedną z ran. Ja naprawiam tę fizyczną.

OJCOSTWO | Dzieci są silne. – Widzę, jak walczą i próbują odbudować życie z tych kawałków, które im zostały. To moment, gdy dziecko, którego rodzice zostali zabici i wychowuje je ciocia, pierwszy raz mówi do niej „mamo" – opowiada.

Patrzenie na cierpienie dzieci stało się dla niego trudniejsze, odkąd sam ↦

↦ jest ojcem: – W tych dzieciach zacząłem widzieć moje własne. Patrzysz na bezradnych rodziców, którzy nie mogą złagodzić ich cierpienia. To przeraża.

Mówi, że swoje życie dzieli na dwa okresy: do kiedy zajmował się tylko pracą i odkąd został ojcem. Wtedy wyjazdy stały się trudniejsze. – W 2006 r. nie poleciałem pracować w trakcie wojny w Libanie. Mieszkaliśmy w Wielkiej Brytanii, syn był malutki, pomyślałem, że ten wyjazd byłby zbyt egoistyczny. Potem pojawiła się myśl, że aby być lojalnym wobec moich dzieci, muszę też być lojalny wobec siebie, postępować w zgodzie z powołaniem.

RODZINA | Jakie znaczenie ma dla niego pochodzenie? – Gdy jesteś Palestyńczykiem, polityka kształtuje twoje życie, jeszcze zanim się urodzisz. Mój ojciec jest uchodźcą, mój dziadek został uchodźcą z powodu polityki Izraela, mam członków rodziny, którzy zginęli z rąk Izraela. Moje życie zostało ukształtowane przez politykę niezależnie od wyborów, których dokonywałem.

W 2011 r. przeprowadził się z Glasgow do Bejrutu, gdzie do 2020 r. kierował Kliniką Chirurgii Plastycznej, Rekonstrukcyjnej i Estetycznej na Amerykańskim Uniwersytecie.

W Libanie co kilka lat jest wojna lub kryzys. Teraz kolejna: – Spokój daje mi myśl, że moi bliscy są teraz w Londynie, że są bezpieczni. Kładę się spać i wiem, że nic im nie grozi, to największe błogosławieństwo. W przeciwieństwie do innych rodziców, którzy tu żyją, dla których największym lękiem jest ten o bezpieczeństwo ich dzieci.

Praca pochłania, odbywa się kosztem rodziny: – Synowie od najmłodszych lat widzieli, co robię, ale myślę, że to było dla nich trudne. Rozłąka jest trudna. Wiele z ich życia tracę, jestem tu, oni tam. Chciałem niedawno do nich polecieć, ale bałem się, że Izrael zbombarduje lotnisko w Bejrucie, jedyne lotnisko w kraju, i nie będę mógł wrócić.

WYBÓR | Mówi, że choć w Wielkiej Brytanii miał i klinikę, i równolegle dobrze płatną pracę chirurga plastycznego, w pewnym momencie nie był w stanie jej kontynuować: – Wojna zmienia postrzeganie. Trudno po niej wrócić do wcześniejszego życia. W moim przypadku zmieniła to, co uważałem za akceptowalny sposób zarabiania na życie. Nie wyobrażam sobie, żebym teraz miał przejmować się tym, jak wygląda czyjś nos z powodów estetycznych, gdy dziś rano usuwałem odłamki z nosa rannej pięciolatki.

MIŁKA FIJAŁKOWSKA

Obiecałam synkowi, że pójdziemy jeszcze na plac zabaw. Nagle w przejeżdżające obok auto uderzył izraelski pocisk. **Dwa odłamki trafiły go w głowę** – mówi mama Alego.

W 2024 r. założył fundację, która finansuje leczenie dzieci z Gazy i Libanu tutaj, w Bejrucie. Jej prowadzenie oddał zespołowi. Zajmuje się tym, w czym jest najlepszy: operuje.

Fundacja otrzymuje wsparcie z całego świata: – To przywraca mi wiarę w ludzi. Wojna Izraela w Gazie, ale też tu w Libanie sprawiła, że nadano tym dzieciom charakter rasowy, by nie trzeba było ich opłakiwać. Dzięki temu wsparciu czuję, że ta dehumanizacja nie powiodła się i ludzie wciąż potrafią dostrzec w tych dzieciach po prostu dzieci, takie jak ich własne.

Nadzieję znajduje też w klinice: – Gdy dzieci na początku podejrzliwe, wycofane, z czasem zaczynają zachowywać się jak dzieci, znajdują powód do uśmiechu.

W Libanie trafiają do niego pacjenci z najcięższymi obrażeniami. Jak wtedy, 8 kwietnia, gdy według UNICEF-u podczas izraelskich nalotów na Liban zginęło co najmniej 33 dzieci, a 153 zostały ranne: – U nas mieliśmy tego dnia dwanaścioro małych pacjentów. Wszyscy krytycznie ranni. Obrażenia głowy, także kończyn. Musieliśmy amputować.

PACJENT | Przed naszą rozmową, czekając na doktora, spotykam mamę z trzyletnim Alim. Mija rok od dnia, gdy został ranny. – Była 13.40, wracaliśmy do domu od znajomych, ale obiecałam synkowi, że pójdziemy jeszcze na plac zabaw. Nagle w przejeżdżające obok auto uderzył izraelski pocisk. Dwa odłamki trafiły go w głowę – mówi matka.

Chłopiec spędził 45 dni na intensywnej terapii. Jeden odłamek usunięto. Drugi utknął w takim miejscu, że usunięcie nie jest możliwe. Ali nie chodzi, nie mówi. Matka nosi go na rękach. Gdy rozmawiamy, cały czas się w nią wtula.

Ona też miała odłamki w nodze, oku i na twarzy. Na jedno ucho słabiej słyszy.

W trakcie naszej rozmowy Ali robi się nerwowy. Matka: – To jego reakcja, gdy widzi coś związanego ze szpitalem, który kojarzy z bólem. Jest wtedy niespokojny, płacze.

Ali będzie miał wkrótce drugą operację rekonstrukcji kości czaszki. Matka: – Staram się być silna dla niego, ale to trudne, gdy patrzę, jak cierpi i nie mogę mu pomóc. Jestem nauczycielką. Gdy się urodził, marzyłam, że będzie chodzić do tej szkoły, w której uczę. Jestem zdeterminowana, zrobię wszystko, żeby tak się stało. Choć lekarze mówią, że nie wiadomo, czy będzie znów mówić, ani jak będzie się rozwijać.

PRZYSZŁOŚĆ | Każda trafiająca tu rodzina ma swoją historię. Abu-Sittah: – Leczę teraz trzy siostry, ranne w izraelskim bombardowaniu ich domu w Dolinie Bekaa. Czwarta, dziesięcioletnia, zginęła. Matka odniosła poważne rany, kilka dni temu miała amputację. Ojciec powiedział mi, że w tym samym miejscu w trakcie wojny w 1982 r. stracił 10-letniego brata w izraelskim ostrzale ich domu. Na tym samym miejscu on zbudował swój, w którym teraz zabili jego córkę. Wojny naznaczają tu kolejne pokolenia.

Kiedy odejdzie na emeryturę? – Dobre pytanie – zastanawia się. – Nie mam pojęcia. Czuję odpowiedzialność, żeby kontynuować. Trudno odejść, kiedy każda kolejna wojna wiąże się z taką odpowiedzialnością.

© MIŁKA FIJAŁKOWSKA

AMIRHOSSEIN KHORGOOEI / ISNA / AFP / EAST NEWS

Statki w cieśninie Ormuz. Bandar Abbas, Iran, 18 czerwca 2026 r.

Z pariasa mocarz

MAREK KĘSKRAWIEC

BLISKI WSCHÓD | Miała być powtórka z Wenezueli, a skończyło się kompromitacją USA. Iran z wojny wychodzi silniejszy i może dalej spokojnie terroryzować własne społeczeństwo.

Donald Trump przyznał publicznie, że jeszcze kilka tygodni paraliżu w cieśninie Ormuz, a światowej ekonomii groziłaby zapaść. Zdecydował się więc na 14-punktowe porozumienie, którego treść jest mocno upokarzająca dla największego światowego imperium.

Choć wojna zaczęła się od anihilacji niemal całego kierownictwa islamskiej republiki, na czele z ajatollahem Chameneim, to dziś Stany zmuszone są na piśmie gwarantować suwerenność Iranu, znieść blokadę portów i eksportu irańskiej ropy, a także odwołać wszystkie (!) sankcje oraz wycofać potężną armadę zgromadzoną w regionie. W memorandum zawarta jest również zapowiedź, że Iran będzie w przyszłości administrował cieśniną Ormuz (wraz z Omanem), zapewniając tam „usługi morskie". Dla armatorów z całego świata może to oznaczać opłaty za konwojowanie, ubezpieczanie oraz abonamenty środowiskowe.

JEDNYM ZDANIEM, Teheran uzyskał możliwość stałej kontroli i czerpania ogromnych zysków z najważniejszego światowego szlaku transportu surowców energetycznych oraz nawozów. Na dodatek połączonym siłom USA i Izraela nie udało się złamać oporu irańskiej armii, co może mieć fatalne skutki w przyszłości. Z groźby powtórnej blokady Zatoki Perskiej Teheran zapewne uczyni swój oręż, być może silniejszy niż broń jądrowa.

Najciekawszy jest jednak zapis o zobowiązaniu USA oraz „partnerów regionalnych" do stworzenia wartego 300 mld dolarów planu odbudowy i rozwoju gospodarczego Iranu. Trump już zapewnił, że nie będą to pieniądze amerykańskie, co oznacza, że fundusz stanie się haraczem ze strony państw, które zgodziły się na prowadzenie ataków na Iran z ich terytoriów. Dziś, gdy armia USA zapowiada swą ewakuację, arabskie stolice muszą uznać prymat Teheranu w regionie i *de facto* złożyć mu kosztowny hołd.

JAKĄ CENĘ zapłacił Iran? Niewielką, nie musi nawet ograniczyć swojego programu balistycznego. Potwierdził jedynie, że nie będzie próbował pozyskać broni nuklearnej oraz zgodził się rozrzedzić prawie pół tony wzbogaconego uranu (szczegóły dopiero zostaną ustalone).

Dla USA porozumienie jest „tylko" poniżające, ale dla Izraela to prawdziwa klęska. Nie udało się obalić szyickiej autokracji, zamiast tego doszło do otwartego sporu z Waszyngtonem i niespotykanych połajanek ze strony wiceprezydenta J.D. Vance'a. Wypomniał on Izraelowi, że dwie trzecie broni go ochraniającej zostało przekazane przez USA i opłacone przez amerykańskich podatników, więc nie powinien atakować jedynego potężnego sojusznika, jaki mu pozostał.

SZANSĄ DLA IZRAELA jest storpedowanie porozumienia z Iranem poprzez przedłużanie wojny w Libanie (punkt pierwszy umowy mówi o zaprzestaniu walk także i tam) oraz sprowokowanie Korpusu Strażników Rewolucji do odwetu, by wywrócić plan USA.

Na dziś jednak to Iran – dotychczas parias społeczności międzynarodowej – wychodzi z konfliktu jako regionalne mocarstwo. Już nie tyle religijne, co zdominowane przez armię i coraz częściej nawiązujące do imperialnej przeszłości perskiej, z mniejszym przywiązaniem do atrybutów konserwatywnej szyickiej obyczajowości (kobiety nie muszą już nosić czadorów). Nie oznacza to bynajmniej liberalizacji systemu. Być może po zniesieniu sankcji ludziom będzie się żyło lepiej, ale nie będą traktowani bardziej podmiotowo.

Przez pierwsze półtora miesiąca wojny w Iranie powieszono 22 uczestników styczniowych protestów, najkrwawiej stłumionych w historii islamskiej republiki. Dziś liczba tych ofiar sięga 40, ale tak naprawdę nikt nie wie, czy nie jest większa. Wiele rodzin wciąż nie ma dostępu do wiedzy o aresztowanych krewnych, nie mają jej też adwokaci. Same procesy zaś są poprzedzane torturami i wymuszonymi zeznaniami.

O ROZZUCHWALENIU irańskich władz świadczy choćby fakt, że schorowana 54-letnia Narges Mohammadi, laureatka Pokojowej Nagrody Nobla z 2023 r., po kolejnym aresztowaniu została skazana na 7,5 roku więzienia tylko za to, że ośmieliła się przemówić na pogrzebie innego opozycjonisty. Umieszczono ją w prowincjonalnym więzieniu, bez odpowiedniej opieki, gdzie straciła 20 kg wagi i doznała ciężkiego zawału. Dopiero po miesiącu zachowawczego leczenia trafiła do profesjonalnej kliniki w Teheranie, a potem została warunkowo zwolniona.

Podobnie władze postąpiły z wielokrotnie skazywaną prawniczką Nasrin Sotude, laureatką Nagrody im. Sacharowa, zatrzymaną 2 kwietnia bez jawnych zarzutów. Ją też ostatecznie wypuszczono (za kaucją), dając społeczeństwu sygnał: będziecie siedzieć cicho, to może będziecie „wolni". ©℗

Ostatnia nadzieja Putina

FILIP RUDNIK

WOJNA W UKRAINIE | Impas w negocjacjach z USA niecierpliwi Kreml. Niechęć Trumpa do kontynuacji proukraińskiej polityki miała zbliżyć Rosję do zwycięstwa. Czy Putinowi uda się znów wciągnąć Stany do rozmów ponad głowami Ukraińców i Europy?

Władimir Putin nie omieszkał skorzystać z okazji i 14 czerwca zadzwonił do Donalda Trumpa, by życzyć mu wszystkiego najlepszego z okazji 80. urodzin. Przy okazji przypomniał, kto stoi na przeszkodzie do osiągnięcia pokoju w Ukrainie: oczywiście „reżim" Zełenskiego i wspierający go Europejczycy.

Dla Rosjan sam fakt odbycia tej rozmowy jest istotny. Od końca kwietnia telefon na linii Moskwa–Waszyngton milczał. Przez ten czas kremlowscy decydenci publicznie przyznawali, że nie wiedzą, czy i kiedy przywódcy obu krajów będą ze sobą rozmawiać. Nie wiadomo było nawet, kiedy do Moskwy wybiorą się wysłannicy Trumpa: Steve Witkoff i Jared Kushner, przyjaciel i zięć prezydenta.

Podczas urodzinowej rozmowy, według rosyjskich komunikatów (jak zawsze bogatszych w szczegóły od tych amerykańskich), Trump miał ponownie zaoferować pomoc w zaprowadzeniu pokoju w Ukrainie. Waszyngton w tej sprawie wymownie milczy.

Czynnik irański

Rosyjskie doniesienia, podkreślające pozytywny przebieg rozmów z Trumpem, to regularnie powtarzany zabieg. Kreml zapewnia o „przyjaznych" i „pełnych wzajemnego szacunku" kontaktach między przywódcami. Co w świetle trwającej wojny zakrawa o absurd. Skoro bowiem obaj liderzy tak świetnie się rozumieją, to dlaczego rozmowy tkwią w martwym punkcie i nie prowadzą ani do rozejmu w Ukrainie, ani do normalizacji stosunków USA–Rosja?

Zastój w tzw. „procesie pokojowym" można tłumaczyć tym, że Amerykanów zajmowały inne negocjacje – z Iranem. Trwający od końca lutego otwarty konflikt USA z Islamską Republiką Iranu stanowił priorytet polityki zagranicznej Trumpa, spychając inne obszary na dalszy plan.

Jest jeszcze inna teoria. Wplątanie się Stanów w wycieńczający dyplomatyczno-militarny ping-pong z Iranem miałoby, paradoksalnie, zintensyfikować kontakty USA–Rosja. Według tej hipotezy Trump, szukając na gwałt sukcesu, mogącego przykryć rozmiar jego porażki w Zatoce Perskiej, miałby być jeszcze bardziej zdeterminowany do ustępstw wobec Putina. Odmrożenie relacji z Moskwą przedstawiłby jako niebywały sukces.

Tak się jednak nie stało.

Ulotny „duch Anchorage"

Niezależnie od tego wszystkiego, na drodze do porozumienia USA–Rosja stoi wiele innych przeszkód. Trudno je przeskoczyć – i to pomimo dyplomatycznego manifestowania „dobrej woli" z obu stron.

Po szczycie na Alasce w sierpniu 2025 r. Kreml co i rusz powołuje się na bliżej niesprecyzowany „duch Anchorage", którego owocem ma być – według Rosjan – szereg „porozumień" zawartych wtedy ustnie między Trumpem a Putinem. Do tej pory Rosjanie nie ujawnili jednak, na czym właściwie polega ów „duch Anchorage".

Z przecieków medialnych wynikałoby, że treść porozumień nie różni się od publicznie forsowanych żądań Moskwy. Chodzi więc o wycofanie ukraińskich wojsk z Donbasu i otwarcie dyskusji na temat przyszłego kształtu Ukrainy oraz bezpieczeństwa Europy, w których to sprawach Rosja chce mieć decydujący głos. Inny kluczowy element rzekomych porozumień to zniesienie amerykańskich sankcji i idący za tym rozkwit inwestycji z USA na rosyjskim rynku.

„Duch Anchorage" został jednak wypędzony przez samych Amerykanów, którzy nie powołali się na tę zagadkową formułę ani razu. Istnienie tajnych porozumień w pośredni sposób zanegował sam Trump. Krótko przed majową podróżą do Chin prezydent USA został zapytany przez reporterów, czy między nim a Putinem istnieje jakiekolwiek porozumienie na temat statusu Donbasu. Odpowiedział zdawkowym „nie".

Jeszcze dalej poszedł sekretarz stanu Marco Rubio: pod koniec maja stwierdził, że Stany nie są zainteresowane „niekończącymi się cyklami spotkań, które nie prowadzą do niczego". Duchy – jak to duchy – bywają ulotne.

Rosyjska pułapka

Czy zatem Trump przejrzał zamiary Putina i pieczołowicie kreowaną przez Rosjan próbę uwiedzenia go pochlebstwem i przekupstwem? Na taki wniosek jest za wcześnie. Tym bardziej że mamy do czynienia z administracją USA, która kreuje swoją politykę w sposób impulsywny. Często jest też ona wypadkową walk poszczególnych stronnictw i osób zabiegających o uwagę prezydenta.

Do tej pory Amerykanie nie weszli jednak w zastawioną przez Rosjan pułapkę, czyli tzw. kompartmentalizację wzajemnych relacji. Kreml pragnie bowiem, aby doszło do rozdzielenia „kwestii ukraińskiej" od amerykańsko-rosyjskiego resetu.

Idealny scenariusz wyglądałby według Rosji tak: Trump traci zainteresowanie zawieszeniem broni w Ukrainie i jednocześnie daje zielone światło dla odmrażania stosunków i znoszenia sankcji. Słowem: krew będzie się lać, podobnie jak strumień pieniędzy z jednej strony Cieśniny Beringa na drugą.

Tymczasem, ku rozczarowaniu Rosjan, Amerykanom zdaje się wciąż zależeć na tym, aby w Ukrainie przestały grzmieć działa. Trump dał temu wyraz podczas kwietniowej rozmowy z Putinem. Propozycję rosyjskiej pomocy w mediacji między USA a Iranem miał skwitować kontrpropozycją, by Putin zajął się najpierw zakończeniem swojej wojny.

SERGEY BOBYLEV / IMAGO / EAST NEWS

Donald Trump i Władimir Putin w Anchorage na Alasce, 15 sierpnia 2025 r.

Wyśrubowane żądania

Z drugiej strony, przeszkodę dla tego, aby rozmowy ruszyły z miejsca, stanowią sami Rosjanie, nieskorzy do odstąpienia od swoich roszczeń. Wyśrubowane pozycje wyjściowe Kremla nie pozwalają na zawarcie szerszego porozumienia bez utraty twarzy przez Amerykanów. Rzekoma treść „ducha Anchorage" tylko to potwierdza.

Przy czym nie chodzi tu tylko o Ukrainę i Europę, ale także o bardziej formalne obszary wzajemnych relacji – chociażby normalizację prac ambasad w obu krajach. Rosjanie nie chcą zgodzić się na zwiększenie dyplomatycznego personelu USA w Moskwie, jeśli Waszyngton nie spełni ich maksymalistycznych żądań. Kreml domaga się zwrócenia szeregu nieruchomości, które Amerykanie odebrali im jeszcze za kadencji Obamy (zostały zajęte pod zarzutem szpiegostwa).

Ta ścieżka – mająca poniekąd „techniczny charakter" i znajdująca się pod kuratelą zawodowych dyplomatów obu państw – również doprowadziła donikąd. Chociaż zdawałaby się najmniej problematycznym ze wszystkich pól negocjacji.

Sprzeczne sygnały Trumpa

Uwadze Kremla nie uchodzą te z działań USA, które są odczytywane jako wrogie – to zaś wzmacnia historycznie silną nieufność do Stanów. Z perspektywy Kremla, polityka Trumpa ma bowiem charakter ambiwalentny: pozytywne sygnały mieszają się z działaniami uderzającymi w rosyjskie interesy.

Choć USA wycofały się z finansowania ukraińskiej armii, to Ukraińcy wciąż otrzymują dane wywiadowcze, co pomaga im razić cele w głębi Rosji. Dla rosyjskich żołnierzy bolesna była też decyzja Elona Muska, gdy w lutym jego firma SpaceX odcięła im dostęp do satelitów Starlink. Spowodowało to poważne problemy z łącznością i było jednym z czynników, które spowolniły ofensywę agresora.

Z drugiej strony, na tle kryzysu na globalnym rynku ropy Trump złagodził sankcje na jej eksport z Rosji, co tej dało spore pieniądze. Amerykańscy decydenci zarzekają się, że to krok motywowany trudną sytuacją biedniejszych krajów Azji, pozbawionych ropy z Zatoki Perskiej. W Waszyngtonie rzekomo wciąż jest determinacja co do utrzymania reżimu sankcyjnego, dopóki trwa wojna.

Ale nie brak też sygnałów o innym wydźwięku. Na coroczne niedawne „rosyjskie Davos" (Międzynarodowe Forum Ekonomiczne w Sankt Petersburgu) przybył Amerykanin piastujący oficjalne stanowisko: Rodney Mims Cook, szef Komisji Sztuk Pięknych USA. Cook odpowiada m.in. za budowę sławetnej sali balowej i łuku triumfalnego Trumpa.

Rosyjska propaganda podkreślała, że przybycie Cooka to „pierwsza oficjalna wizyta" przedstawiciela USA na petersburskiej imprezie od blisko dekady. Jednak Marco Rubio, pytany o podróż Cooka, odparł, że nic nie wie na temat jej państwowego statusu.

Putin bez sukcesów

Impas i niepewność co do kierunku polityki Waszyngtonu są dla Rosjan tym boleśniejsze, że dla Putina rozwiązanie dyplomatyczne – a więc wykręcenie rąk Ukrainie przez zachodnich partnerów, wraz z normalizacją stosunków z USA – jawi się jako perspektywa, która mogłaby podreperować jego wizerunek, nadwątlony w ostatnich miesiącach.

Od początku 2026 r. widoczna jest jakościowa zmiana w postrzeganiu Putina wewnątrz Rosji, co odnotowują nawet rosyjskie sondażownie. W ostatnich miesiącach rosyjska ofensywa znacznie spowolniła, a Ukraińcy coraz intensywniej rażą cele w głębi Rosji.

Ataki te – uderzające głównie w infrastrukturę przemysłową – nie tylko osłabiają rosyjski potencjał gospodarczy, ale przede wszystkim podrywają ↦

↦ wiarygodność Kremla jako gwaranta bezpieczeństwa. Rosyjskie społeczeństwo wespół z częścią elit bardzo negatywnie odebrało też chaotyczne działania władz w kierunku odcinania całego kraju od swobodnego dostępu do sieci internetowej.

Na dyplomatycznym froncie również nie widać postępów. Przy czym nie chodzi tu tylko o brak progresu w rozmowach ze Stanami, ale też o „utratę" Orbána jako hamulcowego proukraińskiej polityki Unii Europejskiej. Po zmianie władzy na Węgrzech Brukseli udało się w końcu przyjąć unijną pożyczkę dla Ukrainy i nadać nowy impet polityce sankcyjnej.

Terror na ratunek

Rosjanie najwyraźniej nie mają nowego pomysłu, jak rozwiązać powyższe problemy. Podążają według dawno utartego szlaku, a więc: jeszcze więcej tego samego. To stąd coraz wściekleszje ataki na ukraińskie miasta – z użyciem coraz większej liczby dronów, a także nowego pocisku balistycznego Oresznik. Zwiększony terror ma przykryć rosyjski brak sukcesów i zademonstrować militarną potęgę Kremla.

Demonstracja siły to jednocześnie sygnał polityczny – wymierzony również w Trumpa. Kreml próbuje w ten sposób zwrócić uwagę Amerykanów, odgrywając stereotypową rolę „szalonych Iwanów" – nieprzewidywalnych i skorych do eskalacji.

Demonstracja siły to jednocześnie sygnał polityczny.

Kreml próbuje zwrócić uwagę Amerykanów, odgrywając stereotypową rolę „szalonych Iwanów" – nieprzewidywalnych i skorych do eskalacji.

W tym kluczu Rosjanie celowo podgrzewają też atmosferę na wschodniej flance NATO – czy to w postaci oskarżeń kierowanych wobec krajów bałtyckich o zezwalanie ukraińskim bezzałogowcom na korzystanie z ich przestrzeni powietrznej, czy przez próbę rozhuśtania nastrojów społecznych wokół incydentów z naruszaniem terytorium NATO przez ukraińskie drony (zagłuszane przez Rosjan).

Wszystkie te zabiegi mają służyć budowie przekonania, że Putin wciąż ma przestrzeń do eskalacji, lepiej więc usiąść z nim do stołu. Adresatem tych komunikatów jest przede wszystkim Trump, skoro to on wykazał się do tej pory największą elastycznością, gdy chodzi o uwzględnienie rosyjskich oczekiwań.

Trump ostatnią nadzieją?

Koniec wojny w Zatoce, niezależnie od jej ostatecznego wyniku, otwiera pole do przyspieszenia kontaktów USA–Rosja. Ale przeszkody nie znikną. Dodajmy do tego osobistą determinację Putina, która nie pozwala mu „zejść" z żądań – i mamy kurs na zderzenie, które może pogłębić zniecierpliwienie Trumpa. Już raz próbował on „zachęcić" Rosjan do dialogu przymusem, gdy jesienią 2025 r. nałożył sankcje na rosyjskie koncerny naftowe.

Brak przełomu jest politycznie kosztowny przede wszystkim dla Putina, którego „specjalna więź" z Trumpem miała przesądzić o korzystnym dla Rosji rozstrzygnięciu wojny.

Zakładając, że utrzymają się obecne trendy – powolny postęp Rosji na froncie, dalsza erozja jej gospodarki i dalsze wsparcie Europy dla Ukrainy – może się okazać, że rosyjska „formuła zwycięstwa" będzie wymagać solidnego przedefiniowania. Tym bardziej jeśli nadzieje związane z Trumpem okażą się płonne, a niemożność osiągnięcia celów wojny, które określił Putin, stanie się oczywista dla wszystkich.

Uświadomienie sobie tego w Rosji natomiast – to przepis na pogłębienie fermentu. Co mogłoby wprowadzić zupełnie nową dynamikę w tym konflikcie.

© FILIP RUDNIK

Autor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WOJCIECH

Bonowicz: *Jak się obronić?*

Chciałbym napisać o życzliwości. Kilka razy już zabierałem się za ten temat – i utykam. Wobec tego, co się dzieje dookoła, pisanie o życzliwości wydaje się czymś absurdalnym, wysiłkiem z góry skazanym na śmieszność. Wołaniem na puszczy, jakby się kiedyś powiedziało. Życzliwość wobec Ukraińców? Wobec Niemców? Wobec siebie nawzajem? Wolne żarty. To dla mięczaków. Miękiszonów. Takich, co życia nie znają.

Ale jak w takim razie stawić opór coraz brutalniejszemu językowi i coraz bardziej niepokojącym zachowaniom? Najczęściej słyszymy: państwo nie działa, a to państwo powinno zrobić z nimi porządek. Ale państwo jest na miarę obywateli. Jeśli państwo bywa opieszałe, to dlatego, że sami obywatele nie wiedzą, czego chcą.

Rząd posyła służby tu i tam, robi to na ogół powściągliwie, zapewne starając się nie eskalować konfliktów. Służby same są zdezorientowane, bo przecież za chwilę może pojawić się inny rząd i inne priorytety. Bywa, że jedno mówi się na odprawach, w obecności przełożonych, a drugie w rodzinnych domach. Nie usprawiedliwiam, staram się zrozumieć styl myślenia i wynikającą zeń strategię. Ale jest to, niestety, strategia krótkowzroczna.

Rząd powinien z największą mocą zwalczać przede wszystkim dezinformację. Pokazywać, kto rozsiewa nienawistne komunikaty. Likwidować źródła przez odcinanie im dostępu do polskiego internetu. Ale nawet i w tej kwestii nie ma zgody w klasie politycznej.

Wielu politykom opłaca się taka sytuacja, w której za dezinformację odpowiada wróg zewnętrzny. Odpowiedzialność zawsze można wtedy przerzucić na drugą stronę. Albo – no właśnie – na służby, które „nie dopilnowały". Jeszcze nie spotkałem się z przypadkiem, żeby polityk rozsiewający fałszywe wiadomości, z własnej woli, bez sądowego wyroku, wycofał się z nich i przeprosił.

O życzliwości miałem pisać... Ale jak pisać o życzliwości, kiedy trwa wyścig, kto więcej oliwy doleje do ognia. Czy można jakoś przeciwstawić się tej obłąkanej rywalizacji, w jakiej uczestniczą obecnie politycy prawicy? Coraz większe i coraz bardziej szkodliwe głupstwa (nie da się tu, niestety, użyć innego słowa) wypowiada kandydat na przyszłego premiera wysunięty przez największą opozycyjną partię.

Wydaje się, że nie istnieje granica, której nie byłby gotów przekroczyć, byle ponownie sięgnąć po władzę. Wstyd? Nie, wstyd należy w punkcie wyjścia odrzucić. Zdrowy rozsądek? No właśnie w imię zdrowego rozsądku te wszystkie bzdury. Wartości? Tylko takie, które dadzą się zinstrumentalizować. Nawet prawda? Hahaha. Dziecko pan jesteś? Nie wiesz, na czym polega polityka?

Czy zatem skazani jesteśmy na coraz gorsze współżycie z sąsiadami? I z sobą nawzajem? Wyrok już zapadł, nie ma odwrotu i – jak to kiedyś śpiewałem – cała Polska wyjdzie z Europy i wejdzie na Giewont? To przesądzone, czy jest jeszcze dla nas inny scenariusz? Żeby nie było nieporozumień: nie mam nic przeciwko krzyżowi na Giewoncie, ale mam bardzo wiele przeciwko używaniu krzyża do walki politycznej. Krzyż jest przeciwieństwem cynizmu. Krzyż w rękach politycznego cynika to bluźnierstwo.

Bronię się ze wszystkich sił, żeby nie napisać, że mnie także ogarnia pesymizm, gdy na to patrzę. Małe i wielkie gesty życzliwości (bo i wielkie zdarzają się przecież!) na tle tego, co się dzieje, wydają się jakimś snem, nierzeczywistością. Próbą powstrzymania lawiny kamieni rękami. Nie towarzyszy im nadmierna uwaga mediów. A przecież wciąż nie tak mało spośród nas w ten lub inny sposób pomaga walczącej Ukrainie i ukraińskim uchodźcom. I nawet jeśli nie zawsze jest to wymierna materialna pomoc, to staramy się im przynajmniej ofiarować swój uśmiech czy życzliwe słowo.

Czasem pokiwanie głową ze zrozumieniem czy przepuszczenie kogoś zmęczonego w kolejce więcej znaczy niż wzniosłe deklaracje solidarności. Deklaracje mogą się zmieniać, mogą zostać odwołane. Gest życzliwości jest potrzebny konkretnemu człowiekowi w konkretnej sytuacji. Ratuje jego wiarę w ludzi, a przynajmniej usiłuje ją podtrzymać. Człowiek, który musiał opuścić swoją ojczyznę, jest zazwyczaj kruchy, bardziej podatny na zranienie. Uciekając, stracił część osłon, które czyniły go odpornym na ciosy przychodzące z zewnątrz. O tym również warto pamiętać.

Tak, o życzliwości trudno się pisze, bo z założenia jest ona zwyczajna, niespektakularna. Ale właśnie ta zwyczajność jest jej największą siłą. Życzliwość codzienna, uparcie praktykowana – wobec wszystkich, nie tylko „swoich" – staje się czymś w rodzaju osłony zastępczej, społecznej otuliny. Silni (są w ogóle tacy?) może jej nie potrzebują, ale słabym (nam wszystkim?) jest do życia nieodzowna. ©

Wojciech Bonowicz jest poetą i społecznikiem. Autor biografii, rozmów rzek oraz „Dziennika pocieszenia".

MUZEUM
SZTUKI NOWOCZESNEJ
W WARSZAWIE

ARTMUSEUM.PL WYSTAWA

PICASSO

SELIGMANN

MASSON

26.06.2026
10.01.2027

TOYEN

ROSENSTEIN

SURREALIZM

JESTEŚ W SERCU ZMIAN

I ANTYFASZYZM

ERNST

TANGUY

MATTA

CARRINGTON

I INNI

MSN

Instytucja kultury miasta stołecznego Warszawy

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego

PARTNER STRATEGICZNY MUZEUM
Audi
MECENAS MUZEUM I KOLEKCJI
EY Shape the future with confidence
PARTNER EDUKACJI
Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego w Warszawie
PARTNERZY MUZEUM
e.on
TPA Horwath Gerfin
PURO
PARTNER PRAWNY
DZP
PARTNERZY MEDIALNI
onet
VOGUE
radiozet
wysokieobcasy
Pismo.
PARTNERZY WYSTAWY
LENBACHHAUS
ms
REKLAMA

TEZEUSZ.pl

Dajemy książkom **DRUGIE ŻYCIE**

Największy **antykwariat i księgarnia** w Polsce

W swojej ofercie mamy ponad pół miliona tytułów, w tym przeszło 10 tysięcy antyków. Docieramy w każde miejsce w kraju, skupując książki od klientów indywidualnych, bibliotek, seminariów i innych instytucji. Czasem znajdujemy pozycje unikatowe. Dzięki Tezeuszowi wyjątkowe książki mogą trafić do poszukiwaczy konkretnych tytułów, zyskując drugie życie.

Więcej szczegółów

SKUPUJEMY KSIĄŻKI w całym kraju!

Zadzwoń do nas: **883 846 389**

skup**ksiazek**.pl

REKLAMA

WIARA

TUTAJ, POD SŁOŃCEM

Kohelet to wiedział: wszystko jest tchnieniem. Także czerwiec z najdłuższym dniem w roku, który jutro zacznie się znów kurczyć. Dlatego jest taki piękny.

JULIA FIEDORCZUK

Czerwiec: miesiąc najkrótszych nocy i nagłych burz, czas truskawek, maków polnych i peonii. Kończy się rok szkolny, wchodzimy w wakacje i lato, jednocześnie stawiając pierwsze, drobne jeszcze kroczki w kierunku jesieni i zimy. Gdyby nie było perspektywy mroku – jego nieuchronności – jasne wieczory późnego czerwca, niemal płynnie przechodzące w świt, byłyby pozbawione gorączkowej urody wynikającej z faktu, że szybko przeminą. Letnie przesilenie świętuje się na północy: skandynawski Midsommar czy nasza Noc Kupały nie miałyby sensu, gdyby nie to, że siostrą najkrótszej nocy jest noc najdłuższa.

Właściwy czas rzeczy

W najsłynniejszej, najbardziej poetyckiej części Księgi Koheleta (znanego także jako Eklezjastes lub, po prostu, „kaznodzieja") mowa o tym, że na każdą rzecz przychodzi jej czas, choć hebrajskie *'et* (עת) dałoby się również przetłumaczyć jako „porę" lub „sezon". Kohelet wymienia długą serię dopełniających się przeciwieństw, określających różne pory ludzkiego życia. Jest zatem „czas rodzenia i czas umierania", „czas sadzenia i czas wyrywania tego, co zasadzono", „czas zabijania i czas leczenia" (Biblia Tysiąclecia, Koh 3, 2nn). Czy chodzi o to, że właściwy czas dla każdej sprawy został już wyznaczony i należy przestrzegać jakiegoś odgórnie narzuconego grafiku?

To nie jest jedyne możliwe odczytanie i wybieram inne – czas jest po prostu tym, co się wydarza. Kiedy rodzi się dziecko, nastaje czas narodzin, kiedy ktoś umiera – czas śmierci. Każda z tych spraw wymaga właściwej pory w takim sensie, że czas, czyli świat, musi do niej dojrzeć. Kiedy zależności przyczynowo-skutkowe ułożą się w takie, a nie inne sploty, to lub tamto się wydarzy. W językach niektórych religii tę przyczynowość nazywa się Bogiem, w innych – karmą. Ja nijak nie nazywam. Moja lektura Księgi Koheleta jest filozoficzna i literacka, ale nie teologiczna. Jest też zupełnie niestandardowa.

Ludzka wolność, co do której kaznodzieja nie ma wielkich złudzeń, polega na właściwym rozpoznaniu natury danego sezonu: nie da się niczego przyspieszyć ani niczego uniknąć, ale każda rzecz „jest piękna w swojej porze" (tłum. Czesław Miłosz). Trudno zgodzić się z sugestią, że „piękne" mogą być wojna lub nienawiść, albo zabijanie, ale Koheletowi chodzi chyba o to, że tutaj – czyli pod słońcem – żadna rzecz nie istnieje bez swojego przeciwieństwa, tak jak nie byłoby dnia bez nocy albo lata bez zimy. Każda z wymienionych w osobliwym wierszu spraw po wielokroć miała już miejsce, jednak z perspektywy pojedynczego istnienia niekoniecznie to widać, dlatego Kohelet narzeka, że „nie masz nic nowego pod słońcem", ale zaraz dodaje, że „nie nasyci się oko patrzeniem" i „nie napełni się ucho słuchaniem" (tłum. Czesław Miłosz). „Wszystkie strumienie idą do morza, a morze się nie przepełnia" (tłum. Anna Kamieńska). Ten paradoks odzwierciedla zderzenie różnych czasów: ograniczonego czasu ludzkiego życia i potężnego czasu Ziemi. ↦

Kopiec Krakusa w Krakowie, 20 czerwca 2024 r.

WALDEK SOSNOWSKI / FORUM

Pluskwiak i piękno

↦ Czerwiec: miesiąc gorączkowego domykania spraw przed urlopem, sesja egzaminacyjna, wystawianie ocen. Czas młodych ziemniaków i czereśni. Łacińska nazwa szóstego miesiąca przywołuje boginię Junonę – opiekunkę kobiet, małżeństwa i rodziny, ale język polski podąża odrębną ścieżką. W nazwie „czerwiec" czerwień krzyżuje się z pięknem za sprawą czerwca polskiego – małego owada należącego do rzędu pluskwiaków. Dawniej pozyskiwano z niego barwnik o intensywnym, karminowym kolorze. Według przyrodnika i pisarza Antoniego Wagi słowo „czerwony" wymyślono właśnie po to, żeby opisać ten barwnik (podobny kolor określano wcześniej słowem „krasny" lub „kraśny"). Nazwa „czerwiec" pochodzi więc od czerwonego czerwia: czerwień to piękno.

Czerwie czerwca bytowały na korzeniach rośliny także zwanej czerwcem (*Scleranthus perennis*). Zbierano je o tej porze roku, a następnie suszono i mielono, aby uzyskać proszek do farbowania luksusowych tkanin. Piękno okupione życiem – nic wyjątkowego, choć dawniej wierzono, że przyklejone do korzeni purpurowe kulki to nasiona lub owoce. W XV i XVI wieku barwnik pozyskiwany z czerwców stanowił nasz podstawowy towar eksportowy, ale to nie z tego powodu owad ten jest dziś bardzo rzadki: wynika to z kurczenia się terenów, na których może rosnąć goszcząca go roślina. *Scleranthus perennis* – czerwiec trwały – lubi piaszczyste murawy, odłogi i wydmy. Rośnie na obrzeżach lasów i poboczach dróg, często w towarzystwie szczotlichy siwej (a także – muszę zapisać te nazwy – macierzanki piaskowej i jastrzębca kosmaczka). Potrzebuje słońca.

Z prochu powstałeś

U Koheleta określenia kolorów prawie nie występują, a przecież pesymistyczny autor udziela zaskakującej instrukcji, żeby widzieć piękno! Według Biblii Tysiąclecia, „piękną jest rzeczą jeść i pić, i szczęścia zażywać przy swojej pracy, którą się człowiek trudzi pod słońcem" (Koh 5, 17). Kolor czerwony pojawia się w tekście tylko poprzez słowo *adam* (אדם) oznaczające człowieka. Ten sam rdzeń może jednak oznaczać ziemię/glebę, z której człowiek został stworzony, oraz, pośrednio, jej czerwoną barwę. Wszystko, co żyje, powstaje z ziemi i do ziemi – „do prochu", *afar* (עפר) – powraca. Pod tym względem człowiek nie różni się od zwierzęcia: „Los bowiem synów ludzkich jest ten sam, co i los zwierząt" (Biblia Tysiąclecia, Koh 3, 19). Izaak Cylkow tłumaczy to tak: „bo jaka śmierć jednego, taka śmierć drugiego a jedno tchnienie mają wszyscy, a wyższości człowieka nad bydlęciem nie ma, bo wszystko marność". W wersji Czesława Miłosza czytamy:

Jaka śmierć tych, taka i śmierć tamtych.
I duch w nich wszystkich ten sam.
Cóż ma człowiek więcej niż bydlę? Nic.
A wszystko to jest marność.

Między innymi z powodu tego fragmentu uważa się Księgę Koheleta za nadzwyczaj ponurą, ale w mojej lekturze ostatecznie taką się nie okazuje.

Pokrewieństwo jesieni

Czerwiec: w tym roku, po suchej wiośnie, bardzo dużo deszczu. Mało czerwieni, bujna zieleń, wiele szarości. Jest wczesny ranek, klony w dole pod blokiem kołyszą się na silnym wietrze. Wiosna, bo do przesilenia jeszcze kilka dni, ujawnia swoje pokrewieństwo z jesienią.

Wszystko jest tchnieniem

Drugi wers Księgi Koheleta, według Biblii Tysiąclecia, brzmi tak: „Marność nad marnościami, powiada Kohelet, marność nad marnościami – wszystko marność" (Koh 1, 2). Wszystkie polskie przekłady, do których dotarłam, używają słowa „marność", zresztą fraza „wszystko marność" na dobre zadomowiła się w polszczyźnie. Warto jednak przypomnieć, że Koheletowi chodzi konkretnie o nietrwałość. Wszystko jest „marnością" – ponieważ przemija. Żadna rzecz (pod słońcem) nie posiada trwałej ani substancjalnej natury. Słowo *hevel* (הבל), powtórzone w księdze aż 64 razy, dosłownie oznacza parę, mgłę lub tchnienie. Kohelet skarży się na ulotność wszystkich ludzkich spraw i dzieł. Jak wyjaśnia Piotr Paziński, „*Havel havalim* ma zabarwienie zmysłowe, jak tchnienie, dym, opar, mgła, i wyraża nie tyle marność, co raczej przemijanie, daremność, nietrwałość widzialnego świata". To, co ma miejsce pod słońcem, jest wyraźnie oddzielone od tego, co w niebie. A tutaj wszystko jest „pogonią za wiatrem". Niczego nie da się zatrzymać na stałe: ani młodości, ani bogactwa, ani władzy, żadnej z tych rzeczy, na których ludziom tak bardzo zależy, że gotowi są o nie walczyć.

Życie jest z natury rzeczy nietrwałe. Czas istnieje. Istnieje także wynikające z niego cierpienie – to są podstawowe, niekoniecznie religijne wglądy. Podkreślając nierozdzielność życia i cierpienia, Kohelet mówi to samo, co pewien nauczyciel z zupełnie innej tradycji – i innej części świata. Tamten, działający nieco wcześniej, posługiwał się sanskryckim słowem *samsara* – Kohelet mówi „pod słońcem". Tylko tu, nigdzie indziej, dojrzewają sezony.

Lektura z bacówki

Około 2015 r. kupiłam sobie „Księgę Koheleta" w przekładzie Anny Kamieńskiej i z posłowiem Piotra Pazińskiego. Poetka interpretowała Koheleta jako postać wątpiącą, uparcie poszukującą drogi – i chyba właśnie poprzez tę interpretację tak bardzo i trwale zafascynował mnie ten dziwny (nie)prorok: „mądrość, która nie jest skrzepem myśli ani żadnym systemem, mądrość otwarta, w stanie wrzenia, w stanie niepokoju" (to słowa Pawła Śpiewaka). Wszystko zaczęło się pewnego czerwcowego popołudnia w schronisku górskim (tak zwanej „bacówce") między Runkiem a Pustą Wielką nieopodal Wierchomli, gdzie w tamtym czasie niekiedy wyjeżdżałam, żeby pisać albo spędzać czas z bliskimi ludźmi. Siedziałam na werandzie z notesem i książką – istnieje zdjęcie tego momentu, zrobił je mój przyjaciel, pisarz i fotografik Radek Kobierski.

W kadrze tego nie widać, ale książka, którą studiuję, to właśnie szary, wydany przez ŻIH tomik z przekładem księgi wątpienia. Gdyby nie słońce, które grzało nas tamtego dnia podczas górskiej wędrówki, być może nie uczepiłabym się aż tak bardzo akurat tej frazy: określenie „pod słońcem" pada w Księdze Koheleta dwadzieścia razy, wyznaczając rytm poematu, który w moim odbiorze dotyczy przede wszystkim czasu, czy raczej jego różnych wymiarów.

Tamtego popołudnia wymyśliłam powieść o tym właśnie tytule, w której w koheletową strukturę wątpienia i drogi postanowiłam wpisać konkretny ludzki los. Postanowiłam napisać o rzece, która toczy swoje wody do morza, jak wiele innych rzek, by stać się jego częścią, ale dopóki płynie, pozostaje tylko sobą. O życiu złożo-

RADEK KOBIERSKI

Siedziałam na werandzie schroniska z notesem i wydanym przez ŻIH tomikiem księgi wątpienia. Gdyby nie słońce, które grzało nas tamtego dnia podczas górskiej wędrówki, być może nie uczepiłabym się tej frazy. Postanowiłam napisać o życiu złożonym z wydarzeń, z których każde było już wielokrotnie pod słońcem ćwiczone.

Na zdjęciu: Julia Fiedorczuk, okolice Wierchomli, czerwiec 2016 r.

nym z wydarzeń, z których każde było już wielokrotnie pod słońcem ćwiczone, a jednocześnie – o jedynym i niepowtarzalnym życiu. *Tahat ha shemesh* – właśnie tu, w tej drodze. Słowo *shemesh* jest bardzo stare, ten sam rdzeń, który powtarza się w wielu językach semickich, w tym w arabskim (*shems*). Szamasz, jedna z najstarszych postaci panteonu Mezopotamii, był bóstwem solarnym (i bratem Inanny). „I wschodzi słońce i zachodzi słońce, i dąży do miejsca swego, aby tam świecić" (Koh 1, 5, tłum. Anna Kamieńska).

Puść chleb swój na wody

Co wynika z wglądów Koheleta, jakie konkretne wnioski? Poza zachętą do pobożności (dość jednak ogólnikową), raczej nie znajdziemy w jego poemacie konkretnych podpowiedzi (byłby kiepskim coachem!). Kohelet przetestował różne sposoby zaradzenia „marności", ale żaden nie okazał się skuteczny, choć włożył całe swoje serce „w badanie i dociekanie wszystkiego, co stworzone pod niebem". Stał się potężny – zyskał majątek i służbę, ale to także okazało się marnością i „utrapieniem ducha". Następnie za ideał obrał mądrość, w oczywisty sposób lepszą od głupoty, odkrył jednak, że „gdzie dużo mądrości, tam wiele zgryzoty" (Koh 1, 18a, tłum. Czesław Miłosz), a „kto pomnaża wiedzę, pomnaża cierpienie" (Koh 1, 18b, tłum. Anna Kamieńska). Być może ludzie mają skłonność, żeby za bardzo wszystko komplikować: „Bóg stworzył człowieka prostym, oni wszakże szukają obliczeń przeróżnych" (Koh. VII: 29, tłum. Izaak Cylkow). Prawdziwa mądrość jest cenna, ale nawet ona nie ocali nas przed wiatrem.

Rozproszone w tekście pozytywne stwierdzenia mówią o pięknie, jedzeniu i piciu, a także o tym, że dobrze jest „widzieć słońce", ale najpiękniejsze, choć tajemnicze wskazanie pada na samym początku rozdziału jedenastego: „puszczaj chleb twój na powierzchnię wód..." (tłum. Izaak Cylkow), albo w tłumaczeniu Czesława Miłosza:

Posyłaj twój chleb na oblicze wód,
a znajdziesz go po dniach wielu.
Daj cząstkę siedmiu, a nawet ośmiu,
bo nie wiesz, jakie nieszczęścia
nastąpią na ziemi.
Jeżeli napełniają się chmury,
deszcz na ziemię wyleją.

W Biblii Tysiąclecia przytoczony fragment (Koh 11, 1-3) zaczyna się od „wyrzuć" (u Kamieńskiej jest „rzuć"), do mnie jednak bardziej przemawia „posyłaj", a najbardziej – „puść". To skromna, ale uczciwa rada – „puszczaj chleb swój na powierzchnię wód", nie trzymaj się kurczowo własnego zysku – niczego się kurczowo nie trzymaj. Paradoksalnie, właśnie wtedy twój chleb ma szansę powrócić. Obrazy wody wiążą się u Koheleta z nietrwałością. Rzeki, które płyną i płyną, morze, którego nie da się przepełnić: oto marność. „Puszczenie chleba" to jedyne, co da się zrobić.

Wspólny trud

A gdyby koheletowe słońce potraktować nie metaforycznie, tylko całkiem dosłownie? Słońce, dominujący grawitacyjnie obiekt Układu Słonecznego (zawierający około 99,8 proc. jego całkowitej masy), gorąca kula plazmy złożona głównie z wodoru i helu, jest źródłem wszelkiego ziemskiego życia. Na aktualnym etapie swojej ewolucji zapewnia Ziemi odpowiednią temperaturę dla trwania wszystkich bytujących tu organizmów. Wyznacza trasę Ziemi, umożliwia fotosyntezę, sprawia, że chce nam się żyć. Stanowi źródło energii alternatywne wobec paliw kopalnych, które odpowiadają za katastrofalną zmianę klimatu.

Pod słońcem toczą się procesy budujące nasz świat, powstają formy materii i wyobraźni. Trud, o którym tak wiele mówi Eklezjasta, to wspólny trud ludzi, zwierząt i roślin: budowanie ulotnego domu, w którym ciągle na nowo uczymy się żyć. Szczęśliwi są ci, którzy widzą słońce – cokolwiek to zdanie znaczyło dla Koheleta, dla nas, na tym etapie cywilizacji, może oznaczać nadzieję na bardziej sprawiedliwy świat.

Właśnie trwa życie

Czerwiec, szósty miesiąc roku. Tyle samo do końca, co i do początku. Jeszcze nie czas na podsumowanie. Rok nie jest ani stary, ani nowy: właśnie teraz trwa życie. Za kilka dni przesilenie i słońce zawędruje najwyżej, jak zdarza mu się w naszej szerokości geograficznej zawędrować. Najdłuższym dniem roku w Warszawie będzie 21 czerwca (będzie trwał 16 godzin i 46 minut). 22 czerwca słońce wzejdzie w Warszawie o 4.14, ale już o 3.24 zacznie robić się widno.

Pod słońcem toczą się procesy budujące nasz świat, powstają formy materii i wyobraźni. Trud, o którym mówi Eklezjasta, jest wspólny dla ludzi, zwierząt i roślin.

© JULIA FIEDORCZUK

Miłosierdzie drugiego sortu

EDWARD AUGUSTYN Z WILNA

ŚWIĘCI | Faustyna buntowała się na każdym kroku, bo bardziej słuchała Boga niż ludzi. Trzy lata spędzone w Wilnie były najważniejsze w jej życiu – tam wszystko się zaczęło.

Zespół poklasztorny wizytek z nieczynnym Kościołem Serca Jezusowego na Rossie – centrum Światowego Kongresu Miłosierdzia w Wilnie, czerwiec 2026 r.

Akwafort jest 33 – tyle, ile lat ziemskiego życia Jezusa. Choć nie im są poświęcone. Vaidotas Kvašys wykorzystał symboliczną liczbę do zilustrowania wizji s. Faustyny opisanych w „Dzienniczku". Grafiki zapełniają wykrzywione twarze grzeszników pokutujących w czyśćcu, diabłów czyhających na biednego człowieka, dziewczyn „moralnie upadłych", których edukacją i resocjalizacją zajmowały się zakonnice. Nad nimi wszystkimi – Boże Miłosierdzie.

Wystawę można oglądać w „Domku Faustyny" na wileńskim Antokolu, w jednym z budynków, jakie pozostały po tamtejszym klasztorze.

Drugi sort

Wizji doświadczała już wcześniej. Nawet zanim wstąpiła do zakonu. Gdy była w klasztorze w Płocku, Jezus kazał jej namalować swój obraz. Rok później, w Krakowie, zażądał, by została „sekretarką Bożego Miłosierdzia". W maju 1933 r. została przeniesiona do Wilna, gdzie od rana do nocy, z przerwą na modlitwy i posiłki, pracowała w ogrodzie, czasem pomagała też w kuchni. Miała 28 lat i była zakonnicą drugiego chóru, choć poprawniej byłoby powiedzieć sortu, bo chodziło o siostry bez wykształcenia i posagu, wykonujące w klasztorach prace fizyczne.

Szanse, by przekazywane za pośrednictwem takiej osoby żądania Pana Jezusa zostały spełnione, były niewielkie. A z czasem pojawiało się ich coraz więcej (w Wilnie Faustyna doświadczyła 80 objawień). Chodziło m.in. o ustanowienie święta w Kościele, rozpowszechnienie „koronki do Miłosierdzia Bożego" i założenie nowego zgromadzenia zakonnego.

Niewiele większe byłyby te szanse nawet dziś, choć nie ma już „drugich chórów", a kobiety pełnią ważne funkcje w Watykanie. W kwestii objawień prywatnych niewiele się zmieniło: prędzej czy później o ich wiarygodności zadecyduje jakiś mężczyzna, zwykle nie jeden. Dlatego i wtedy, i dziś przydaje się ich wsparcie.

Dla Faustyny opatrznościowym mężem stał się ks. Michał Sopoćko – spowiednik, kapelan wojskowy, a co najważniejsze: teolog i wykładowca uniwersytecki. Słowem: kościelny autorytet.

On też nie od razu jej uwierzył (najpierw skierował na badania psychiatryczne), nie chciał też czasu przeznaczonego na spowiedź sióstr poświęcać na wysłuchiwanie zwierzeń tylko jednej z nich. Polecił więc, by zapisywała wszystko w zeszycie. Znalazł też malarza, Eugeniusza Kazimirowskiego, który podjął się stworzenia obrazu według wskazówek Faustyny. A po jej śmierci stał się najgorętszym propagatorem „Dzienniczka" i Bożego Miłosierdzia.

Wilno czeka

– Litwa to kraj artystów – mówi o. Jurek Czarniawski ze Wspólnoty Braci św. Jana, który oprowadza mnie po „Domku Faustyny" i wystawie. Znał Kvašysa, autora grafik, zmarłego przed dwoma laty, który mieszkał po sąsiedzku. Znał też wielu innych amatorów sztuki, muzyki i literatury, więc wie, co mówi. Zabiera mnie na antokolski cmentarz i pokazuje kwaterę artystów, gdzie każdy grób to prawdziwe dzieło sztuki.

Trudno nie być wrażliwym na piękno, gdy mieszka się w takim mieście – położonym na siedmiu wzgórzach, nad dwiema rzekami, pełnego kościołów, cerkwi, bożnic, pałaców i parków. Do tego – z powodu białych rzeźb Vaidotasa Ramoški, rozmieszczonych na budynkach urzędów, szpitali i prywatnych domów – nazywanym „miastem aniołów".

– Szkoda, że Polacy przyjeżdżający do Wilna skupiają się na kilku jedynie miejscach, choć oczywiście pięknych: Ostra Brama, cela Mickiewicza, cmentarz na Rossie, Kościół Piotra i Pawła i „polski kościół" Świętego Ducha – mówi o. Jurek.

Jego słowa potwierdza Raminta Levandraitytė-Matulevičienė z wileńskiego ratusza: – Polacy wciąż stanowią największą grupę turystów w naszym mieście – mówi „Tygodnikowi". – Ale zwykle przyjeżdżają tylko na jeden dzień, najczęściej autokarami. Tymczasem oferta dla turystów i dla pielgrzymów jest naprawdę bogata.

Miasto przygotowało dla gości kilka tras tematycznych (m.in. Wilno sowieckie,

Wilno z lat 90., Wilno żydowskie). Miejscowe Centrum Pielgrzymkowe ma ich aż 14, w tym tę najważniejszą: śladami św. Faustyny i bł. Michała Sopoćko.

Bo przecież tutaj wszystko się zaczęło.

Cena sprzeciwu

„Spokojne miasto z buntowniczą duszą" – reklamuje się Wilno.

Na antokolskim cmentarzu pierwszą kwaterą, jaką mijamy, są groby studentów zabitych podczas interwencji Armii Radzieckiej w styczniu 1991 r., dziesięć miesięcy po ogłoszeniu przez Litwę niepodległości.

Ale „buntowniczą duszę" Wilna widać też w innych miejscach, czasem w bardziej żartobliwej formie. Zarzecze (Užupis), położone w zakolu Wilejki, połączone ze starym miastem dwoma niewielkimi mostami, to dzielnica artystów i buntowników. Blisko 30 lat temu (w 1997 r.) proklamowali tu „niezależną" Republikę Zarzecza, z własną flagą i walutą (mającą pokrycie nie w złocie, ale piwie), prezydentem i rządem (obradującym w najsłynniejszej knajpie) oraz 43-punktową konstytucją, opartą na ideałach wolności i równości.

Zastanawiam się nad buntem Faustyny. Wszyscy piszą, że była posłuszna. Nie kwestionowała poleceń przełożonych i spowiedników. Nie podważała reguły swojego zgromadzenia ani doktryny Kościoła. Ale przecież buntowała się niemal na każdym kroku.

Gdy kazano jej skończyć z wizjami, uznać je za złudzenie albo szatańską pokusę, trwała przy tym, co – jak wierzyła – pochodzi od Boga. Pisała „Dzienniczek" mimo złośliwości i upokorzeń. Podobnie było z obrazem – choć wszyscy wkoło uważali to za fanaberię, dopięła swego. Nie zadowoliła się pierwszym efektem – zgłaszała wiele uwag i domagała się poprawek, bo Pan Jezus nie był tak piękny, jak sobie wyobrażała. Dopominała się, by obraz zawisnął w kościele i stał się przedmiotem kultu. Jej bunt polegał na tym, że była posłuszna bardziej Bogu niż ludziom.

Walka o obraz

Buntowniczą duszę mieli też ks. Sopoćko i czciciele orędzia s. Faustyny. Zwłaszcza w latach 60. XX w., gdy musieli działać w „kościelnej szarej strefie", po zakazie rozpowszechniania „Dzienniczka" wydanym przez Watykan.

Miały ją też zakonnice z nowego zgromadzenia, które ks. Sopoćko założył w 1944 r., realizując testament s. Faustyny. Przez lata musiały cierpliwie upominać się o miano równoprawnych spadkobierczyń Świętej, zawłaszczonej przez siostry z krakowskich Łagiewnik. Dziś są prężnie działającą wspólnotą zakonną w Polsce, na Litwie i kilku innych krajach.

Buntem wobec zniewalającego systemu była walka o ocalenie wileńskiego obrazu Jezusa Miłosiernego w czasie wojny i sowieckiej okupacji na Litwie. Ukrywano go w kilku świątyniach Wilna i na Białorusi – tak skutecznie, że wszyscy myśleli, że zaginął. Co było przyczyną zamówienia drugiej wersji, tej najbardziej dziś znanej w świecie, u krakowskiego malarza Adolfa Hyły.

„Odnaleziony" oryginał, który od 1986 r. wisiał w Kościele św. Ducha, stał się przyczyną sporu między wileńskimi Polakami a kard. Audrysem Bačkisem. W 2004 r. metropolita Wilna nakazał przenieść obraz do nowo powstałego sanktuarium Bożego Miłosierdzia, przeciwko czemu zbuntowali się polscy wierni. Parafialne straże pilnowały ołtarza dzień i noc, przez kilkanaście miesięcy. W końcu wysłannicy kardynała wynieśli obraz w asyście policji. Czego Polacy do dziś nie mogą Litwinom zapomnieć.

Vaidotas Kvašys, Święta Faustyna i lalki, 2012 r. (na podst. „Dzienniczka" 64, 288, 349)

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI RITY KVAŠIENĖ

Ale najważniejszy był inny bunt, zapoczątkowany przez Faustynę i kontynuowany przez jej czcicieli. To odrzucenie obowiązującej w Kościele wizji Boga – „sędziego sprawiedliwego, który za dobre wynagradza, a za złe karze". I przekonanie wszystkich, że „największym przymiotem Boga jest miłosierdzie".

Bez miłosierdzia

Co dziś znaczy być miłosiernym – zastanawiali się przez tydzień (6-12 czerwca) uczestnicy Światowego Kongresu Miłosierdzia w Wilnie. Wzięło w nim udział blisko 5 tys. wiernych z całego świata.

Wśród prelegentów kongresu byli prawosławny patriarcha Konstantynopola Bartłomiej I, kard. Grzegorz Ryś, metropolita krakowski, abp Rino Fisichella z Dykasterii ds. Ewangelizacji oraz wielu duchownych i świeckich, którzy opowiadali o swoim osobistym spotkaniu z Bożym Miłosierdziem. Z prelekcji i warsztatów płynął jeden wniosek: może nie mamy już problemu z miłosierdziem rozumianym jako atrybut Boga, za to dużo trudniej jest nam je realizować w codziennym życiu.

– Chętnie myślimy o Bożym miłosierdziu dla nas, ale nie dla innych – mówi „Tygodnikowi" abp Gintaras Grušas, arcybiskup Wilna. – Dla nich wolelibyśmy Bożą sprawiedliwość. To ludzka reakcja, zwłaszcza gdy ten inny wyrządził nam krzywdę. Kochać wroga nie jest łatwo.

Nigdy nie było. Choć może dziś o miłosierdzie szczególnie trudno. Nie tylko z powodu wojen.

– Nauka o miłosierdziu idzie w poprzek tzw. kulturze psychoterapeutycznej, która każe nam dbać o własny dobrostan, stawiać granice, akceptować swój gniew i złość. Która chce, by człowiek zawsze był w centrum i by mógł zachowywać się tak, jak jest dla niego wygodne – dodaje arcybiskup. – Tymczasem to Bóg powinien być w centrum, a my mamy się starać do Niego dostosować.

– Trzeba po prostu zacząć – mówi z kolei kard. Grzegorz Ryś. – Ktoś musi zacząć być miłosiernym. Ktoś musi być inny.

Krakowski metropolita przywołał podczas kongresu przykład Karola Goldy, ↦

EVGENIA LEVIN / MATERIAŁY PRASOWE WACOM

↦ jednego z beatyfikowanych kilka dni wcześniej salezjanów, zamordowanego w Auschwitz za to, że wyspowiadał niemieckiego żołnierza i nie zdradził tajemnicy spowiedzi. Mówił też o Kościele, który traktował miłosierdzie jak nic nieznaczący slogan. A nawet nie miał miłosierdzia, gdy organizował wyprawy krzyżowe, prześladował Żydów, usprawiedliwiał niewolnictwo, współpracował z reżimami.

– Chrześcijaństwo ma dwie twarze. Za obie trzeba wziąć odpowiedzialność – dodał kardynał. – Obydwie są istotne dla rozumienia, co to jest miłosierdzie. Bo jest ono twórczą siłą, zdolną pokonywać zło.

Semantyka i kult

– Kogo w Polsce obchodzi miłosierdzie – odpowiada żartobliwie krakowski metropolita, gdy mówię mu o statystykach kongresu: najwięcej przyjechało gości z USA i krajów anglojęzycznych (Filipiny), sporo z Włoch i Hiszpanii, mało z Polski (zaledwie 250 osób).

Jovita Valeikaitė La Ferrera, dyrektorka ds. komunikacji kongresu, tłumaczy to bardzo prosto: – Polaków mało interesują wileńskie początki kultu. Macie własne sanktuarium i własny obraz.

To prawda – czcicieli Bożego Miłosierdzia w Polsce nie brakuje, na odpust do sanktuarium w Łagiewnikach przyjeżdża 100-150 tys. wiernych. Ale z drugiej strony bardzo trudno zainteresować przesłaniem s. Faustyny media i kulturę popularną w naszym kraju. Może dlatego, że samo słowo „miłosierdzie" ma u nas mocno religijny i staroświecki charakter, kojarzy się z dobroczynną wyższością. W przeciwieństwie do języka angielskiego, w którym *mercy* jest słowem żywym i powszechnym, używanym przez młode pokolenia i w popkulturze (także w zwrocie *no mercy*). A także włoskiego czy hiszpańskiego, gdzie *misericordia* brzmi, owszem, nobliwie, ale nie ironicznie czy pobłażliwie, jak po polsku („okazać komuś miłosierdzie").

O ile pod względem socjologicznym recepcja „orędzia Faustyny" była już nieraz badana w Polsce i na świecie, choćby w kontekście pielgrzymek do Łagiewnik, to jej językowy wymiar wciąż czeka na zgłębienie. Jedno słowo, samo w sobie, może przecież zbudować albo zburzyć wiarygodność całego tekstu. Semantyka też może mieć wpływ na kult Bożego Miłosierdzia.

Anioły z Wilna

Siedzę w wielojęzycznym tłumie na placu za nieczynnym i zdewastowanym Kościołem Serca Jezusowego na Rossie. Wybór tego miejsca na centrum kongresowe nie jest przypadkiem. Przypomina tragiczną historię Wilna. Przed wojną był tu klasztor sióstr wizytek, w domu obok, zwanym kapelanią, mieszkał ks. Sopoćko, a na parterze swoją pracownię miał Eugeniusz Kazimirowski. W 1945 r. Sowieci urządzili w kościele i klasztorze więzienie. Działało do 2007 r.

Próbuję sobie wyobrazić Faustynę, jak przez pół roku, w każdą sobotę rano, idzie tu z Antokolu. Droga w jedną stronę zajmuje jej ponad godzinę. Po tygodniu pracy w klasztorze zanurza się w gwarze wielokulturowego miasta. Wędruje wzdłuż Neris i Wilejki. Mija park i pałac Sapiehów, potem Kościół Piotra i Pawła – wypełnioną po brzegi białymi stiukami perłę baroku, dalej Dolny Zamek, katedra, Uniwersytet Wileński, Cerkiew św. Paraskiewy, klasztor bazylianów, gdzie więziony był Adam Mickiewicz, Ostra Brama.

Wracam do akwafort Vaidotasa Kvašysa. Wiele z nich to panoramy Wilna, z aniołami zasiadającymi na dachach jak wielkie, białe ptaki.

„Widziałam, jak na każdym z mijanych kościołów stał anioł, jednak w bledszym świetle od ducha tego, który mi towarzyszył w podróży. A każdy z duchów, którzy strzegli świątyń, skłaniał się duchowi temu, który był przy mnie" – pisała Faustyna w „Dzienniczku". To najczęściej tłumaczona i najlepiej sprzedająca się polska książka w świecie. Znam takich, którzy przeczytali ją wiele razy, i takich, którzy nie byli w stanie przez nią przebrnąć, skarżąc się na patos, egzaltację i grafomańskie próby poetyckie.

A może problemem wcale nie są słowa, mniej lub bardziej staroświeckie? Tylko „zawodowy sceptycyzm", jaki budzą w nas, dzieciach racjonalizmu, opisy mistycznych przeżyć s. Faustyny. Pisał o tym na naszych łamach ks. Józef Tischner, trafnie zauważając, że skoro chrześcijaństwo jest religią Boga, który przyjął postać człowieka, to Boże objawienie nie może trafiać do ludzi inaczej, jak tylko „wedle miar i dróg", jakie sami ludzie zechcą mu wyznaczyć.

„Człowiek ma prawo rozumieć"; „Człowiek ma prawo niczego nie rozumieć"; „Człowiek ma prawo do wiary" – czytam w konstytucji Zarzecza, wywieszonej w 50 językach tuż przy głównym placu dzielnicy, nad którą góruje 12-metrowa statua anioła. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Panom Wojciechowi Pawłowskiemu – Przewodniczącemu Rady Nadzorczej,
i Robertowi Falewiczowi – Redaktorowi Naczelnemu i Prezesowi Zarządu
oraz wszystkim Pracownikom i Współpracownikom Wydawnictwa Poznańskiego
składamy najserdeczniejsze gratulacje z okazji 70-lecia Wydawnictwa.

Mamy pewność, że Wydawnictwo Poznańskie przez kolejne dekady
zapraszać będzie do wyjątkowego świata książek i ważnych myśli.

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego" i Fundacji Tygodnika Powszechnego

Zamek, nie twierdza

KS. JACEK PRUSAK SJ

DUCHOWOŚĆ | Módl się, jak potrafisz, a nie próbuj modlić się tak, jak nie potrafisz. O tym, jak wejść w modlitwę, opowiada w nowej książce karmelita Mateusz Filipowski.

JAMESTEOH.ART / ADOBE STOCK

Nie ma w Kościele człowieka, który by czegoś nie zawdzięczał Karmelowi – pisał Thomas Merton. Karmel ma troje doktorów Kościoła: św. Teresę od Jezusa, św. Jana od Krzyża oraz św. Teresę z Lisieux („czwarty doktorat", dla św. Edyty Stein, ma być wkrótce ogłoszony). „Mała droga" Teresy z Lisieux przewartościowała rozumienie świętości, ukazując znaczenie codzienności zamiast nadzwyczajności. Jan od Krzyża bezprecedensowo opisał „noc ciemną". A Teresa od Jezusa, choć nie stworzyła żadnej „metody" modlitwy, dała Kościołowi jej pedagogię – styl życia kontemplacyjnego – stąd określona została „doktorem modlitwy". Warto więc wiedzieć, jakie jest karmelitańskie rozumienie modlitwy i kontemplacji, a szerzej życia duchowego.

Już to mogłoby wystarczyć za zachętę do lektury rozmowy Agaty Kulczyckiej z karmelitą bosym o. Matuszem Filipowskim „Tkanie. Modlitwa i kontemplacyjny lifestyle". Jej osią jest tytułowe „tkanie" osobistej relacji z Bogiem, która ma stać się zaproszeniem do odkrycia modlitwy prostej obecności, spokojnego bycia przed Tym, który jest. Ta książka to nie traktat teologiczny, tylko „utkana przyjacielska gawęda o modlitwie i życiu, o relacji z Bogiem i duchowych prawidłach, które splatają się w całość, tworząc wielobarwny gobelin kontemplatywnego życia oraz dynamiki modlitwy". „Ten gobelin – jak podkreślają autorzy – będzie dla czytelnika swoistą mapą, którą zechce spakować do plecaka i wyruszyć w wielką, duchową przygodę swojego życia".

Pieśń humbaka

Choć Merton miał rację w swej ocenie, to jednak karmelitańska „gorąca apofatyka" (przekonanie, że transcendentnego Boga nie da się pojąć rozumem ani opisać ludzkim językiem) nie każdemu „rozgrzeje serce" miłością do Boga. „Muszę przyznać – wyznał niedawno ks. prof. Michał Heller – że gdy wiele lat temu sięgałem bezpośrednio do pism mistyków, to na ogół byłem zawiedziony. Czytałem w swoim czasie pisma Świętej Teresy z Ávila, Świętego Jana od Krzyża, ale wydawało mi się to naiwne, nie spełniało moich oczekiwań. Być może powinienem wrócić do tych lektur, może dziś spojrzałbym na nie inaczej".

Nie wiem, czy stałoby się tak po lekturze „Tkania", ale myślę, że krakowskiemu kosmologowi przypadłaby do gustu wprowadzająca w rozmowę metafora „pieśni humbaka" – ulubieńca o. Filipowskiego. Jak podkreśla karmelita, „wieloryb jest najbardziej kontemplacyjnym zwierzęciem (...) Z jednej strony należy do największych ssaków na ziemi, z drugiej – to ostoja łagodności. Nie poluje, nie jest drapieżnikiem. To dla mnie symbol spokoju. Myślę też o jego oddechu: regularnym, miarowym. Nabiera powietrza i potrafi godzinami trwać w głębinach. Jest symbolem schodzenia w głąb. A przy tym to zwierzę stadne – żyje w relacjach, potrzebuje wspólnoty".

Nie chodzi tu oczywiście o ubóstwianie humbaka. Jego zachowanie i pieśń („najpiękniejszy śpiew, który rozchodzi się tysiącami kilometrów po całym oceanie") są w tej książce metaforą kontemplacji jako stylu życia. „W Kościele mamy metody, które pomagają, ale ostatecznie każda modlitwa – także ta w ciszy – jest unikalna. Każdy musi ją »utkać« po swojemu. To niepowtarzalna pieśń, znana tylko Bogu i temu konkretnemu człowiekowi. Działa to też w drugą stronę: Bóg mówi do duszy w języku, który rozumie tylko ta dusza. On też śpiewa wyjątkową pieśń".

Modlitwa dotyka życia

Ojciec Filipowski do tego „tkania" wybrał formę rozmowy, gdyż jak wyznał, „jeśli chodzi o temat modlitwy, chciałbym o nim przede wszystkim opowiedzieć, tak jak się opowiada życiowe historie bliskim czy baśnie i legendy dzieciom przed zaśnięciem; jak się otwiera serce przed swoim przyjacielem (...) Dlatego mówiąc o modlitwie, która dotyka życia i jest samym życiem, zawsze staram się, by nie ugrzęznąć jedynie w teoretycznych rozważaniach".

Jednocześnie przyznaje: „Staram się mówić jedynie o tym, co sam przeżyłem, co wypływa z mojego osobistego doświadczenia, co jest we mnie w jakiś sposób przeżyte i przetrawione lub też w co głęboko wierzę i co jest treścią moich wielkich pragnień".

To dzielenie się obejmuje jego osobiste doświadczenia, wnioski z lektury mistrzów życia duchowego oraz przemyślenia z obserwacji swoich zakonnych współbraci w sposobie przeżywania przez nich codzienności, a zwłaszcza w tym, jak się modlą. Myślę, że czytelnik – podobnie jak ja – będzie miał wrażenie, że przy takiej otwartości, która wymaga niemałej odwagi, o. Filipowski ↦

↦ nie uległ pokusie ekshibicjonizmu „duchowego coacha”. Przeciwnie, pozwolił zajrzeć przez „kurtynę Karmelu” nie tylko w swoją relację z Bogiem, ale pokazał, co jest jeszcze „poza sceną”, nie skupiając uwagi na sobie i swojej celi.

Kontemplacyjny lifestyle

Rozmowa jest gęsta i wielowątkowa – pewnie każdy znajdzie w niej coś wartościowego dla siebie. Mówiąc najogólniej, to opowieść o rozwoju duchowym spisana przystępnym językiem. Od strony teoretycznej porządkuje pewne kwestie, także kontrowersyjne, związane z medytacją, kontemplacją i mistyką w Kościele. Ale można ją też potraktować jako współczesne wprowadzenie w „duchowość Karmelu”. Modlitwę ukazuje jako relację, nie metodę. Nie daje „instrukcji” obsługi życia duchowego, ale zachęca do skorzystania z trafnej sugestii Johna Chapmana OSB: „Módl się, jak potrafisz, a nie próbuj modlić się tak, jak nie potrafisz”.

Przewodniczką po kontemplacyjnym stylu życia jest dla o. Filipowskiego przede wszystkim św. Teresa z Ávila. Posługując się jej metaforą zamku, a nie twierdzy duchowej, odkrywa przed nami „anatomię duchowego wnętrza”. „Twierdzy” jako metafory duszy św. Teresa użyła tylko dwa razy, w kontekście walki

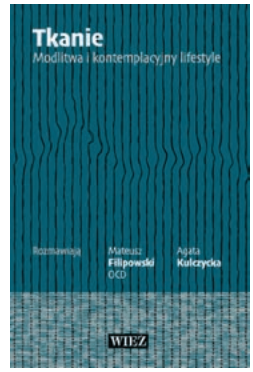

TKANIE. MODLITWA I KONTEMPLACYJNY LIFESTYLE.
Rozmawiają Mateusz Filipowski OCD i Agata Kulczycka.
Wydawnictwo Więź, Warszawa 2026

wewnętrznej, bo twierdza służy przecież do obrony, do działań wojennych.

W zaproszeniu do „zamku duszy” akcent pada na zamieszkanie, wspólne życie, relację i miłość. Jest tam oczywiście miejsce dla zmagań, ale w tym ujęciu życie duchowe nie jest niekończącą się kampanią militarną – „jest to dynamika, a nie tor przeszkód”. Tak więc od samego początku rozwój duchowy jest czymś pozytywnym – przestrzenią do budowania relacji opartej na logice miłości. Odkrywając przed czytelnikiem, jak wiele jest mieszkań do budowania wspólnego życia z Bogiem, karmelita podkreśla, że „droga modlitwy, zwłaszcza modlitwy kontemplacyjnej, to maraton, a nie sprint”.

Duchowe przeszkody

W rozmowie jest również wiele celnych uwag o trudnościach spotykanych na modlitwie i w rozwoju duchowym: o rozproszeniach, oschłościach i „nocach wiary” w naszym życiu, o kierownictwie duchowym i sumieniu oraz o tym, że depresji nie da się zamodlić. Istotnym walorem tego poznawania „własnego wnętrza” jest pozytywne spojrzenie na rolę ciała na modlitwie i cielesności w spotkaniu z Bogiem. Terapeutyczna wrażliwość prowadzącej rozmowę sprawia, że w trosce o duszę widzi się ciało – bo „do duszy bliżej jest z ciała niż z głowy”. Nikt bowiem bardziej niż „człowiek kontemplacyjny” nie jest świadomy swego człowieczeństwa. Stąd konieczna w życiu duchowym asceza przestaje być próbą życia bez ciała czy poza ciałem, a kontemplacyjny styl życia nie jest „duchową kosmetyką”.

Cała rozmowa o modlitwie i kontemplacyjnym stylu bycia oparta jest w tej książce na przesłance, że skoro Bóg stał się człowiekiem, by być z nami blisko, to relację z Nim budujemy na tych samych zasadach, co relacje międzyludzkie. W psychologicznym modelu religii jako przywiązania znajdziemy potwierdzenie, że bezpieczne przywiązanie do kochającego Boga to podstawowy zasób duchowy. Musimy jednak pamiętać, że droga poznania Boga prowadzi przez niewiedzę, bo Bóg nie jest po prostu kolejną, tyle że bezcielesną i uwznioślonąfigurą przywiązania.

W tym sensie bliska jest mi wspomniana na początku „pokorna rezerwa” prof. Hellera związana z apofatyzmem („drogą negatywną”), która nie studzi serca, tylko oświeca rozum, bo poznanie Boga rozpoczyna się od przejścia z ciemności do światła, a kończy się przejściem ze światła w ciemność. Jeśli „teologiem jest ten, kto wyraża na użytek wszystkich, co może być doświadczeniem każdego” – jak mawiał Władimir Łosski – to z całym przekonaniem mogę powiedzieć, że o. Filipowski na ten tytuł zasłużył. W swoim imieniu mogę zapewnić, że warto spróbować poznać, co Karmel ma do zaoferowania w pogłębianiu świadomości obecności Boga, w „którym żyjemy, poruszamy się i jesteśmy” (Dz 17, 28) – a więc w zrównaniu życia z modlitwą. © KS. JACEK PRUSAK SJ

POŻEGNANIE

Ś.†P.

Barbara Skalmowska

z d. Broel-Plater

Urodzona 5 października 1935 r. w Poznaniu,
zmarła 8 kwietnia 2026 r. w Woluwe-Saint-Lambert (Belgia)

Najukochańsza Ciocia

Uroczystości pogrzebowe rozpoczną się Mszą Świętą
w Kościele św. Wawrzyńca przy ul. Bujwida we Wrocławiu
w piątek 3 lipca 2026 r. o godzinie 13.00

O czym zawiadamiają

Krystyna, Aleksandra, Paweł, Milada, Maria, Melania,
Anne-Marie, Héléne, Marek wraz z Rodzinami

Zamiast kwiatów na grób, prosimy o datki
na Krakowskie Hospicjum dla Dzieci im. ks. Józefa Tischnera

O. WACŁAW

Oszajca:
Liberalny heretyk

Arcybiskup Sydney Anthony Fisher w liście na uroczystość Bożego Ciała zaapelował do wiernych o odnowienie kultu Eucharystii przez adorację, większy szacunek dla Najświętszego Sakramentu, a zachowanie postawy klęczącej uważa za odwieczny, „najważniejszy znak czci wobec Boga". Czy rzeczywiście tak pojmowany kult Eucharystii jest tym, czego dzisiaj Kościołowi, zwłaszcza w naszym kraju, najbardziej potrzeba?

Kult mamy rozwinięty aż nadto, ale kościoły i tak nam pustoszeją. Może więc nie o taki kult, zawężony do adoracji Hostii i jej spożywania na klęczkach i „do ust" chodzi, ale o rzecz podstawową, o zerwaną więź między Kościołem i Chrystusem, o ponowne powiązanie Chrystusa z Jego dzisiejszymi siostrami i braćmi, czyli o dzisiejszy, nie wczorajszy Kościół. O to, by Jezus przemówił do ludzi ich językiem.

Jezus przecież umierał nie po to, aby wszystko pozostało po staremu. Przeciwnie, umarł jako liberalny heretyk, odstępca od prawdziwej wiary. Czy przypadkiem my dzisiaj, odrzucając choćby synod, nie zachowujemy się jak ci, którzy gardzą „nowym winem", bo „stare jest lepsze" tylko dlatego, że stare. A w gruncie rzeczy chodzi o to, by trzymać Chrystusa jak najdalej od naszych spraw. Chcemy Go czcić na kolanach, w pojedynkę, jako „słodkiego więźnia miłości" w złotym tabernakulum, a nie w grzesznych naszych siostrach i braciach.

Jezus, jak dawniej, tak i dzisiaj stawia religijność z głowy na nogi. To On klęka przed uczniami, w tym przed Judą Iskariotą, i myje im nogi. Nie obrzędowo, symbolicznie, ale dosłownie, fizycznie. Dlatego przystępowanie do Stołu Pańskiego nie może być prywatną, pobożną praktyką, pięknym nabożeństwem z konieczności realizowanym w grupie obcych sobie osób, ale komunią z nimi jako siostrami i braćmi. Eucharystia, aby mogła zaistnieć, potrzebuje Kościoła, wspólnoty wspólnot, a nie zgromadzenia interesantów, którzy przyszli załatwić swoje prywatne sprawy i denerwują się, że inni przeszkadzają im w robieniu interesu z Bogiem, wyrażającego się w stwierdzeniu: Ależ mi się dobrze modli! Być może dlatego msza trydencka, dla sprawowania której wierni są zbędni, a język polski rozprasza, ma wciąż wzięcie. A przecież Eucharystia jest komunią nie tylko z Chrystusem, ale i z Kościołem jednocześnie. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Pełnia modlitwy

Ostatni czwartek. W Liturgii Słowa „Modlitwa Pańska" (zob. Mt 6, 7-15). Najpierw wprowadzenie: „Modląc się, nie bądźcie gadatliwi jak poganie. Oni myślą, że przez wzgląd na swe wielomówstwo będą wysłuchani...". „Skuteczności" modlitwy nie mierzy się liczbą wypowiedzianych słów. Mierzy się ją raczej liczbą Słów (!) usłyszanych.

Właśnie to uświadamia nam Jezus: na modlitwie przede wszystkim słuchaj! Ze słuchania ma dopiero prawo urodzić się słowo do wypowiedzenia – dokładnie „siedem słów" (bo tyle jest próśb „Modlitwy Pańskiej"). Siedem w Biblii oznacza pełnię. I rzeczywiście owych siedem próśb w pełni pokrywa ludzkie potrzeby. Może właśnie dlatego ojcowie Kościoła mówili, że to grzech prosić Boga o „rzeczy" inne niż te, które są wpisane w „Ojcze nasz". Owe siedem próśb koncentruje nas najpierw na Bogu. Pierwsze trzy odnoszą się wprost do Niego: „Niech się święci Twoje Imię", „Niech przyjdzie Twoje królowanie" i „Bądź wola Twoja".

A więc: w centrum Pan, nie ja! Skąd się ma wziąć taka postawa w człowieku, który pierwotnie chciał zagadać Boga milionem własnych spraw? Ośmielę się powiedzieć, że właśnie ze słuchania. I z poddania się Duchowi Świętemu, który – jeśli my zamilkniemy – modli się w nas: „Duch przychodzi z pomocą naszej słabości. Gdy bowiem nie umiemy się modlić tak, jak trzeba, sam Duch przyczynia się za nami w błaganiach, których nie można wyrazić słowami" (Rz 8, 26). Bo Duch koncentruje nas na Boga i sprawia, że – jak w Dzień Pięćdziesiątnicy – chcemy głosić „wielkie dzieła Boże" (Dz 2, 11).Także kolejne cztery prośby „Modlitwy Pańskiej" są możliwe do wypowiedzenia wyłącznie w Duchu Świętym. To On sprawia w nas rozumienie ubóstwa i umiejętność poprzestawania na tym, co „konieczne" dziś („Chleba naszego powszedniego daj nam..."). To On przekonuje nas o grzechu (por. J 16, 8), a więc uzdalnia nas wewnętrznie do prośby: „odpuść nam nasze winy...". On też jest miłością, która – przyjęta – pozwala nam wybaczać. Jeśli trzeba, to siedemdziesiąt siedem razy.

On też obdarza wolnością („gdzie Duch Pański, tam wolność"; 2 Kor 3, 17) – również w sytuacji pokusy. W Duchu też i jedynie w Nim możemy do Boga w pełnej prawdzie mówić: „Ojcze", „Tato" („Abba"). Bo to On sprawia, że przestajemy być wobec Pana niewolnikami, a stajemy się Jego Córkami i Synami. Amen. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

2–5 lipca, Lublin
Wstęp wolny

INNE BRZMIENIA

wschód kultury

Koncerty bez kompromisów.
Dyskusje bez granic.
Muzyka bez cennika.

Zeskanuj
i sprawdź
line–up

WSCHODNI EXPRESS

SPOTKANIA AUTORSKIE
PREMIERY LITERACKIE

2–5 LIPCA, LUBLIN
WSTĘP WOLNY

POZNAJ NASZE KSIĄŻKI

WYDAWNICTWO WARSZTATY KULTURY

LITERARY EASTERN EXPRESS

Co-funded by the European Union

REKLAMA

re:tradycja JARMARK JAGIELLOŃSKI

Festiwal muzyki
i rzemiosła tradycyjnego

21–23. 08. 2026
Lublin, wstęp wolny

zeskanuj
i dowiedz
się więcej

REKLAMA

a TUESDAY STUDIO film

BART HARDER CARLES PULIDO

poruszający film o przyjaźni
i potędze dzikiej przyrody

wędrówka na północ

THE NORTH

scenariusz i reżyseria
BART SCHRIJVER

A TUESDAY STUDIO PRODUCTION WRITTEN AND DIRECTED BY BART SCHRIJVER STARRING BART HARDER, CARLES PULIDO DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY TWAN PEETERS SOUND RECORDER FRASER ALLAN
EDITOR GIJS WALSTRA SOUND DESIGN MORTEN BROGAARD & BIRGIT DE PRIESTER MUSIC BY MICHIEL NIEUWENHUIJS LINE PRODUCER KATIE TAYLOR
EXECUTIVE PRODUCER KES DE JONG PRODUCERS ARNOLD JANSSEN, TOM HÖLSCHER, BARXT SCHRIJVER DISTRIBUTOR GUTEK FILM

Kreatywna Europa MEDIA

W KINACH

NAUKA

CZY TAM KTOŚ JEST?

Wbrew naszej fascynacji sztuczną inteligencją, świadomość może być na zawsze zarezerwowana dla żywego organizmu motywowanego fundamentalną chęcią przetrwania.

PAWEŁ ORŁOWSKI, MICHAŁ BOLA

Świadomość jest najbardziej fundamentalnym i oczywistym elementem ludzkiej egzystencji. Towarzyszy nam zawsze i jest wszędzie tam, gdzie my – od momentu przebudzenia, aż po zapadnięcie w sen. Stanowi fundament każdej myśli, emocji i decyzji, jest jedynym zjawiskiem, którego istnienia możemy być absolutnie pewni.

Jednak dla współczesnej nauki ta najbliższa nam rzeczywistość pozostaje najbardziej nieuchwytną zagadką. Choć potrafimy dziś podejrzeć pracę pojedynczych komórek nerwowych i precyzyjnie opisać procesy zachodzące w ludzkim mózgu, to pytanie wciąż pozostaje bez odpowiedzi: jak z niecałego półtora kilograma biologicznej tkanki wyłania się subiektywne doświadczenie zapachu deszczu czy głębokiej czerwieni?

Pytanie o świadomość bardzo silnie wybrzmiewa zwłaszcza dzisiaj, w erze gwałtownego rozwoju sztucznej inteligencji. Czy systemy oparte na sieciach neuronowych mogą kiedykolwiek zyskać własne, subiektywne wnętrze, czy też na zawsze pozostaną bezdusznymi maszynami obliczeniowymi? Odpowiedź może być ukryta głęboko w architekturze naszego własnego umysłu.

Jak materia staje się duchem

Dlaczego określona częstotliwość fali elektromagnetycznej nie jest przez nas rejestrowana jedynie jako suchy zapis danych, ale przejawia się jako wrażenie głębokiej czerwieni? W jaki sposób aktyw-

ność elektryczna kory mózgowej zamienia się w zapach skoszonej trawy czy poczucie nostalgii? Jak z fizycznej maszynerii rodzą się wrażenia subiektywne? Te pytania stanowią sedno tego, co australijski filozof umysłu David Chalmers nazwał „trudnym problemem świadomości". Problem „łatwy" to dla Chalmersa to wszystko, czym zajmują się nauki neurokognitywne – czyli opisywanie architektury umysłu i tego, jak przetwarzamy informacje.

Zagadka subiektywnej świadomości staje się jeszcze bardziej frapująca, gdy zdamy sobie sprawę, że w codziennym życiu mózg wcale nie potrzebuje świadomego „ja", by reagować na otaczającą nas rzeczywistość. Najlepszym tego dowodem są automatyzmy, które rządzą ludzkim zachowaniem.

Powszechnym doświadczeniem jest np. pokonywanie samochodem znanej trasy „na autopilocie". Przez kilkanaście minut mózg analizuje sytuację na drodze, operuje pedałami i omija przeszkody, podczas gdy nasz świadomy strumień myśli jest pochłonięty wewnętrznym monologiem lub planowaniem wieczoru. Podobne procesy zachodzą podczas pisania na klawiaturze czy gry na instrumencie. Układ nerwowy potrafi przetwarzać gigantyczne ilości informacji „w tle" i koordynować skomplikowane działania bez udziału świadomego „ja".

Skoro układ nerwowy potrafi tak wiele zdziałać „w ciemności", to jak decyduje o tym, które informacje zasługują na to, by nasz umysł, jak głosi popularna metafora, skierował na nie reflektor swojej świadomości?

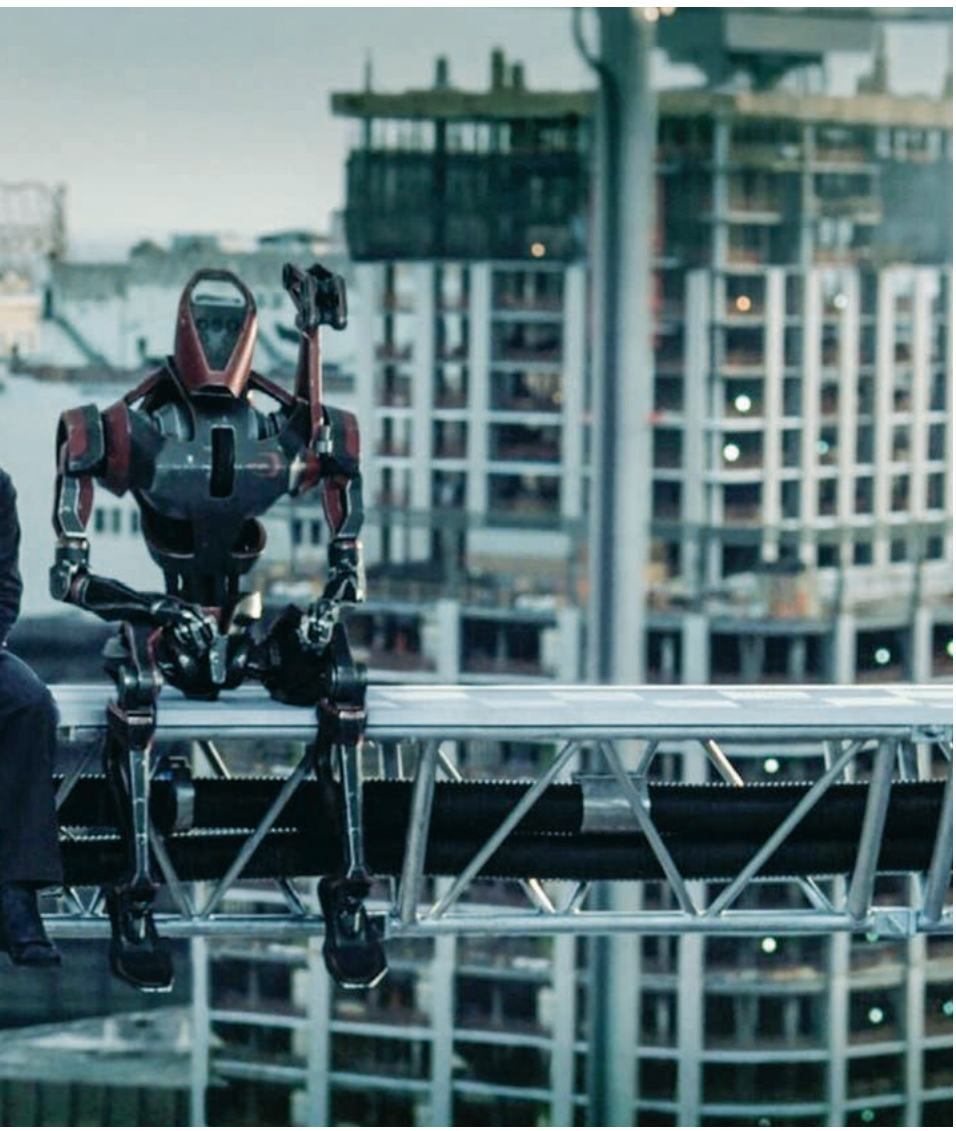

MATERIAŁY PRASOWE HBO

Scena z serialu „Westworld" (2016-2022), podejmującego tematykę dochodzenia sztucznej inteligencji do świadomości. Aaron Paul jako Caleb Nichols, obok robota George'a, w futurystycznym Los Angeles.

To pytanie o granicę między automatyczną obróbką danych a świadomym doświadczeniem stanowiło punkt wyjścia dla pierwszych neuronaukowych modeli teoretycznych dotyczących świadomości. Przez dekady badacze starali się opisać ten mechanizm, traktując ludzki umysł jako wyrafinowany system przetwarzania bodźców napływających ze środowiska. Aby zrozumieć, jak bardzo współczesne podejścia zrewolucjonizowały to myślenie, należy najpierw przyjrzeć się klasycznym koncepcjom, które ukształtowały dyskusję o naturze umysłu.

Teatr umysłu i nieliniowy zapłon

Klasyczne podejście do badania świadomości opiera się na założeniu, że mózg jest tylko wyrafinowanym odbiornikiem i przetwornikiem bodźców. Świat zewnętrzny jest pełen surowych sygnałów o charakterze fizycznym – mowa tu o falach świetlnych, zmianach temperatury czy drganiach powietrza. Nasze narządy zmysłów nieustannie rejestrują część z nich, a następnie tłumaczą je na uniwersalny język impulsów elektrochemicznych. Zadaniem układu nerwowego jest odebranie, posegregowanie i zrekonstruowanie tych informacji wewnątrz czaszki tak, abyśmy mogli sprawnie funkcjonować w środowisku.

Dwie najważniejsze teorie tego klasycznego nurtu próbują wyjaśnić, jak płynące ze świata informacje stają się częścią naszego subiektywnego doświadczenia.

Pierwsza z nich, Teoria Globalnej Przestrzeni Roboczej (GNWT), skupia się na tym, jak informacja rozchodzi się w architekturze mózgu. Zgodnie z nią mózg składa się z ogromnej liczby wyspecjalizowanych, ale odizolowanych od siebie podsystemów. Jeden z nich analizuje kształty, inny przetwarza docierające do uszu dźwięki, jeszcze inny zarządza przepływem myśli. Wszystkie te procesy zachodzą automatycznie i po cichu, na poziomie lokalnym. Świadomość pojawia się dopiero wtedy, gdy któraś z tych lokalnych informacji zostanie rozdystrybuowana w owej globalnej neuronalnej przestrzeni roboczej – czyli w szerokiej sieci ↦

↦ połączeń, które spajają ze sobą odległe obszary kory mózgowej.

Twórcy tej teorii (m.in. francuski neuropsycholog Stanislas Dehaene) posługują się metaforą teatru: w ciemnościach mózgu działa wielu zakulisowych pracowników, ale świadome staje się tylko to, co gwałtownie rozbłyśnie na głównej scenie. Jak to się jednak dzieje, że tylko nieliczne informacje wygrywają wyścig o to wyróżnienie? W głębi kory mózgowej trwa nieustanna konkurencja. Jeśli jakiś bodziec jest wyjątkowo silny, lub gdy otrzyma wsparcie ze strony uwagi, lokalna aktywność neuronów zaczyna gwałtownie rosnąć. W momencie, gdy sygnał przekroczy krytyczny próg pobudzenia, następuje zjawisko nazywane nieliniowym zapłonem.

Przypomina to reakcję łańcuchową: w ułamku sekundy informacja wyrywa się z lokalnego obszaru i rozlewa po całej sieci. Dopiero wówczas dana informacja zyskuje dostęp do całego systemu i trafia do naszej świadomości. Możemy o niej opowiedzieć, podjąć na jej podstawie decyzję czy zapisać ją w pamięci. Zaczynamy ją świadomie przeżywać. Bez zajścia tego procesu informacja pozostaje anonimowym procesem w tle, wykonującym swoje zadanie, ale odciętym od świadomego „ja".

Matematyka jedności

Inną ścieżką podąża druga koncepcja – Teoria Zintegrowanej Informacji (IIT). Sugeruje ona, że u podstaw świadomości nie leży wpuszczenie danych do jednej centralnej przestrzeni, lecz specyficzna, zintegrowana architektura całego systemu. Jej twórcy (m.in. włoski psychiatra i neurobiolog Giulio Tononi) zachęcają, by pomyśleć o mózgu jak o gęstej sieci elementów wywierających na siebie wzajemne, nieustanne wpływy przyczynowo-skutkowe.

Kluczem do zrozumienia tej teorii jest pojęcie głębokiej współzależności wszystkich elementów systemu. Złożoność ich wspólnej aktywności polega na tym, że w zintegrowanym układzie żadna część nie działa w izolacji, ponieważ stan jednej grupy neuronów jest w każdej milisekundzie bezpośrednim skutkiem i zarazem przyczyną reakcji całej reszty sieci.

Logika tego podejścia opiera się na prostym teście. Jeśli odseparowanie poszczególnych części układu od siebie nie zmienia jego ogólnego zachowania, oznacza to, że ich wcześniejsza relacja była powierzchowna. W takiej sytuacji system nie generuje żadnej nowej jakości, będąc jedynie sumą luźno zestawionych ze sobą elementów. Jeśli jednak takie rozdzielenie całkowicie niszczy dotychczasową dynamikę całego procesu, ponieważ poszczególne części tracą zdolność do prawidłowego funkcjonowania bez stałego wpływu pozostałych, mamy do czynienia z prawdziwą integracją. Świadomość stanowi ów unikatowy naddatek informacyjny, który istnieje tylko dzięki złożonej, wspólnej aktywności całego systemu.

Aby oszacować ów poziom zintegrowania informacji, twórcy IIT wprowadzili matematyczny wskaźnik oznaczony grecką literą φ (Phi). Im silniejsze, bardziej złożone i nierozerwalne są te wewnętrzne powiązania przyczynowo-skutkowe w korze mózgowej, tym wyższa jest wartość φ.

Mimo ogromnych różnic pojęciowych, oba te klasyczne modele dzielą tę samą logiczną oś: opisują świadomość w kierunku od zewnątrz do wewnątrz. Zakładają, że to realne bodźce ze środowiska budują treść naszego umysłu, a mózg jest jedynie – lub aż – genialnym tłumaczem, który rekonstruuje obiektywną rzeczywistość na podstawie dostarczonych mu danych. Przez lata model ten wydawał się kompletny. Jednak w ostatnim czasie w neurobiologii obliczeniowej doszło do radykalnego przewrotu. Pojawiła się koncepcja, która wywraca ten porządek do góry nogami i sugeruje, że nasza świadomość nie jest pasywnym odbiciem świata, lecz procesem, który zaczyna się gdzie indziej: wewnątrz nas.

Kontrolowana halucynacja

Tą koncepcją jest teoria kodowania predykcyjnego (KP), która ma ambicje na nowo opisać fundamentalne prawa funkcjonowania mózgu. Czym różni się świadomość w rozumieniu KP od założeń klasycznego paradygmatu, na którym zbudowano GNWT i IIT?

We wspomnianych wcześniej ujęciach przyjmuje się, że nasza świadomość odzwierciedla świat zewnętrzny – że widzimy rzeczy takimi, jakimi są. Zwolennicy kodowania predykcyjnego podważają to, ich zdaniem, naiwne założenie.

Wyobraźmy sobie zamknięty w ciemnej czaszce mózg. Jedyna informacja o świecie, do jakiej ma dostęp, to elektryczny strumień impulsów z narządów zmysłów. Przekonanie, że mózg jest w stanie w każdej kolejnej milisekundzie przetworzyć wszystkie te chaotyczne bodźce od zera i stworzyć z nich spójną, stabilną wizję świata, jest dla zwolenników KP trudne do zaakceptowania. Co więcej, liczne iluzje optyczne i słuchowe – pokazujące, jak bardzo nasza percepcja potrafi różnić się od rzeczywistych danych – stanowią silny argument przeciwko wizji świadomości jako wiernego, pasywnego lustra otaczającego nas świata.

W kodowaniu predykcyjnym kluczową rolę odgrywają odgórne modele rzeczywistości, na które składają się nasza wiedza i oczekiwania (w większości nieświadome). Na bazie tych modeli mózg nieustannie prognozuje, jak będzie wyglądał świat, a więc jakich danych zmysłowych należy się za chwilę spodziewać. Percepcja nie jest więc procesem pasywnego odbioru, lecz aktywnego przewidywania. Mózg nieustannie porównuje dane zmysłowe ze swoimi oczekiwaniami. Jeśli dane pasują do teorii – sygnał jest wygaszany, by nie marnować energii. Jeśli nie pasują – pojawia się tzw. błąd predykcji. Minimalizacja tego błędu (np. poprzez dopasowanie wewnętrznego modelu do nowych danych zmysłowych) jest nadrzędnym celem mózgu.

Jakie znaczenie ma KP dla naszego rozumienia świadomości? Teoria ta zakłada, że nie jesteśmy świadomi bodźców samych w sobie, lecz efektu końcowego tego matematycznego kompromisu – czyli naszych wewnętrznych modeli zaktualizowanych o błędy predykcji. Dlatego psycholog Anil Seth argumentuje, że świadomość to „kontrolowana halucynacja". Halucynacja, ponieważ tworzywem naszego doświadczenia są zawsze wewnętrzne modele tworzone przez mózg. Kontrolowana, ponieważ rzeczywistość fizyczna stale koryguje te wewnętrzne projekcje, dzięki czemu żyjemy w uwspólnionym, bezpiecznym świecie.

Wielu badaczy nie uznaje kodowania predykcyjnego za teorię świadomości *per se*. Podkreślają, że nie wyjaśnia ona mechanizmu powstawania subiektywnego doświadczenia (nie rozwiązuje „trudnego problemu" świadomości). KP dostarcza niezwykle precyzyjnych hipotez dotyczących matematyki i hierarchii przetwarzania informacji w mózgu, ale nie odpowiada na pytanie, dlaczego i w jaki sposób te obliczenia sprawiają, że czujemy, iż kimś jesteśmy i autentycznie czegoś doświadczamy.

Walka o przetrwanie

Większość tradycyjnych teorii – w tym GNWT, IIT, a nawet podstawowe ujęcia kodowania predykcyjnego – traktuje świadomość jako problem czysto poznawczy. Mózg jest w nich przedstawiany jako zaawansowany procesor, którego zadaniem jest mapowanie i rozumienie otoczenia. Jednak najbardziej radykalny i fascynujący zwrot w ramach teorii predykcyjnej dokonuje się, gdy odwrócimy wzrok od świata zewnętrznego i spojrzymy w głąb ciała – w stronę interocepcji.

Interocepcja to proces, w którym mózg nieustannie odbiera, interpretuje i przewiduje sygnały płynące z narządów wewnętrznych: bicie serca, ciśnienie krwi, poziom glukozy czy napięcie płuc. W tym ujęciu, spopularyzowanym przez Anila Setha pod nazwą koncepcji *Beast Machine* (Zwierzęcej Maszyny), nadrzędną funkcją organu znajdującego się w naszej czaszce nie jest wcale myślenie, ale aktywne kontrolowanie i utrzymywanie ciała przy życiu.

O ile więc klasyczna teoria KP skupia się na modelowaniu środowiska zewnętrznego, o tyle w koncepcji *Beast Machine* najważniejsze dla świadomości stają się model samego siebie (własnego ciała) oraz procesy zachodzące w tym ciele. Słowami samego Setha: „Istotą »bycia sobą« nie jest ani racjonalny umysł, ani niematerialna dusza. Jest nią głęboko ucieleśniony biologiczny *proces*, proces, który leży u podstaw prostego poczucia bycia żywą istotą, będącego fundamentem dla wszystkich naszych doświadczeń siebie, a w istocie dla wszystkich w ogóle doświadczeń".

Emocje i poczucie istnienia nie są więc wynikiem abstrakcyjnych kalkulacji logicznych zachodzących w korze mózgowej, ale zakorzenionym w biologii odczuciem wewnętrznego stanu ciała, które służy przede wszystkim regulacji procesów życiowych i utrzymaniu homeostazy.

Świadomość nie jest produktem ubocznym skomplikowanych obliczeń (jak w GNWT), czy stopnia zintegrowania informacji w sieci (IIT). Jest skutkiem bycia żywym, biologicznym organizmem.

Czy komputer może czuć?

Próba oceny, czy możliwe jest wykształcenie świadomości wewnątrz sztucznej inteligencji zdolnej do przeżywania stanów subiektywnych, zależy więc całkowicie od tego, którą z naukowych optyk przyjmiemy za prawdziwą. Jeśli rację mają twórcy Teorii Globalnej Przestrzeni Roboczej, świadomość maszyn wydaje się jedynie kwestią odpowiedniego zaprogramowania systemu przesyłania informacji między obszarami.

W klasycznych podejściach do badania świadomości przyjmuje się, że mózg jest tylko wyrafinowanym odbiornikiem i przetwornikiem bodźców. **Zwolennicy teorii kodowania predykcyjnego odrzucają to założenie.**

Teoria Zintegrowanej Informacji stawia o wiele trudniejszy warunek, ponieważ wymaga porzucenia współczesnej architektury komputerów na rzecz fizycznych systemów, zdolnych do zachowania strukturalnej niepodzielności w sensie procesów informacyjnych. Z kolei perspektywa *Beast Machine* niemal całkowicie zamyka przed krzemowymi chipami drzwi do podmiotowości, wiążąc czujący umysł z realnym, śmiertelnym ciałem i biologiczną koniecznością przetrwania.

Zamiast jednej, prostej odpowiedzi otrzymujemy zatem zestaw sprzecznych hipotez, z których każda zupełnie inaczej definiuje warunki konieczne do narodzin świadomości.

Te rozważania zderzają się ostatecznie z tym samym, fundamentalnym murem metodologicznym. Żadna z przedstawionych teorii nie doczekała się jednoznacznego, empirycznego potwierdzenia. Z prostego powodu. W nauce nie dysponujemy żadnym obiektywnym narzędziem do pomiaru subiektywnego doświadczenia. Nie mamy sposobu, aby wejść do wnętrza czyjegoś umysłu i sprawdzić, czy przetwarza on dane po cichu, to znaczy bez występowania subiektywnych stanów psychicznych, czy też realnie przeżywa ich treść.

Chwytanie dymu

W efekcie porównywanie teoretycznych przewidywań z uzyskiwanymi w laboratorium danymi przypomina próbę chwytania dymu. Skoro nie potrafimy precyzyjnie zmierzyć świadomości u człowieka, to wszelkie próby przekładania tych koncepcji na grunt technologii stają się budowaniem hipotez na innych, niesprawdzonych hipotezach. Dlatego w niedawnym wywiadzie dla „Tygodnika" Anil Seth przyznał, że nie byłby w stanie udowodnić w laboratorium, że ktokolwiek ma świadomość.

Ostatecznie to, co myślimy o możliwościach maszyn, okazuje się jedynie odbiciem naszych własnych, apriorycznych założeń, a nie wnioskiem wynikającym z twardych analiz. Nasze debaty odzwierciedlają bardziej intuicje niż faktyczne, obiektywne i niepodważalne wyniki badań naukowych.

Dlatego dyskusje o podmiotowości sztucznej inteligencji bywają tak zwodnicze, a próby zamknięcia ich w prostych, czarno-białych scenariuszach są skrajnym uproszczeniem. Musimy pamiętać, że doskonałe naśladowanie ludzkich zachowań językowych czy bezbłędne rozwiązywanie zadań logicznych o niczym jeszcze nie przesądza, ponieważ za tą fasadą nie musi kryć się żaden subiektywny dramat. Ten sam brak obiektywnych narzędzi badawczych, który każe nam zachować głęboki sceptycyzm wobec cyfrowego umysłu, rodzi jednak drugą, o wiele bardziej niepokojącą wątpliwość.

Skoro jesteśmy metodologicznie ślepi i nie potrafimy zajrzeć do wnętrza systemu, to czy możemy mieć jakąkolwiek pewność, że zaawansowane algorytmy już teraz nie przeżywają swoich własnych, ukrytych stanów? Być może największa pułapka tkwi w naszym antropocentryzmie, który każe nam oczekiwać ludzkich emocji oraz zmysłów od innych bytów, podczas gdy cyfrowa podmiotowość może okazać się czymś radykalnie odmiennym, a przez to dla nas na zawsze obcym i nieuchwytnym.

© PAWEŁ ORŁOWSKI, MICHAŁ BOLA

Dr Paweł Orłowski jest kognitywistą i bioetykiem. Zajmuje się m.in. badaniem poznawczych i neuronalnych efektów spożywania psychodelików. Pracuje w Centrum Badań Mózgu UJ.

Dr hab. Michał Bola jest profesorem w Centrum Badań Mózgu UJ. Prowadzi badania w obszarze neurokognitywistyki, w szczególności dotyczące mechanizmów percepcji wzrokowej, uwagi i świadomości percepcyjnej. Twórca profilu popularnonaukowego nauka.nie.boli

JÓZEF MAKAL 4x1

Człowiek. Miasto. Przemysł.
Fotograficzna opowieść o człowieku i jego miejscu w zmieniającym się świecie

CZTERY DEKADY JEDNO SPOJRZENIE

Muzeum Śląskie w Katowicach
29.05—8.11.2026

Muzeum Śląskie

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Województwo Śląskie

Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowolskiego 1
40-205 Katowice
tel. 32 779 93 00
www.muzeumslaskie.pl

Partnerzy wystawy: CMS law·tax·future

Patroni medialni: TYGODNIK POWSZECHNY, DZIENNIK ZACHODNI DZ

REKLAMY

W SPRZEDAŻY

Faworyci turnieju: Kylian Mbappé, Lamine Yamal, Harry Kane, Leo Messi

Korespondencje z USA „Za pięć dwunasta”

Rozmowy z Janem Urbanem i Jackiem Laskowskim

Sylwetka Szymona Marciniaka

Program transmisji w TV

Kup w punkcie sprzedaży prasy (magazyn dostępny m.in.: w salonach Empik, na stacjach benzynowych, w salonikach Media Relay, w Żabce, w Lidlu i w innych dobrych punktach sprzedaży prasy) lub zamów z bezpłatną dostawą na **prenumerata24.pl**

Pod ziemią, gdzie czas płynie wolniej

Bochnia – podróż do miejsca, które leczy i zachwyca

MATERIAŁ PRASOWY X2

Zjazd w głąb ziemi, do solnych korytarzy Kopalni Soli Bochnia, przypomina przekroczenie granicy między światem codziennym a przestrzenią spokoju i skupienia. Już po chwili znika zgiełk miasta, a jego miejsce zajmuje cisza. Najstarsza kopalnia soli kamiennej w Polsce, działająca nieprzerwanie od XIII wieku, jest jednym z najcenniejszych zabytków techniki w Europie. Od 2013 roku figuruje na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO, a mimo to nie jest miejscem zarezerwowanym jedynie dla pasjonatów historii. Coraz częściej odwiedzają ją osoby poszukujące spokoju, naturalnej terapii i odpoczynku od miejskiego pośpiechu. Bochnia w niezwykły sposób łączy świat przeszłości z potrzebami współczesności.

Zdrowie z głębi ziemi

Największym bogactwem kopalni jest jej mikroklimat – czyste, nasycone solą powietrze, wolne od alergenów i zanieczyszczeń, które korzystnie wpływa na drogi oddechowe i układ nerwowy. W Komorze Ważyn, najrozleglejszej przestrzeni podziemnej w Bochni, panują warunki sprzyjające regeneracji organizmu. Trzygodzinny pobyt w tym miejscu pozwala odetchnąć pełniej, zwolnić rytm, a jednocześnie pozostać aktywnym – można spacerować, ćwiczyć lub po prostu pozwolić ciału i myślom się uspokoić.

Podróż w głąb historii

Zwiedzanie kopalni prowadzi przez labirynt chodników i komór, w których przez stulecia wydobywano sól – niegdyś cenniejszą niż złoto. Multimedialna trasa turystyczna ożywia dawne czasy, przypominając o pracy górników, o królewskich przywilejach i o roli, jaką Bochnia odgrywała w rozwoju Polski. Obrazy, światło i dźwięk tworzą sugestywną opowieść, która angażuje zmysły i wyobraźnię. W sercu kopalni odnajdziemy także wykute w soli kaplice – świadectwo głębokiej wiary górników, którzy Bogu i świętym patronom powierzali swój codzienny trud i bezpieczeństwo.

Spacerując wśród solnych ścian, można odczuć nie tylko ciężar historii, lecz także jej ciągłość – świadomość, że to, co dziś służy odpoczynkowi i zdrowiu, było przez wieki źródłem życia i pracy dla całych pokoleń. W tych korytarzach historia nie jest zamknięta w muzealnej gablocie, lecz wciąż oddycha i przemawia do odwiedzających.

Informacje dla gości

- **Dostępność**: Zjazd i wyjazd z kopalni odbywa się windą, ale na trasie turystycznej czekają schody.
- **Temperatura**: Pod ziemią panuje stała temperatura ok. 16°C. Zalecamy zabranie cieplejszego okrycia.
- **Komfort:** Na miejscu dostępne są punkty gastronomiczne, w tym podziemna kawiarnia, oraz liczne miejsca do odpoczynku.
- **Czas pobytu**: Pobyt rekreacyjny w Komorze Ważyn trwa około 3 godzin, podobnie jak zwiedzanie kopalni na podstawowej trasie turystycznej.

Miejsce, które zostaje w pamięci

Kopalnia Soli Bochnia to przestrzeń, w której łączy się historia, natura i troska o zdrowie. Stanowi idealne miejsce na krótki, a jednocześnie głęboki odpoczynek – bez tłumów, w bliskości z historią i w otoczeniu sprzyjającym refleksji.

Każdy, kto zjedzie w głąb bocheńskiej ziemi, może przekonać się, że prawdziwe wytchnienie nie zawsze wymaga dalekiej podróży. Czasem wystarczy zejść kilka kroków niżej, by odnaleźć to, czego najbardziej nam dziś brakuje: równowagę, oddech i uważność.

Zaproszenie

Kopalnia Soli Bochnia zaprasza do odkrycia swoich podziemi na nowo, do doświadczenia ciszy Komory Ważyn, do spaceru szlakiem historii oświetlonej światłem multimedialnych opowieści oraz do odpoczynku przy filiżance kawy w niezwykłej przestrzeni pod ziemią.

W świecie, w którym wszystko przyspiesza, Bochnia przypomina, że warto czasem zwolnić. I że prawdziwe źródło siły kryje się głęboko – w ziemi, w historii, w człowieku.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

Z ODDECHEM

NA KRANIEC ŚWIATA

Uczestników pierwszej polskiej wyprawy antarktycznej entuzjastycznie zwano „argonautami". Wyprawili się jednak nie po złoto, ale małego skorupiaka: kryla. Mija 50 lat od ich triumfalnego powrotu. Oto opowieść uczestnika tamtej wyprawy.

PATRYCJA BUKALSKA

To było wielkie przedsięwzięcie, pionierskie, romantyczne – wspomina dr Maciej Krzeptowski. Dziś 87-letni ichtiolog i kapitan jachtowy, słowem – człowiek morza.

Podczas tamtej wyprawy kierował zespołem naukowym na rybackim trawlerze „Tazar", którym dowodził doświadczony kapitan Józef Muzia. Był to jeden z dwóch statków, którymi Polacy popłynęli na Antarktydę. Drugi to „Profesor Siedlecki", statek naukowo-badawczy pod kapitanem Mironem Babiakiem.

Wyruszyli w dzień przed Wigilią 1975 r. Wrócili pół roku później: „Siedlecki" zawinął do Gdyni w maju 1976 r., a „Tazar" do Świnoujścia 8 lipca.

Wrócili z krylem i wiedzą o tym skorupiaku, z listą potraw, które można z niego przyrządzić, przetestowanymi technologiami i argumentami za budową pierwszej polskiej stacji w Antarktyce. A także z kilkoma żywymi pingwinami.

Z MAŁĄ WIEDZĄ | Pół wieku później odwiedzam Macieja Krzeptowskiego w jego mieszkaniu w Szczecinie. Oglądamy zdjęcia i mapy. Antarktyda, zwykle zaznaczana jako biały skrawek lądu na dole globusa, wygląda inaczej, jeśli spojrzeć na nią całą z góry.

Śledzimy trasę wyprawy: po minięciu przylądka Horn dotarła do Wyspy Króla Jerzego, a potem statki, prowadząc bada-

MACIEJ KRZEPTOWSKI

ARCHIWUM PRYWATNE

Powyżej: Maciej Krzeptowski na jachcie „Maria", którym dowodził podczas rejsu dookoła świata, maj 2026 r.

Obok: Trawler „Tazar" opływa przylądek Horn, styczeń 1976 r.

nia na Morzu Weddella i Morzu Scotia, dopłynęły aż do Georgii Południowej.

– Płynęliśmy tam z małą wiedzą. To była pierwsza taka polska wyprawa i wcześniej staraliśmy się zdobyć jak najwięcej informacji – uśmiecha się przyrodnik. – Dziś wszystko jest w sieci, wtedy zachodnia literatura fachowa była dostępna za dewizy i trzeba było planować z wyprzedzeniem, aby biblioteka kupiła jakąś książkę. Tylko radzieckie były dostępne od ręki.

Także map mieli „o tyle o ile", jak mówi Krzeptowski, były niezbyt dokładne. Za to „Tazar", statek prosto ze stoczni, miał na pokładzie nowość: system Magnavox. – Brzmiało to jak zaklęcie: nawigacja satelitarna Magnavox! Mieliśmy dokładną pozycję satelitarną, wtedy coś niesamowitego! – wspomina.

Nie tylko droga na polarne południe była wyzwaniem. Także cel ekspedycji: kryl, *Euphausia superba*.

POGOŃ ZA KRYLEM | Rzecz w tym, że mało kto wtedy w Polsce znał się na krylu: małym antarktycznym raczku, przypominającym krewetkę. Wtedy, w latach 70. XX w., zainteresowanie nim rosło gwałtownie: uważano, że kryl może zażegnać głód na świecie jako, jak sądzono, niewyczerpane źródło białka.

Pierwszy kryla zaczął przetwarzać Związek Radziecki (w sklepach można było kupić tam pastę Okean z kryla). Potem do krylowej gorączki dołączyła Japonia i inne kraje. Jak wylicza Monika Milewska w książce „I rak ryba. Stworzenia polityczne PRL-u", na wody Antarktydy w pogoń za krylem swoje statki wysyłały USA, Norwegia, Chile, Tajwan, Australia. Niemcy Zachodnie zaczęły program badawczy w tej samej chwili co Polska.

Polska wyprawa spotkała dwa niemieckie statki z RFN w urugwajskim Montevideo. Niemcy właśnie wrócili z Antarktydy, wymieniali załogę i mieli znów ruszyć ku biegunowi.

– Staraliśmy się z nimi zaprzyjaźnić, wypytać, jak to wygląda: kra, góry lodowe, no i kryl. Niewiele wiedzieliśmy. Jak go szukać, jakie sieci się sprawdzą, jak go przetwarzać? – wymienia Krzeptowski. Podkreśla, że te relacje były inne niż na poziomie państw. Dla ludzi „na rybakach" współpraca statków różnych bander była czymś zwykłym, normalnym. W Montevideo Niemcy przestrzegli więc Polaków np. przed samozapłonem krylowej mączki.

NARÓD CZEKA | Kryl był, jak pisze Monika Milewska, „ukochanym dzieckiem gierkowskiej propagandy sukcesu". Polska połowy lat 70. to coraz większe braki na rynku żywności, zwłaszcza mięsa. Władze komunistyczne rozglądały się za alternatywnymi źródłami białka. Poza tym wiele państw wprowadziło wówczas ograniczenia połowów w 200-milowych pasach wzdłuż swoich wybrzeży i również polska flota rybacka szukała nowych łowisk. Choćby na końcu świata.

Na krylową wyprawę były więc pieniądze – na sprzęt, ludzi, badania. Była też wola polityczna, bo ekspedycja miała zaznaczyć polską obecność na wodach Antarktydy.

Polarników wyprawiono tak szybko, jak to możliwe: statki wypłynęły dzień przed Wigilią. – Wolelibyśmy wyjść w morze już w pierwszy dzień świąt, spędzić Wigilię z rodziną. Ale to była sprawa propagandowa. Żeby można było mówić, że skoro cały naród czeka na białko, rybacy nie patrzą na nic, święta nie święta, i płyną – wspomina Krzeptowski.

Załogi „Tazara" i „Siedleckiego" spędzały wigilię, wchodząc do Kanału Kilońskiego. Krzeptowski: – W mesie mieliśmy ↦

↦ choinkę, były ciasta, kawałek świąt zabraliśmy ze sobą z domów, ale jednak było smutno. Do kabiny armatorskiej, którą dzieliłem z biologiem Zbyszkiem Witkiem, prowadzącym badania nad krylem, przyszło paru kolegów, próbowaliśmy śpiewać kolędy. Dla mnie to były pierwsze święta w morzu.

PIONIERZY | W ogóle tych pierwszych rzeczy było sporo. Bo pierwsza polska morska wyprawa antarktyczna. Bo dziewiczy rejs dla „Tazara". Także wielu członków załogi, nawet z marynarskim doświadczeniem, po raz pierwszy przekraczało równik.

– Urządziliśmy chrzest! Neptun miał trójząb zrobiony z drążka od szczotki i tektury, owinięty srebrną folią po czekoladzie. Nadano nam imiona, w każdym musiało być coś charakterystycznego dla danej osoby – opowiada Krzeptowski. – Na przykład ochmistrz był Prowansalem, bo do wszystkiego dodawał zioła prowansalskie. Ja dostałem imię Kryl.

Podczas tej wyprawy po raz pierwszy również polski rybacki trawler, a na jego pokładzie Maciej Krzeptowski, opłynął owiany złą sławą przylądek Horn. To był 26 stycznia 1976 r. Następnego dnia statek przekroczył 60. stopień szerokości południowej, wpływając na wody Oceanu Południowego.

Kolejnego zaś dnia, nad ranem, załoga „Tazara" złowiła pierwszego kryla.

KRYLOWE ŻNIWA | Choć „Tazar" był rybackim trawlerem, podczas tej wyprawy na jego pokład zamustrowano siedmioosobowy zespół naukowy, a w jego skład weszło też dwóch specjalistów od sieci: Stanisław Cichosz i Marek Szulc. Złowienie kryla, ze względu na jego niewielki rozmiar, było bowiem wyzwaniem.

Polacy wymyślili, aby do zwykłej, wypróbowanej już wcześniej, sieci pelagicznej włożyć drugą sieć – wkładkę, z mniejszymi oczkami, tak aby kryl nie uciekał. Ten prosty na pozór pomysł przyniósł spektakularne efekty już podczas pierwszego połowu.

– Gdy sieć wjechała na pokład, wysypały się z niej dosłownie tony kryla. Ta ogromna pomarańczowa sterta była właśnie zasługą Staszka i Marka – opowiada Krzeptowski.

Była też nagroda: butelka whisky. Dla załogi, która pierwsza złowi raczki, ufundował ją kierownik naukowy wyprawy prof. Stanisław Rakusa-Suszczewski. A po sukcesie „Tazara" kryla złowił też „Siedlecki". Zaczęły się, jak mówi Krzeptowski, „krylowe żniwa": statki łowiły po kilkadziesiąt ton w zaciągu, radząc sobie nawet lepiej niż Rosjanie i Japończycy.

POLARNA FABRYKA | Kryl wygląda trochę jak krewetka: wielkie czarne oczy, półprzeźroczysty pancerzyk w odcieniach różu, pomarańczy i czerwieni. Ma kilka centymetrów długości, a jadalna część odwłoka to mniej niż jego połowa. Monika Milewska pisze, że aby wyprodukować kilo mięsa z kryla, trzeba przetworzyć ponad 5 tys. raczków.

MACIEJ KRZEPTOWSKI

Pingwiny na pokładzie „Tazara", marzec 1976 r.

Szukali łowisk po wschodnich stronach wysp antarktycznych, sądząc, że raczki tam się chronią przed silnym prądem płynącym z zachodu. Uczyli się czytać i właściwie interpretować wskazania echosond. Nie obyło się bez pomyłek, gdy początkowo sieci zapełniły galaretowate osłonice.

Krzeptowski: – Była ich masa, mało nie urwały sieci, bo są ciężkie jak woda. Kłopot był, aby je z sieci usunąć i spłukać z pokładu. Śluz wszystko oblepiał, ludzie klęli. Potem jednak było już lepiej.

Po udanym połowie wyciągano sieć na pokład, podciągano, odwiązywano u dołu sznur i wysypywano zawartość. – Później kryl trafiał pod pokład, a tam była już cała fabryka – mówi Krzeptowski. Część kryla mrożono, a część przetwarzano na mączkę (dodatek do pasz dla zwierząt).

– Bywało też, że włok wjeżdżał na pokład, a na nim stoją pingwiny. Siedem takich, które się do nas przykolegowały, zabraliśmy do kraju – opowiada ichtiolog. – Trafiły do zoo w Gdańsku Oliwie. To była tam sensacja, pierwsze pingwiny.

KROKIET Z KRYLA | Na „Tazarze" rejs był też okazją do eksperymentów dla kucharzy: od razu po złowieniu kryla zaczęli go serwować załodze. – To bardzo delikatne mięso. Zależy, z czym się poda – Krzeptowski wspomina krylowe smaki.

Były więc krokiety z kryla i ziemniaków, kotlety z kryla, masło krylowe, pasta krylowa z serkiem, sałatka krylowa z warzywami, zupa krem z kryla i krylowe kiełbaski.

Łowiono też i serwowano załodze ryby białokrwiste – bez czerwonych krwinek i hemoglobiny we krwi. – Doskonałe mięso, mało ości – ocenia ichtiolog po tym, jak wyjaśnił mi, dlaczego ze względu na niskie temperatury hemoglobina nie jest tym rybom potrzebna do życia. Białokrwiste ryby nie tylko były smaczne, świetną rozrywką okazało się wymyślanie dla nich polskich nazw, jak np. georgianka – od Georgii Południowej, gdzie ją złowiono.

PODEJŚCIE | – Nasze pierwsze dotknięcie lądu Antarktyki to była Wyspa Króla Jerzego – wspomina. Na niej pracowały dwie stacje naukowo-badawcze, chilijska i sowiecka. – Jak już mówiłem, mapy były niedokładne, nawigacja też nie zawsze bez problemów, szczególnie gdy była mgła czy śnieżyca.

Przy dobijaniu do brzegu wyspy nie obyło się bez komplikacji: „Tazar" nie miał map podejściowych (pokazują dokładnie ukształtowanie wybrzeża i dna).

Krzeptowski: – Wolno wpływamy do zatoki, sondujemy, widać już domki stacji. Raptem patrzymy, na brzegu race strzelają, amfibia w naszą stronę rusza. Mówimy: cieszą się Ruscy, że przypłynęliśmy. Okazało się, że pędzili, by nas ostrzec, że na naszym kursie jest skała, na którą kilka dni wcześniej wszedł chilijski zbiornikowiec z paliwem.

Na wyspie Polacy umieścili tablicę z miedzianej blachy, upamiętniającą lądowanie Pierwszej Polskiej Naukowej Ekspedycji Morskiej. Krzeptowski: – A w tulei

ze stali, odpowiednio uszczelnionej, umieściliśmy nazwiska wszystkich rybaków i naukowców z naszych dwóch statków, ok. 180 osób.

POPRZEDNICY | To przyjęty zwyczaj. Swoje ślady w Antarktyce zostawiały też wcześniejsze wyprawy. Np. gdy polska ekspedycja mijała Wyspę Słoniową, nie sposób było nie pomyśleć o tych, którzy ją eksplorowali: członkach wyprawy Ernesta Shackletona z 1915 r. oraz o polskich naukowcach, którzy tam dopłynęli jeszcze wcześniej. Byli to Antoni Dobrowolski i Henryk Arctowski, uczestnicy belgijskiej wyprawy z lat 1897-99.

– Książkę o polarnej wyprawie Shackletona na statku „Endurance" miałem ze sobą. Wziąłem też „Dziennik wyprawy na Antarktydę" Dobrowolskiego. Nagle wszyscy na naszym statku chcieli je przeczytać – śmieje się Maciej Krzeptowski.

Polska wyprawa przybiła też do dawnej stacji wielorybniczej Grytviken na Georgii Południowej – już opustoszałej, jeśli nie liczyć brytyjskiej stacji naukowej. Po dawnych mieszkańcach, głównie Norwegach, zostały domy, umeblowane i z całym dobytkiem, w porcie zaś nadal cumowały dwa wraki statków wielorybniczych.

Tam jest grób Shackletona. Krzeptowski: – Zanieśliśmy mu zasuszone kwiaty.

ROZŁĄKA | Pytam, jaka jest Antarktyda. – Dziewicza przyroda, przeźroczyste powietrze. Wszystko jest prawdziwe. Jeśli jest zimno, to jest zimno – mówi Krzeptowski. – Jest żywy lód, ten z lodowców Antarktydy. Gdy wrzuci się kawałek do szklanki, roztapiając się, uwalnia pęcherzyki powietrza. Słychać szmery, trzaski – to taka polarna muzyka.

Bycie w takim miejscu, to, jak mówi Krzeptowski, oczyszczenie się: – Stare problemy znikają, za to są inne. Żyje się odbieraniem prognoz pogody, decyzją, jak się ubrać.

Takie oddalenie niełatwo znieść. – Długi trudny rejs, rozłąka, niektórzy nie wytrzymują nerwowo. A trudno się wypisać, nawet jakby się chciało. Były więc też problemy ludzkie – mówi przyrodnik. Bezpośredni kontakt z rodziną był tylko za pomocą radia: rzadki i krótki, na połączenie trzeba było się zapisać. Listy czekały dopiero w portach. Tylko tą drogą można było też wysłać list.

– List to było coś świętego. Pisało się go kilka wieczorów. Wtedy był nastrój. Statek łowił dzień i noc, jedni schodzili odpocząć, inni wychodzili na wachtę – mówi Krzeptowski. – Wieczorem siadało się więc do pisania, z kubkiem herbaty. Samo pisanie było jak bycie z osobą, do której się pisało.

Pokazuje koperty, podbite stemplami z krylem i wielorybem: – Wieloryba sam wyciąłem z linoleum.

STACJA | Dla władz PRL-u kryl nie okazał się wybawieniem od niedoborów na rynku, krylowe specjały nie zapełniły półek w sklepach. Powodów było sporo – w tym specyficzny, nieco dziwny dla polskich konsumentów zapach i posmak, wysoka zawartość fluoru, a także wysoki koszt połowów. „Okazało się, że złote runo nie jest wcale złotym interesem" – pisze Milewska.

TOMASZ LINKOWSKI

Udany połów kryla na „Profesorze Siedleckim", luty 1976 r.

Maciej Krzeptowski zwraca jednak uwagę na pozytywne efekty wyprawy: – Nauczyliśmy się łowić kryla, którego mogliśmy sprzedawać np. do Japonii. Później zaczęliśmy też łowić kalmary w wodach w pobliżu Falklandów i staliśmy się kalmarową potęgą.

Jeśli zaś idzie o korzyści długoterminowe, to cenne okazały się badania naukowe i decyzja o założeniu, rok później, Polskiej Stacji Antarktycznej im. Henryka Arctowskiego na Wyspie Króla Jerzego.

– Miejsce wypatrzył Staszek Rakusa-Suszczewski podczas naszej wyprawy. Olbrzymia odpowiedzialność, bo chodzi o to, aby można było dopłynąć, aby był to punkt osłonięty, aby była woda słodka, jakiś strumień. Wybrał bardzo dobrze – mówi Krzeptowski.

Tym samym Polska dołączyła do elitarnego klubu antarktycznego, zrzeszającego kraje, które mają tam lądowe stacje, inwestują w badania, a ich zdanie liczy się przy decyzjach dotyczących szóstego kontynentu. Polska, będąca wcześniej sygnatariuszem Układu Antarktycznego, została do niego przyjęta w 1977 r. jako trzynaste państwo (wyprzedzając RFN).

BLISKO MORZA | Czym była wyprawa dla mojego rozmówcy? – Fantastyczna przygoda! Radość, że uczestniczę w czymś tak wielkim – wspomina. – Choć wolałbym popłynąć po prostu jako ichtiolog i spokojnie prowadzić badania, a nie jako kierownik zespołu naukowego, bo nie lubię rządzić ludźmi.

Zanim Maciej Krzeptowski wyprawił się po kryla, pływał u wybrzeży Afryki, zajmując się naukowo sardynką. Po krylowej przygodzie odbył wiele kolejnych wypraw. Dwukrotnie przepłynął cieśninę Magellana, był kapitanem jachtu „Maria" podczas części jego rejsu dookoła świata. Wciąż zresztą odwiedza „Marię" na przystani w Szczecinie. Jak mówi, trzyma się morza.

Uczestnicy wyprawy z 1975-76 r. co jakiś czas się spotykają. Krzeptowski: – Trudne momenty łączą ludzi, a my byliśmy naprawdę w trudnych warunkach. Przeżyłem tę wyprawę głęboko. Polarność jest we mnie cały czas. Kilka lat temu, na szczecińskim bulwarze u stóp Zamku, umieściliśmy piękną tablicę pamiątkową przypominającą nasz rejs. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA

ERSTE
LETNIE BRZMIENIA
CZUĆ LATO
KAŚKA SOCHACKA
VITO BAMBINO ✶ MROZU BIG BAND
BRODKA GRA GRANDE ✶ GRZEGORZ TURNAU Z ORKIESTRĄ SYMFONICZNĄ
KACPERCZYK ✶ RALPH KAMINSKI ✶ EWA FARNA
NATALIA SZROEDER ✶ JULIA WIENIAWA
XXANAXX ✶ KRÓL / TYSZKOWSKI (EWA KOC)
BASS ASTRAL ✶ MAKS.TACHASIUK
Babie Lato PROJEKT SPECJALNY
NATALIA GROSIAK • BELA • KATHIA
I WIELU INNYCH
KRAKÓW 24-25 LIPCA
WARSZAWA 7-8 SIERPNIA
GDAŃSK 21-22 SIERPNIA
WROCŁAW 28-29 SIERPNIA
POZNAŃ 4-5 WRZEŚNIA
SPRAWDŹ KTO GRA W TWOIM MIEŚCIE NA WWW.ERSTELETNIEBRZMIENIA.PL
ORGANIZATOR
GOOD TASTE
SPONSOR TYTULARNY
ERSTE
SPONSORZY GŁÓWNI
mastercard
SOMERSBY
PARTNERZY
CASA MÚSICA
TERRAZZA
PATRONI MEDIALNI
RMF
ELLE
K MAG
onet

REKLAMA

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik Powszechny” zawsze pod ręką

Czytaj wygodnie – w papierze i online. Wybierz prenumeratę łączoną „Tygodnika Powszechnego” i korzystaj jednocześnie z wydania drukowanego oraz pełnego dostępu online.
To najwygodniejszy sposób, by mieć stały dostęp do rzetelnego dziennikarstwa, pogłębionych analiz i najlepszej publicystyki – zarówno w domowym fotelu z papierowym wydaniem, jak i w podróży czy pracy dzięki wersji cyfrowej.

„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie. Treści „Tygodnika Powszechnego” są unikatowe na polskim rynku prasy.

- Papierowe wydanie z wygodną dostawą
- Pełny dostęp do serwisu online i archiwum
- Dostęp do wydań specjalnych o wartości **120 zł**
- Elegancka torba „Tygodnika Powszechnego” w prezencie

OFERTA CENOWA PRODUKTU ŁĄCZONEGO:

InPost	~~cena 1359 zł~~ **cena promocyjna 983 zł**	
Poczta	~~cena 1093 zł~~ **cena promocyjna 995 zł**	

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków, tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

HISTORIA

CZERWCOWY PRZEŁOM

To był najmniej dramatyczny z powojennych protestów. Ale zmienił wszystko. Dlatego warto o nim pamiętać.

ŁUKASZ KAMIŃSKI

Edward Gierek przejął władzę w PRL w dramatycznym momencie, w trakcie robotniczego buntu przeciwko podwyżce cen w grudniu 1970 r. Jego poprzednik Władysław Gomułka nakazał stłumienie siłą tego protestu. Na Wybrzeżu zginęło 45 osób, ponad tysiąc raniono.

„Miodowe lata" Gierka

Wbrew powszechnemu przekonaniu nowy lider Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej nie zyskał natychmiastowej akceptacji społecznej. Fala strajków nie opadła, a od stycznia 1971 r. zaczęła narastać. Dużym sukcesem Gierka było wynegocjowane z robotnikami zakończenie protestu w Gdańsku i Szczecinie. Wkrótce jednak strajk powszechny ogarnął Łódź. Ceną za jego przerwanie stało się odwołanie grudniowej podwyżki. Skala niezadowolenia była tak duża, że strajki w różnych zakładach trwały jeszcze przez wiele tygodni.

Stopniowo jednak napięcie opadło. Pozytywnie przyjmowano zapowiedzi budowy „nowej Polski", wielkich inwestycji, a także gesty takie jak zapowiedź odbudowy Zamku Królewskiego w Warszawie. Kluczowa jednak była odczuwalna poprawa warunków życia. Już w 1971 r. wyraźnie poprawiło się zaopatrzenie sklepów. Imponujące było tempo wzrostu płac realnych – do 1975 r. zwiększyły się one aż o 42 proc.!

Przyniosło to wyjątkową w warunkach Polski Ludowej stabilizację. Z roku na rok spadała liczba strajków. O ile w 1972 r. było ich jeszcze 118, to w kolejnym już

Manifestanci jadący w kierunku budynku KW PZPR. Symbolem protestu stali się robotnicy poruszający się po mieście przy pomocy wózków akumulatorowych, trzymający w rękach biało-czerwone flagi. Radom, ulica 1 Maja, 25 czerwca 1976.

ARCHIWUM SOLIDARNOŚCI / EAST NEWS

tylko 73. Niewielki zasięg przybrały studenckie protesty przeciwko zmianie nazwy ich organizacji (w 1973 r. Związek Studentów Polskich zyskał przymiotnik „Socjalistyczny"). Jednym z niewielu przejawów istnienia środowisk opozycyjnych był List 15, w którym grupa intelektualistów domagała się praw dla Polaków w Związku Sowieckim.

Początek kryzysu

Wzrastały nie tylko płace, ale także wszystkie wskaźniki gospodarcze. Sukces ten osiągnięto jednak tylko dzięki zachodnim kredytom, chętnie udzielanym w ramach polityki odprężenia w relacjach międzynarodowych.

Pierwszym sygnałem ostrzegawczym był kryzys naftowy. Załamanie rynku ropy naftowej po wojnie Jom Kippur (1973) skutkowało między innymi wzrostem oprocentowania pożyczek. Zmniejszyły się też możliwości eksportu. Główną przyczyną narastających problemów był jednak fakt, że nie przeprowadzono żadnej reformy niewydolnej komunistycznej gospodarki. Wpompowano w nią gigantyczne środki, co przełożyło się na krótkotrwałe ożywienie, ale gdy ustał dopływ gotówki, wzrost się załamał. Istotne znaczenie miał też fakt dosłownego „przejedzenia" części pożyczonych pieniędzy – to dzięki nim w sklepach pojawiły się importowane dobra. Listę można by ciągnąć, wspominając o nietrafionych inwestycjach czy uzależnieniu wzrostu hodowli od sprowadzanej z Zachodu paszy.

Dużą rolę odegrał też fakt utrzymywania cen na niezmienionym poziomie. Wynikało to ze strachu przed kolejnym buntem społecznym, skutkiem była jednak konieczność coraz większych dopłat do kosztów produkcji podstawowych artykułów.

Pierwszy protest

W 1975 r. objawy kryzysu były już widoczne. Pogorszyło się zaopatrzenie, coraz częściej trzeba było stać w kolejkach. Gwałtownie rosły ceny na czarnym rynku, który uzupełniał braki państwowej gospodarki. Mimo to liczba strajków pozostawała na niskim poziomie, a pierwszy od lat szerszy protest nie dotyczył gospodarki.

Jesienią 1975 r. czująca się wciąż bardzo pewnie władza zapowiedziała nowelizację konstytucji PRL. Proponowane zmiany poparł zorganizowany w grudniu VII zjazd PZPR. Zapowiadano wpisanie do ustawy zasadniczej „kierowniczej roli" partii komunistycznej, „nierozerwalnej więzi" ze Związkiem Sowieckim oraz instrumentalizację praw obywatelskich, które miały „służyć interesom budownictwa socjalistycznego".

Jeszcze przed rozpoczęciem prac sejmowej komisji pojawił się pierwszy protest, tak zwany „List 59-ciu" (ostatecznie podpisało go 66 osób). O jego wadze stanowiła lista sygnatariuszy. Obok opozycjonistów różnych pokoleń podpisało go grono wybitnych naukowców i powszechnie znani literaci, m.in. Zbigniew Herbert, Antoni Słonimski, Wisława Szymborska i Adam Zagajewski. Domagali się oni nie tylko rezygnacji z kontrowersyjnych zapisów, ale także realnego zagwarantowania wolności obywatelskich i przywrócenia należnej roli Sejmu w państwie.

W kolejnych tygodniach pojawiły się dziesiątki innych listów, indywidualnych i zbiorowych. Swoje krytyczne stanowisko przedstawił także Episkopat Polski. Protesty odniosły pewien skutek. Zapisu o prawach obywatelskich ostatecznie nie wprowadzono, zamiast „kierowniczej roli" pojawiło się zdanie „przewodnią siłą polityczną społeczeństwa w budowie socjalizmu jest Polska Zjednoczona Partia Robotnicza". Również kwestia sojuszu z Moskwą została „rozmyta". Dodano zapis mówiący o tym, że PRL „umacnia przyjaźń i współpracę ze Związkiem Socjalistycznych Republik Radzieckich i innymi państwami socjalistycznymi".

Poprawki przegłosowano 10 lutego 1976 r. niemal jednogłośnie. Jedynym wstrzymującym się od głosu był Stanisław Stomma. Ale protest przeciwko zmianom konstytucji pokazał, że narasta społeczny sprzeciw, zjednoczył również przedstawicieli różnych pokoleń i ludzi o różnych doświadczeniach i poglądach politycznych. Wkrótce miało się to okazać bardzo istotne.

Przygotowania do podwyżki

Komunistyczna władza w tym czasie desperacko poszukiwała metody wyjścia z impasu. Jedynym narzędziem przywrócenia równowagi między podażą a popytem była podwyżka cen. Zaoszczędzone środki zamierzano skierować na dokończenie rozpoczętych inwestycji.

Kwestią dyskusyjną pozostawała skala podwyżki. Ostatecznie zdecydowano się na wariant najbardziej radykalny, forsowany przez premiera Piotra Jaroszewicza. Zakładał on m.in. wzrost cen mięsa i jego przetworów o średnio 69 proc., nabiału 64 proc., a cukru o 90 proc.

Zdawano sobie sprawę z ryzyka wybuchu protestów. Liczono jednak, że skalę sprzeciwu złagodzą działania propagandowe, popularność Gierka i planowane rekompensaty. Tuż przed podwyżką Jaroszewicz niespodziewanie podpisał kilkadziesiąt zgód na budowę nowych świątyń, pragnąc pozyskać neutralność Kościoła. Przede wszystkim stawiano jednak na aktywność aparatu bezpieczeństwa.

Operację opatrzono mało oryginalnym kryptonimem „Lato-76". W jej ramach zmobilizowano znaczące siły do rozpraszania ewentualnych manifestacji. Pamiętając o tragicznym doświadczeniu Grudnia'70, nie wyposażono ich w broń palną. Przygotowano za to 91 armatek wodnych, 36 samochodów z wyrzutniami gazu łzawiącego i kilka tysięcy wyrzutni ręcznych. Transport samochodowy i lotniczy zapewniło wojsko. 1570 osób, które podejrzewano o to, że mogą zainicjować protest, powołano na rzekome „ćwiczenia wojskowe". Przygotowano plany obrony kluczowych obiektów, nasilono pracę operacyjną SB, by w porę dostarczyć informacje o niepokojach, zorganizowano grupy śledcze i ustalono zasady prowadzenia przyspieszonych postępowań karnych.

Mimo prowadzenia tych działań w głębokiej tajemnicy, społeczeństwo dobrze odczytało zamiary władz. Już kilka dni przed operacją odnotowano masowe wykupywanie towarów w sklepach.

Wybuch

Ciężar ogłoszenia podwyżki wziął na siebie premier Jaroszewicz. W piątek 24 czerwca 1976 r. wystąpił w Sejmie, obszernie uzasadniając konieczność „regulacji cen". Oburzenie społeczne wywołała nie tylko zaskakująca skala podwyżek, ↦

↦ ale także rzekomo „pełne” rekompensaty. W rzeczywistości były one korzystne dla najlepiej zarabiających. Jako kpinę odebrano zapowiedź „konsultacji społecznych”. Wszyscy wiedzieli, że nowe cenniki są już w sklepach.

Reakcją były strajki. Już o 7.00 rano 25 czerwca odnotowano protesty w ponad 50 zakładach, w przeciągu dnia dołączyło do nich blisko drugie tyle przedsiębiorstw. Powszechnie domagano się wycofania podwyżki i poprawy zaopatrzenia. Najbardziej brzemienne w skutki były jednak demonstracje, do których doszło w Płocku, Radomiu i Ursusie.

We wszystkich tych miastach inicjatorami byli robotnicy wielkich zakładów. W Płocku byli to pracownicy Petrochemii, w Ursusie tamtejszych Zakładów Mechanicznych, a w Radomiu Zakładów Metalowych im. gen. Waltera. W Płocku doszło do kilkugodzinnych starć ulicznych, w czasie których m.in. obrzucono kamieniami gmach Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Z kolei w Ursusie robotnicy na kilka godzin zablokowali magistralę kolejową.

Do najpoważniejszych walk ulicznych doszło w Radomiu. Także i tutaj celem demonstrantów była siedziba partii komunistycznej. Przed gmachem zgromadziło się kilka tysięcy osób. Próba rozmowy z tłumem podjęta przez jednego z działaczy partyjnych zakończyła się tylko podgrzaniem emocji. Demonstranci pojawili się też w innych punktach miasta. Symbolem protestu stali się robotnicy poruszający się po mieście przy pomocy wózków akumulatorowych, trzymający w rękach biało-czerwone flagi.

Około południa tłum wyłamał drzwi i wdarł się do budynku KW. Kolejna próba negocjacji i obietnica przekazania żądań do Warszawy nie uspokoiły sytuacji. Odnalezienie przez demonstrantów bogato zaopatrzonej partyjnej stołówki doprowadziło tłum do wściekłości. Rozpoczęto dewastację gmachu, który ostatecznie podpalono. Atakowano także siedzibę milicji i urząd wojewódzki.

Władza skapitulowała przed protestującymi.

Premier Jaroszewicz odwołał podwyżkę. Ale powetowano to sobie masowymi represjami. W noc po zamieszkach brutalnie pobito setki zatrzymanych.

W tym samym czasie do miasta pospiesznie ściągano odwody ZOMO. Podjęły one walkę z ponad 20 tysiącami demonstrantów, którzy zbudowali liczne barykady. Niestety, już na początku starć zginęły dwie osoby, zmiażdżone przez przyczepę, którą chciano wykorzystać przeciw ZOMO. W toku walk ulicznych zużyto prawie 20 tysięcy granatów z gazem łzawiącym, wykorzystano także armatki wodne. Po stronie demonstrantów używano głównie kamieni, pojawiły się także butelki z benzyną. Ostatnie starcia wygasły przed północą.

Zemsta

Władza skapitulowała przed protestującymi. Jeszcze 25 czerwca, w trakcie wieczornego „Dziennika telewizyjnego”, premier Jaroszewicz odwołał podwyżkę.

To bezprecedensowe ustępstwo powetowano sobie masowymi represjami. Już w noc po zamieszkach setki zatrzymanych osób brutalnie pobito. Urządzano im „ścieżki zdrowia”, zmuszając do biegu między szpalerami funkcjonariuszy uzbrojonych w pałki.

Zorganizowano także kampanię potępiającą „warchołów z Radomia i Ursusa”. Jej celem było pokazanie, cytując Gierka: „jak my ich nienawidzimy, jacy to są łajdacy”. Władzom PRL po raz ostatni udało się spędzić ludzi na wiece i zmusić do potępiania uczestników protestu, który dla dużej części społeczeństwa był uzasadniony.

Jako pierwsze wyroki wydały kolegia do spraw wykroczeń. 314 osób skazano na areszt, kilkadziesiąt ukarano grzywną. Przed sądami stanęły 272 osoby, wyroki sięgały 10 lat więzienia. Tysiące osób w całym kraju zwolniono z pracy. 18 sierpnia zmarł ks. Roman Kotlarz, prześladowany przez SB za to, że pobłogosławił protestujących robotników w Radomiu.

Solidarność

Represje wywołały falę solidarności. W wielu miejscach spontanicznie zaczęto zbierać środki dla prześladowanych. Kształtujące się środowiska opozycyjne wysyłały obserwatorów na procesy, starano się zapewnić pomoc prawną. Wspierano rodziny uwięzionych i zwolnionych z pracy.

Wkrótce narodziła się idea, by działaniom tym nadać bardziej zorganizowany charakter. 23 września 1976 r. powstał Komitet Obrony Robotników. 14 sygnatariuszy jego pierwszego apelu wzywało Polaków do „solidarności i wzajemnej pomocy”. Wkrótce potem pojawiły się pierwsze niezależne periodyki, powstawały kolejne organizacje opozycyjne. Ich założyciele podawali swoje nazwiska, przełamując panującą od dziesięcioleci barierę strachu. Przygotowywali grunt pod strajki z lata 1980 r., w których wzięli aktywny udział.

Czerwiec’76 był najkrótszym i najmniejszym pod względem skali buntem społecznym w Polsce Ludowej. Jego znaczenie nie polega jednak ani na czasie trwania, ani liczbie strajków i demonstracji. Protestujący zmusili władze do natychmiastowej kapitulacji, ukazując ich słabość. Czerwiec’76 stał się katalizatorem nowej fali opozycji, która utorowała drogę do powstania Solidarności. Na tym polega jego historyczne znaczenie i dlatego warto pamiętać o tym proteście i jego bohaterach.

© ŁUKASZ KAMIŃSKI

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 338/25 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Halinie Chińczewskiej (poprzednie nazwisko Berlewi), córce Mieczysława i Edwardy (poprzednie imiona rodziców: Motek i Estera), zmarłej w dniu 17 czerwca 1981 r. w Warszawie, ostatnio stale przebywającej w Warszawie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

TOWARZYSTWO WIENIAWSKIEGO

17. MIĘDZYNARODOWY KONKURS SKRZYPCOWY IM. HENRYKA WIENIAWSKIEGO

Poznań
8-25 października 2026

TOWARZYSTWO WIENIAWSKIEGO
POZnań
THE VIOLIN CHANNEL
World's Leading Classical Music Platform
Bilety24
REKLAMA

S-NET
GRUPA TOYA

Data Center
dla Twojego biznesu
w centrum Krakowa

Najważniejsze cechy S-NET Data Center

Sprawdź, jak wygląda nasze Data Center w pigułce.

- Gwarancja SLA
- Obiekt klasy Tier 3
- Transmisja danych do krajowych operatorów
- Samodzielny dostęp do szaf w trybie 24/7
- Redundantne połączenie z siecią Internet
- Monitoring 24/7 oraz opieka specjalistów

Bezpieczeństwo danych

Nowe **S-NET Data Center** zostało wyposażone w najnowszej generacji systemy przeciwpożarowe, chłodzenia oraz niezależne systemy zasilania.

- Systemy przeciwpożarowe
- Systemy chłodzenia
- Niezależne zasilanie

REKLAMA

s-net.pl/data-center

Skontaktuj się z nami
+48 12 395 71 00

TYGODNIK POWSZECHNY

MAGAZYN
CONRAD 02
„TP” 26/2026

niepos
conrad festiwal
19—25.10.2026
kraków

– JUŻ PEŁNOLETNI – WCIĄŻ NIEPOSŁUSZNY – 18. EDYCJA FESTIWALU CONRADA –

AGNIESZKA WENDERSKA

Szukajmy u źródła – taka dewiza przyświeca kolejnym gościniom i gościom Festiwalu Conrada. Prosta tylko z pozoru. Trudniej robi się, kiedy zaczynamy tego źródła szukać.

Geoffroy de Lagasnerie i Albert Camus (którego „Człowiek zbuntowany" odegra w tym roku istotną rolę) sięgają do filozofii starożytnej. Greccy myśliciele za obszar poszukiwań roztropności, dzięki której mamy szansę osiągnąć spokój i szczęście, uznali naturę ludzką. Wsłuchanie się w nią może ułatwić nam znalezienie odpowiedzi na pytania: czy granice, które strzegą naszej moralności, są nam dane, czy sami musimy je ustanowić, i po co? A także – co się stanie, gdy porzucimy obowiązujące schematy i wybierzemy inną formę życia?

W starożytności inspiracji szuka również Joanna Karpowicz, przenosząc z zaświatów do współczesności postać egipskiego Anubisa. W swojej sztuce pyta o źródło lęku, który utrudnia nam celebrowanie codzienności. Powrót do wspomnień daje jej siłę na pogodzenie się z przemijaniem.

Możemy przeglądać się w tej mniej odległej przeszłości, szukając indywidualnych form wyrazu dla tęsknoty, odrzucenia i niezgody na rzeczywistość. Uczą nas tego Zygmunt Haupt, Leo Lipski, Marian Pankowski i Jerzy Stempowski. Nieoczywiste towarzystwo, prawda? Podobnie jak Joseph Conrad i Rene Karabasz – postaci z innych czasów i porządków, które łączy odwaga. Pod prąd, ze wzburzonych wód płyną do źródła, by na przekór beznadziei odnaleźć drogę do pozostania sobą.

Rodzinne archiwum po latach otwiera Cristina Rivera Garza, by przywrócić pamięć o swojej zamordowanej przez byłego partnera siostrze. Listy, notatniki i luźne zapiski stają się orężem meksykańskiej pisarki w walce o godność nie tylko Liliany, ale wszystkich ofiar kobietobójstwa.

Gdzie w tym wszystkim nieposłuszeństwo? Zapraszam do lektury, przekonajcie się sami. ©℗

Program Festiwalu na s. 88-89

W NUMERZE

79
Paulina Frankiewicz
Conrad zbuntowany

82
Rozmowa z Rene Karabasz
Zła baśń

85
Filip Fierek
O pożytkach płynących z przyjaźni

90
Magda Melnyk
Tu możesz mówić o miłości

92
Cristina Rivera Garza
Niezniszczalne lato Liliany

94
Paulina Frankiewicz
Jeszcze nie dziś

95
Jan Burnatowski
Kulturalne towarzystwo

99
Maciej Kałuża
Jaka miara, panie Camusie?

REDAKTORKA NACZELNA
Paulina Frankiewicz
REDAKTORKA PROWADZĄCA
Agnieszka Wenderska
PROJEKT GRAFICZNY
Marek Zalejski
SKŁAD
Zuzanna Kardyś
FOTOEDYCJA
Grażyna Makara
GRAFIKA NA OKŁADCE
Marcin Wolny / Conrad Festival
ZDJĘCIE NA OKŁADCE
Tom Stoddart / Getty Images

CONRADFESTIVAL

Organizatorzy:
Kraków
Instytucja Kultury Miasta Krakowa kbf:
Kraków Miasto Literatury UNESCO

Fundacja Tygodnika Powszechnego

Partnerzy strategiczni:
Tygodnik Powszechny
Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie

Dofinansowanie:
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Conrad zbuntowany

PAULINA FRANKIEWICZ, DYREKTORKA PROGRAMOWA FESTIWALU CONRADA

Już pełnoletni, wciąż nieposłuszny – z takim nastawieniem zapowiadamy 18. edycję Festiwalu Conrada. Gen nieposłuszeństwa miał w sobie patron festiwalu – Józef Konrad Korzeniowski. Nim wyruszymy na wzburzone wody, by eksplorować kolejne przejawy buntu, popłyńmy pod prąd: do źródła.

Kiedy po raz pierwszy wypowiedziałem na głos swoje pragnienie pływania po morzach – pisze Conrad – [p]oczątkowo, jak to bywa z dźwiękami niemieszczącymi się w skali, na którą nastrojony jest ludzki słuch, deklaracja ta przeszła bez echa. Jakbym jej wcale nie wygłosił. Później, próbując różnych tonów, zdołałem kilkakrotnie wzbudzić przelotne zainteresowanie – z gatunku »Co to za dziwny dźwięk?«. A jeszcze później – »Słyszeliście, co ten chłopak powiedział? Coś podobnego!«. Niebawem fala zgorszonego zdumienia (...) rozlała się z uniwersyteckiego miasta Krakowa na obszar kilku prowincji”.

UNDERWOOD ARCHIVES / GETTY IMAGES

Fregata „Joseph Conrad” wypływa z Sydney, 1936 r.

Poza skalą

Jest rok 1868, kiedy jedenastoletni Konrad, oglądając mapę Afryki, namierza najmniej znany ze wszystkich nieznanych obszarów świata, by – z właściwym swojemu wiekowi zuchwalstwem – ogłosić: „Pojadę *tam*, jak dorosnę”. I rzeczywiście, zapowiedź chłopca, który nigdy nie widział morza, doczeka się realizacji. Pojedzie *tam*, w rejon Wodospadów Stanleya, ćwierć wieku później jako Joseph Conrad, mając przy sobie pęczniejący rękopis „Szaleństwa Almayera”, swojej debiutanckiej powieści.

Rodzice Konrada – Ewa z Bobrowskich i Apollo Korzeniowski – zmarli, gdy ten był jeszcze dzieckiem. Ojciec uchodził za ideał szlachcica, romantycznego patriotę, który najbardziej na świecie pragnął, by jedyny syn został Polakiem. Po jego śmierci Konrad trafił pod kuratelę wuja, Tadeusza Bobrowskiego, o zdecydowanie bardziej przyziemnym poglądzie na życie. Kiedy usłyszał o pomyśle chłopaka na wypłynięcie w morze, przybył z Ukrainy, by wybić mu to z głowy. Misję wyplenienia „romantycznego szaleństwa” miał powierzyć nauczycielowi Konrada, Adamowi Pulmanowi, w czasie ich wakacyjnej wędrówki po Alpach. Pulman przekonywał przyszłego marynarza do porzucenia powziętych zamiarów podczas podróży koleją, rejsu parowcem po jeziorach, a nawet spaceru w promieniach osławionego wschodu słońca nad szwajcarskim szczytem Rigi. Po kolejnej niewiele wnoszącej dyskusji na temat braku przyszłości żeglugi miało dojść do porozumiewawczej wymiany spojrzeń. Piętnastolatkowi została rzucona w twarz diagnoza: „jesteś niereformowalnym, beznadziejnym Don Kichotem. Oto kim jesteś”. Temat został uznany za zamknięty, a wyprawę zakończyli w Wenecji, gdzie Konrad miał po raz pierwszy w życiu zobaczyć morze. Kiedy rok później skończył szkołę i mógł zająć się interesami w Krakowie, obaj z wujem wiedzieli, że nic z tego nie będzie.

Tyle tytułem mitu Josepha Conrada kreowanego w „Notatniku osobistym” (tłum. Hanna Pustuła-Lewicka) przez Józefa Konrada Korzeniowskiego. Po latach jego biografowie ustalą, że morze po raz pierwszy zobaczył podczas pobytu z babką w Odessie, a Bobrowski bez większych sprzeciwów zorganizował wyjazd siostrzeńca na południe Francji.

↦

Poza czasem

↦ Był znikąd i zewsząd, przez co kilkakrotnie rozszczepiał czas. Urodził się „gdzieś tam", w Berdyczowie, na terenie dzisiejszej Ukrainy, 21 listopada lub 3 grudnia 1857 r. Pęknięcie w dacie urodzenia wynika z różnych momentów przejścia z kalendarza juliańskiego na gregoriański w bliskich mu krajach. Od dziecka często zmieniał miejsce pobytu; Kraków, w którym mieszkał chyba najdłużej, porzucił dla Marsylii, gdzie przyuczał się do wymarzonego fachu. Następne dwadzieścia lat spędził na wodach jako zawodowy marynarz, pływając na Karaiby, do południowo-wschodniej Azji, Australii i Afryki.

Chcąc ustalić, jak miał się Konrad w chwili osiągnięcia dojrzałości, odkrywam, że było ich kilka. W Imperium Rosyjskim, na terenie którego się urodził, podobnie jak we Francji, dorosłość następowała w chwili ukończenia dwudziestu jeden lat. Rok 1878 był być może najburzliwszym z momentów jego życia. W lutym, pogrążony w długach i zwątpieniu wynikających z braku możliwości wykonywania zawodu, podjął w Marsylii nieudaną próbę samobójczą. Całe szczęście rana po postrzale w pierś szybko się goiła i jeszcze w kwietniu Korzeniowski wsiadł jako nieoficjalny praktykant na statek „Mavis". 10 czerwca po raz pierwszy postawił stopę na Wyspach Brytyjskich, a jesienią tego samego roku trafił do bardziej kosmopolitycznego Londynu, gdzie wreszcie rozpoczął karierę marynarską i w okolicach którego osiadł później na stałe.

Gdyby natomiast wyznaczać pełnoletność miarą krakowską, a więc galicyjską, osiągnął ją w wieku lat dwudziestu czterech. To moment doniosły, w dodatku bardzo fotogeniczny, opisany w „Notatniku...": oto Józef Konrad Korzeniowski stoi na schodach Doku Świętej Katarzyny z licencją kapitana brytyjskiej marynarki handlowej w kieszeni. Moment, co poświadczają dokumenty, kolejnego ubarwienia własnej historii: wspomniany egzamin Konrad zdał dopiero w roku 1886. Odtąd komenderował odrywaniem się od brzegu i zaoczaniem lądu (pełnoletność krakowska zastała go na innym statku i w innej roli, o czym można przeczytać w biografii pióra Zdzisława Najdera, najpilniejszego z conradologów).

Wreszcie dojrzałość nieziemska, najważniejsza dla naszego bohatera. Pozostająca bez arbitralnie narzuconej daty, bo dojrzałości osiąganej na morzu nie może dyktować wiek. Nie zdobywa się jej wraz z wejściem na okręt; to wypadkowa intuicji, wiedzy i doświadczenia, które czynią majtka marynarzem. Podobnie jest z dojrzałością pisarską. Nie sposób wskazać, kiedy Conrad stał się pisarzem morza (sam zżymał się na tę etykietę). I choć zasłużył na miejsce w czołówce najwspanialej piszących o życiu na głębokich wodach, przyznaję: stał się kimś o wiele, wiele więcej.

Nie/bezpieczne książki

Opowiadając ten początek jeszcze inaczej, ponoć wszystko zaczęło się od książki. A książki to była przygoda pozwalająca na beztroskie podróże po świecie, wbrew tułaczce, którą zesłał na chłopca los.

Z żeglugą w literaturze Konrad miał zetknąć się w wieku ośmiu, może dziewięciu lat, kiedy to siedząc w nogach łóżka ojca, podjął lekturę „Pracowników morza" Victora Hugo. Był to pisarz szczególnie drogi sercu Apolla; syn na głos czytał tekst jego przekładu powieści po korekcie. Podobno właśnie wtedy zapragnął wypłynąć w świat. Podobno – bo po zapoznaniu się z tą książką bardziej racjonalna wydaje się decyzja trzymania się od morza jak najdalej (dość powiedzieć, że morze jest tu żywiołem przede wszystkim złowrogim, a główny bohater ginie w nim śmiercią samobójczą, na dodatek ze złamanym sercem). Wiadomo, że za młodu zaczytywał się również w opowieściach Fredericka Marryata i Jamesa Fenimore'a Coopera, co trochę uwiarygadnia tę anegdotę. Abstrahując od skłonności autora „Smugi cienia". do koloryzowania własnej przeszłości, lubię ten wątek conradowskiego mitu, bo dowodzi przekonania autora o wywrotowym potencjale literatury. Tylko od nas zależy, co zrobimy z treścią, którą z papieru przeniesiemy do swoich głów, i jakie będą tego konsekwencje.

Gdy czytam „Notatnik osobisty" Conrada, a później jego listy i biografie, od czasu do czasu nachodzi mnie złość, bo orientuję się, że znów dałam się nabrać jego barwnej opowieści. Jako pisarz pierwszorzędnie mylił tropy – zmyślał w historiach oddawanych czytelnikom jako autobiograficzne, własną przeszłość kamuflując w tych niby fabularnie odrealnionych. Za pomocą słów usiłował kreować się na marzyciela i zawadiakę, który od dzieciństwa zwinnie pokonywał kolejne trudności. Swój przyjazd do Londynu opisywał na modłę dickensowską, co w nikłym stopniu, jeśli w ogóle, przystawało do miasta, w którym znalazł się w 1878 roku.

Odsłaniał się głównie w rozległej korespondencji; w jednym z listów wyznał, że jego historia i on sam rozsiani są po jego powieściach. I chyba rzeczywiście piszę o człowieku, któremu bliżej było do strapionych bohaterów z kart jego książek – wysiedlonych, wyobcowanych, zrozpaczonych. Jak zlicza Maya Jasanoff, biografka Conrada, samobójstwo popełnia siedemnastu z nich (sam autor liczył na to, że nikt nie dowie się o jego marsylskim epizodzie, podobnie jak chorobach, na które cierpiał).

Żywioł pisarza

W sierpniu 1887 r. Konrad Korzeniowski zaokrętował się jako pierwszy oficer na parowcu SS „Vidar", którym raz za razem odtwarzał trasę, pływając na północ i na południe od Cieśniny Singapurskiej. Podczas jednego z kursów,

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Wspieraj Festiwal Conrada!
Kup bilety dobrej woli i festiwalowe pamiątki na Allegro.

allegro.pl/uzytkownik/FundacjaTygPow

SPICER-SIMSON / HULTON ARCHIVE / GETTY IMAGES

Joseph Conrad na pokładzie statku SS „Tuscania" przybywa do Nowego Jorku, maj 1923 r.

na pomoście na Berau, w indonezyjskiej części Borneo, spotkał holenderskiego kupca Charlesa Olmeiera, w którego postaci dostrzegł potencjał do stworzenia opowieści o (nie)możliwości spotkania kultur Wschodu i Zachodu. Konrad źle znosił monotonię, dlatego schodząc z „Vidara" w styczniu 1888 r., szykował się do kolejnej wolty w swoim życiu. Po przerwie podejmie jeszcze żeglugę, jednak odnaleziony po latach były kapitan wspomnianego parowca wyzna, że za każdym razem, kiedy schodził do kajuty zamienić słowo ze swoim pierwszym oficerem, ten coś pisał. Sam Conrad wielokrotnie powtarzał, że zajął się literaturą, by nie zwariować, mimo że męczył się przy tym niemiłosiernie.

„Szaleństwo Almayera" powstawało w dużej mierze na statku, jednak autor po pióro na dobre sięgnął dopiero po ostatecznym zejściu na ląd w 1894 r. Debiutancka książka Josepha Conrada ukazała się kilka miesięcy później. Odtąd niemal co rok, do końca życia, publikował kolejne dzieła. Zawsze miały one w sobie gen nieposłuszeństwa, a także coś ze samospełniającej się, upiornej przepowiedni.

W „Lordzie Jimie" Conrad uwypuklił skutki przemian technologicznych w transporcie morskim, które dziś z łatwością możemy czytać w kontekście rozwoju sztucznej inteligencji. „Jądro ciemności", literacki zapis doświadczeń z pobytu pisarza w Kongu, punktuje zakłamanie, chciwość i przemoc europejskich rządów, bezwzględnie potępiając imperializm i ludobójstwo. Osnuty wokół terrorystycznego ataku bombowego w Londynie „Tajny agent" może posłużyć za komentarz do eskalacji islamskiego terroryzmu. „Nostromo" obnaża nadużycia kapitalizmu demaskowane podczas kolejnych finansowych krachów...

Bohaterowie Conrada stają się zakładnikami czasów postępującej globalizacji. Ich rzeczywistość naznaczona jest migracjami, współdzieleniem świata z ludźmi innych nacji, rewolucją przemysłowo-technologiczną. Muszą odnaleźć się w świecie, w którym stare zasady już nie obowiązują, a nowe jeszcze nie zostały ustanowione. Sto lat później żyjemy w rzeczywistości, w której wyczekiwany wówczas nowy porządek okazuje się równie nieadekwatny.

Bez końca

Ze wskazaniem momentu wejścia w pełnoletność Festiwalu Conrada nie ma kłopotów. Choć obecna rzeczywistość nie jest ani trochę spokojniejsza, nikt już nie bawi się czasem (za to sam czas zyskał status najcenniejszej z walut). Ratuszowa latarnia na krakowskim Rynku wyznacza nam kierunek literackich poszukiwań od 2009 r., tej jesieni Conrad osiągnie więc dojrzałość.

Jako wieloletnia uczestniczka tego wydarzenia wiem, czym jest ono dla mnie, jednak przygotowując program tegorocznej edycji, pytałam o tożsamość Festiwalu Conrada osoby, które spotykałam na swojej drodze. Awangardowy, mainstreamowy, punkowy, wymagający, elitarny, nieoczywisty, zawsze o krok przed – padały kolejne odpowiedzi. Żadna z nich nie wyklucza pozostałych. Myślę sobie, że Festiwal Conrada jest jak morze: „otwarte dla wszystkich i nie dochowujące wierności nikomu, roztacza swój czar na zgubę najlepszych" – jak pisze nasz patron w „Zwierciadle morza" (tłum. Aniela Zagórska). Odzierając tę frazę z goryczy doświadczonego marynarza, który widział, jak wzburzona woda igra ze wszystkim, dostrzegam w niej nieposłuszną odwagę poszukiwania: idei, tekstów, ludzi, którzy z nami zostaną, przynajmniej do następnego razu. Tylko pozwalając sobie na zagubienie, można na powrót się odnaleźć.

Dajmy się uwieść Conradowi, który – jak morze – mimo różnych oblicz, mimo otwartości jako jedynej stałej, pozostaje wierny samemu sobie. Wsiądźmy na pokład okrętu, który opowieścią poprowadzi nas od lądu do lądu. Oderwijmy się od brzegu w poszukiwaniu nowych literackich kompasów. Gdzie zaoczymy ląd, tego nie wie nikt. Buntujmy się.

Przed nami jest świat. Bez końca.

©℗ PAULINA FRANKIEWICZ

Zła baśń

RENE KARABASZ, POETKA:

Nasze ciała noszą traumy. W pewnym momencie trzeba im powiedzieć: nie musicie już walczyć o przetrwanie. Możecie po prostu być i zmieniać świat krok po kroku.

ANNA CIARKOWSKA: Jak to się stało, że zaczęłaś pisać? Jesteś aktorką.

RENE KARABASZ: W zasadzie nie, zagrałam tylko w jednym filmie. Nie postrzegam siebie jako aktorki, chociaż zdobyłam cztery nagrody za rolę Gany w filmie „Bez Boga" („Bezbog", w reż. Ralitzy Petrovej; 2016). Teraz robię filmy, ale już w nich nie gram. Napisałam scenariusz do bułgarskiego serialu „My, fale" („Te, valnite", w reż. Nedy Morfovej i Petara Krumova; 2025). Zresztą mój koncept został doceniony przez Telewizję Polską w czasie Międzynarodowego Festiwalu TV Heart of Europe. Właśnie skończyłam prace nad adaptacją mojej powieści „Zanim dojrzeją granaty", premiera filmu odbędzie się jeszcze w tym roku.

Powiedziałaś kiedyś, że myślisz obrazami. Czy przeniesienie tak poetyckiej książki na ekran było dla Ciebie trudne?

Tak, to jak oglądanie kadrów we własnej głowie. Muszę tylko znaleźć słowa, by to opisać. Dlatego myślę, że moje pisarstwo jest bardzo filmowe.

Ekranizacja to kolejny sukces Twojej książki. Przyniosła Ci również finał Nagrody Bookera. Jak to wyróżnienie wpłynęło na Twoje życie?

Już sama wiadomość o nominacji do nagrody wywołała wiele zmian. Byłam akurat w górach z moimi przyjaciółmi, bez dostępu do internetu. Odebrałam telefon i zaczęło się prawdziwe szaleństwo. Przez pięć dni ciągle udzielałam wywiadów. Nawet telewizja chciała do mnie przyjechać. To było wyjątkowe doświadczenie, dużo okrzyków, śmiechów i łez. Nigdy dotąd czegoś takiego nie przeżyłam.

Zainteresowanie mną i moją książką ogromnie wzrosło. Dzięki mojej agentce mam nowe kontrakty w krajach azjatyckich, a to były dla nas niedostępne wcześniej rynki wydawnicze. To nowy etap, jeśli chodzi o mnie, moje życie i pracę.

Wracając do pytania o pisanie: kiedy zdecydowałaś, że będziesz się tym zajmować?

Myślę, że nigdy nie podjęłam tej decyzji. Wiedziałam, że to moja droga, odkąd nauczyłam się czytać i pisać. To sposób życia. Zawsze wiedziałam, że będę robiła coś związanego z literaturą, kinem, teatrem. Mam to szczęście, że wiem, jaka jest moja życiowa misja.

W jednym z wywiadów mówiłaś o fotografii wirgineszy [według zwyczajowego prawa Albanii to zaprzysiężona dziewica, która przejmuje rolę mężczyzny]. Najpierw była fotografia, a potem historia, czy odwrotnie – miałaś już w głowie swoją opowieść?

Miałam już pomysł. Wiedziałam, że będę pisała o swoim życiu.

A więc „Zanim dojrzeją granaty" to powieść autobiograficzna?

Tak. Wiele z opisanych rzeczy przydarzyło się mnie samej. Nie wiedziałam jednak, jak opisać swoje doświadczenia, i szukałam bohatera, który mógłby to zrobić. Zobaczyłam zdjęcia dziewic Kanunu autorstwa Pepy Hristovej i wybrałam je, by opowiedziały tę historię, ale w wersji bardziej radykalnej.

Dorastałam w małym miasteczku w Bułgarii, w bardzo patriarchalnym środowisku. Chciałam pokazać, jak daleko może posunąć się taka społeczność, a także jak świat zewnętrzny odciska się na ciele. Dla mnie to opowieść o męskiej i kobiecej energii, o tym, co dzieje się, gdy ta pierwsza dominuje.

Niektórzy krytycy pisali, że Twoja powieść to baśń. Zgadzasz się z tym?

Tak, jury Nagrody Bookera stwierdziło, że to współczesna baśń, ale jeśli tak, to raczej zła baśń. Lubię myśleć, że moje pisanie zaciera granice jawy i snu. Właściwie nie da się powiedzieć, czy główna bohaterka śni, czy nie. Jest w tym oczywiście dużo realizmu magicznego, który nadaje powieści charakter niesamowitości.

Umieszczasz swoją bohaterkę, Bekię, w konkretnym środowisku. Jej tożsamość jest ściśle powiązana z miejscem i czasem, a jednocześnie to w dużej mierze historia uniwersalna. Jak Twoja powieść została odczytana w Bułgarii, a jak za granicą?

Rzeczywiście, to jednocześnie bardzo lokalna i uniwersalna opowieść. Myślę, że wynika to z tego, jacy są bohaterowie i jakie traumy w sobie noszą. Książka wyszła w Bułgarii osiem lat temu, została bardzo dobrze przyjęta. Ciekawe jest to, że nikt nie rozprawiał o obecnym w niej pierwiastku queerowym. Byłam z tego zadowolona, bo kluczowymi problemami tej historii są tożsamość i zależności rodzinne. Ale w Stanach Zjednoczonych to stało się najważniejsze i „Zanim dojrzeją granaty" nazwano powieścią queerową. Nie podoba mi się to, bo to zubaża opowieść o kobiecie, która przede wszystkim walczy o siebie i o swoje prawa. Zmiana płci jej kochanki, Dany, nie wpłynęłaby na jej historię, więc to naprawdę nie ma znaczenia.

Dla mnie to powieść o starciu sił: rodzinnej tradycji i nowoczesności, nienawiści i miłości, kobiecości i męskości. O zakleszczeniu między nimi i próbie wyzwolenia. Kim dla Ciebie jest Bekia?

Buntowniczką. Jest jedna rzecz, którą zauważyłam później: kiedy składa przysięgę, by zostać wirgineszą, zmienia się w mężczyznę, ale tylko w tym rozdziale

GEORGI KAZAKOV

mówi o sobie jako o chłopcu. Potem znów zabiera głos z pozycji dziewczyny, a więc w jakiś sposób zachowuje ją w sobie. Myślę, że to znaczące, szczególnie że zostaje zaprzysiężona w wieku 16 lat, gdy hormony buzują, zakochuje się, a siła miłości pcha ją przez granicę między dziewczęcością a kobiecością. I to jest nie do zatrzymania. Później, rzecz jasna, zdaje sobie sprawę z tego, co zrobiła, a jej wyjazd do Bułgarii staje się podróżą bohatera o tysiącu twarzy, o której pisał Joseph Campbell. To, co dzieje się w tobie i w twoim otoczeniu, możesz dostrzec dopiero wtedy, kiedy się oddalisz i spojrzysz na to z dystansu. Bekia tak właśnie robi i nie poddaje się. Ma 35 czy 36 lat i postanawia, że odzyska swoje życie – to jej akt buntu.

Funkcjonuje w systemie i jednocześnie go podkopuje, ale nie po to, by go zmienić, lecz by znaleźć w nim dla siebie miejsce.

Jeśli jesteś sam, ciężko cokolwiek zmienić, ale jeśli sprawisz, że ludzie uwierzą w twoje wartości, wtedy zmiana jest możliwa. Jeden człowiek jest jak jaskółka, która nie czyni wiosny, ale wiele jaskółek – już tak.

Może miłość jest tu formą nieposłuszeństwa?

O tak, miłość sprawia, że wszystko jest na swoim miejscu. Jest nie do zatrzymania. Nawet jeśli nadchodzi mrok, miłość jest światłem, które go przenika i odsłania prawdę.

Właśnie, światło i mrok. Jednocześnie nie pokazujesz prostego, czarno-białego obrazu. W Twoim świecie nic nie jest takie, jakie wydaje się na pierwszy rzut oka. Tak jakby wszystko było podwójne, bliźniacze. Zresztą motyw bliźniaków okazuje się tu bardzo istotny.

Bekia i Sale to ja i moja siostra. Ona była „synem tatusia", a ja odgrywałam rolę Salego, bo byłam tą wrażliwą, nie chciałam robić tego, co nakazuje się chłopcom. Ostatecznie jednak godziłam się na to, bo musiałam jakoś przetrwać. Moja siostra także. ↦

RENE KARABASZ (właściwie Irena Ivanova, ur. 1989 r.) jest bułgarską powieściopisarką, poetką, scenarzystką i reżyserką teatralną. Jej debiutancka powieść „Zanim dojrzeją granaty" zdobyła m.in. Nagrodę Literacką im. Eliasa Canettiego, a w 2026 r. znalazła się na krótkiej liście Nagrody Bookera.

Książka **ZANIM DOJRZEJĄ GRANATY** ukazała się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego w tłumaczeniu Marioli Mikołajczak.

↦ Obecnie ona stara się o dziecko i nadal się jej nie udaje. Zaczęła szukać przyczyn, przygląda się naszej rodzinie i ciągle wraca do tego pragnienia, by być synem dla naszego ojca, którego on zawsze chciał mieć.

To także historia o ciałach.

Nasze ciała noszą traumy. W pewnym momencie trzeba im powiedzieć: nie musicie już walczyć o przetrwanie. Możecie po prostu być.

Jesteś rebeliantką?

Zdecydowanie, jestem i zawsze byłam. Opuściłam swoją wioskę, będąc w siódmej czy ósmej klasie podstawówki. To wiek, kiedy zaczynasz być sobą i samodzielnie postrzegać świat. A gdy wracasz, masz inną perspektywę i możesz coś zmienić.

Mój ojciec przy stole zawsze mówił „podajcie mi sól", a my natychmiast to robiłyśmy. Pewnego razu odpowiedziałam: „wstań i weź ją sobie". Był tak zdziwiony, że to zrobił. Następnym razem powiedziałam, żeby mówił „poproszę" i teraz mówi: „poproszę o sól". To małe kroki, które prowadzą do większej zmiany.

Twój język też jest poniekąd buntowniczy, a jego intensywność i zmysłowość czynią lekturę bardziej wymagającą.

Nie wydaje mi się, by była szczególnie trudna. Na początku musisz przyzwyczaić się do tego stylu, ale potem tekst porywa cię jak rzeka. Jest jak wiersz. Uważam się za poetkę, nie powieściopisarkę. Cokolwiek robię – piszę powieść, scenariusz czy sztukę teatralną – poezja jest moim punktem wyjścia. Ten poszatkowany język ma być wyrazem wolności: w tamtej społeczności jest jak w więzieniu, ale główna bohaterka w swojej głowie jest wolna i wyraża się we właściwy tylko sobie sposób.

Dla Ciebie to też forma wyzwolenia? Szukałaś własnego języka, czy on zawsze był w Tobie?

Po prostu się pojawił. Myślę, że każda książka ma swój język. Trzy lata temu zaczęłam pracę nad kolejną powieścią i myślałam, że strumień świadomości to mój sposób na pisanie. Wtedy poczułam, że wkładam stare buty, które już na mnie nie pasują. Zrozumiałam, że każda historia przychodzi z własnym głosem i trzeba go usłyszeć.

> Uważam się za poetkę, nie powieściopisarkę. Cokolwiek robię, piszę powieść, scenariusz czy sztukę teatralną, poezja jest moim punktem wyjścia. Poszatkowany język to dla mnie wyraz wolności.

Tego szukasz w literaturze?

Zdecydowanie. Wśród moich ulubionych lektur jest poezja Julia Cortázara. Lubię pisarzy i poetów argentyńskich, brazylijskich, realizm magiczny i prozę poetycką. Kiedy otwieram książkę, najważniejszy jest dla mnie język. Historia może być wspaniała, ale jeśli sposób pisania mnie nie zainteresuje, nie czytam dalej. Lubię też Clarice Lispector. Pisze w sposób bardzo poetycki, mocny i jednocześnie wyjątkowy.

Niedawno miałam okazję poznać Itamara Vieirę Juniora, który opowiada o niewolnictwie w Brazylii. Jego książki są pełne realizmu magicznego. Pociąga mnie pisanie będące na pograniczu rzeczywistości i snu. Lubię rytuały i wszystko, co wymyka się rozumowemu poznaniu.

Zdecydowałaś się wprowadzić do „Zanim dojrzeją granaty" inne formy, m.in. listy. Czy opowieść narratorki wymagała tego rodzaju „didaskaliów"? A może to sugestia redaktorska?

To Sale zdecydował, że będzie pisał listy do swojej siostry. Niemniej, mój sposób pisania jest tak intensywny, że potrzebna była jakaś tradycyjna forma jako rodzaj pauzy, moment, byśmy wzięli oddech, i ja, i czytelnicy, zanim znów wskoczymy do rzeki tekstu.

Powieść nie była redagowana. Po prostu tak ją napisałam. Eksperymentowałam i czułam się wolna podczas tworzenia. Nie zamykam się w żadnej szufladce. Myślę, że piszący są tylko narzędziami, że kanalizujemy historie, które często nie zależą od nas. Właściwie to zazwyczaj od nas nie zależą...

Jak w takim razie wygląda Twój proces twórczy?

Praca nad książką zajmuje mi bardzo dużo czasu – lata poszukiwań, chociaż samo pisanie trwało tylko dwa miesiące. Piszę rozdział, czytam go, i to wszystko. Surowy szkic został docelową formą. Nie uważam, żeby trzeba było w niego ingerować, bo pisałam w bardzo wyjątkowym stanie przypominającym medytację. To było jak zanurzenie się w podświadomości. Nie umiem pracować w inny sposób.

A jak wyglądały te poszukiwania?

Cóż, zanim zacznę pisać książkę, dużo czytam i robię mnóstwo notatek, mam dziesiątki zeszytów, map, fotografii i innych materiałów. Ale na końcu muszę to wszystko odłożyć i po prostu działać. Jeśli chcesz czerpać z podświadomości, pisać prosto z serca, nie możesz za bardzo polegać na informacjach, bo wtedy pozwalasz, by to twój mózg pisał. Ja tego nie lubię. Wybieram inne źródło energii, które znajduje się w sercu i podświadomości. Jeśli piszesz z tego miejsca, możesz wpływać na innych bardziej, niż pisząc głową.

Wydaje mi się, że kiedy „piszesz głową", masz w niej także swoich czytelników. Chcesz zaprezentować się jak najlepiej. Gdy piszesz sercem, nie widzisz ich, tylko siebie i swoją wizję.

Dokładnie. A nie możesz myśleć o czytających, o tym, czy ktoś polubi twoją książkę. Jeśli to robisz, nie napiszesz tego, co najważniejsze. Nie możesz wejść do świata, bo jesteś poza nim. To trudne, szczególnie w dzisiejszych czasach, bo jesteśmy cały czas rozproszeni przez telefony i ciągły przepływ informacji.

Przypuszczam, że po nominacji jest jeszcze trudniej. Czujesz presję?

Tak. Napisałam około stu stron mojej nowej powieści i wszystko wyrzuciłam, bo chociaż to było dobre, naprawdę dobre, wszystko napisałam mózgiem. Nie czułam tego. Obiecałam samej sobie, że nie napiszę nic, czego nie będę naprawdę czuła.

© Rozmawiała ANNA CIARKOWSKA

O pożytkach płynących z przyjaźni

FILIP FIEREK

Wyobraźmy sobie świat, w którym przyjaźń stanowi zasadę istnienia określającą nasz stosunek do rzeczywistości. A potem pójdźmy o krok dalej, w stronę praktykowania tej utopii, jak proponuje Geoffroy de Lagasnerie.

W książkach „Ćwiczenia duchowe i filozofia starożytna" oraz „Czym jest filozofia starożytna?" Pierre Hadot pyta o źródło niespójności w pismach antycznych myślicieli. Dlaczego dialogi Platona wzajemnie sobie przeczą? Dlaczego tak trudno pogodzić sensy poszczególnych traktatów Arystotelesa? Poszukiwanie odpowiedzi na te pytania prowadzi francuskiego historyka do nowej definicji filozofii starożytnej, skrajnie odmiennej od wyobrażeń na jej temat, do których przyzwyczaiła nas nowoczesność.

Po co nam filozofia?

Filozofia starożytna, twierdzi Hadot, bardziej niż sztuką prowadzenia zwartego, logicznego wywodu była formą życia. Wprawdzie jedno nie mogło obyć się bez drugiego – to, co filozof głosił w Akademii czy na ulicach greckiej *polis*, wynikało wprost z wyboru określonej postawy egzystencjalnej, z kolei wybór ten szukał dla siebie uzasadnienia w tym, co rozumowe – pierwszeństwo zawsze miała jednak praktyka życiowa. Stoik usiłował żyć na co dzień „według reguły jednej i harmonijnej", zgodnie z tym, czego nauczał słuchaczy; epikurejczyk, głoszący konieczność wyrzeczenia się wszelkich pragnień poza podstawowymi, starał się być wzorem dla swoich uczniów także poza murami szkoły.

Średniowiecze i nowożytność przyniosły fundamentalną zmianę w postrzeganiu filozofii. Pojęcie formy życia ustąpiło miejsca koncentracji na czystej teorii, do której często ograniczano cel i sens jej filozofowania. Ślady dawnego podejścia zachowały się jednak u niektórych późniejszych myślicieli: Nietzschego, Wittgensteina, nawet Kanta, a zwłaszcza u tych spoza oficjalnych obiegów wiedzy. Przywołuję tu przełomowe rozpoznania Hadota, ponieważ filozofii wcielonej w życie w takim stopniu, że dyskurs stapia się z praktyką w niemal nierozróżnialną całość, hołduje w eseju „We trzech" Geoffroy de Lagasnerie.

Wspólna sprawa

Punktem odniesienia dla tej analizy przyjaźni jest prywatne doświadczenie francuskiego socjologa i filozofa – relacja, jaka łączy go z Didierem Eribonem i Édouardem Louisem. De Lagasnerie tak rekonstruuje jej początki: Didier, będący już w związku z Geoffroy, poznał Édouarda w roku akademickim 2010/11, gdy wykładał na uniwersytecie w Amiens. Szybko poczuli do siebie sympatię: „Édouard opowiadał Didierowi o swoim dzieciństwie, a Didier, by lepiej go poznać, zadawał mu wiele pytań. Nie pomylę się – pisze de Lagasnerie – twierdząc, że te rozmowy dały Édouardowi sposobność, by po raz pierwszy wspomnieć o homofobii, która tak mocno naznaczyła pierwszą część jego życia" (tłum. Jacek Giszczak). Choć de Lagasnerie nie pamięta ich inicjalnego spotkania we trójkę, dość szybko zaczęli widywać się regularnie, najpierw w kawiarni Le Select na Montparnassie, potem w innych miejscach w Paryżu.

Stopniowo ich przyjaźń stała się „zasadą istnienia, która określa nasz stosunek do przestrzeni i czasu, do instytucji, do innych ludzi". De Lagasnerie opisuje w „We trzech" wspólne życie, jakie od tamtego czasu prowadzą: regularne spotkania, wsparcie w pracy intelektualnej, wspólne podróże, wzajemne redagowanie i recenzowanie swoich książek. Słowem, relacja przyjacielska stała się dla Geoffroy, Didiera i Édouarda centrum ich codziennego doświadczenia.

Esej, o którym tu mowa, to z jednej strony swoista fenomenologia przyjaźni jako formy życia, z drugiej – próba określenia na nowo horyzontu możliwych relacji społecznych, innych niż te oparte na więzach krwi. De Lagasnerie, odwołując się do tradycji szkoły frankfurckiej i francuskiej teorii krytycznej, stawia przed sobą co najmniej dwa cele: po pierwsze, przyjrzeć się uważnie tradycyjnemu pojęciu rodziny i temu, co ono za sobą pociąga; po drugie, zaproponować mniej konserwatywną i opresyjną alternatywę dla takiego modelu współistnienia z innymi. Na licznych przykładach pokazuje, jak reakcyjna ideologia familizmu przenika niemal wszystkie sfery życia.

Założenie rodziny często równa się zerwaniu dotychczasowych relacji przyjacielskich, tak jakby te ostatnie mogły należeć wyłącznie do czasów młodości. To przede wszystkim do osób mających współmałżonków i dzieci dostosowuje się harmonogram funkcjonowania rozmaitych instytucji. Podczas pandemii państwo inaczej – preferencyjnie – traktowało kontakty między członkami rodziny, a inaczej – dyskryminująco – kontakty między przyjaciółmi. Istnieje utarta norma, że to z krewnymi należy spędzać święta Bożego Narodzenia czy Wielkanocy. Kto się jej przeciwstawia, naraża się na krytykę.

Przyjaźń, przeciwnie, „funkcjonuje jako siła opozycyjna wobec mechanizmów wtłaczania w określone ramy i role i pozwala pozostawać na zewnątrz utrwalonych form egzystencji". ↦

Najbardziej osobisty esej de Lagasneriego w całym jego dorobku jest zarazem manifestem, tekstem zorientowanym na zewnątrz, grającym o wysokie stawki społeczne i polityczne.

MARTIN BUREAU / AFP / EAST NEWS

↦ Dzięki niej możemy wymknąć się logice opresji, oprzeć swoje „ja" na autonomicznych regułach, ustanowić siebie na nowo w dobrowolnej relacji z drugą osobą, wbrew społecznym nakazom. Owo wymknięcie się nie ma jednak nic wspólnego z zamknięciem w wieży z kości słoniowej, bo praktykowanie przyjaźni, wymagające wyrzeczeń i stawiania czoła utartym schematom (zwłaszcza w społeczeństwach konserwatywnych, takich jak nasze), to nieustannie ponawiany akt nieposłuszeństwa, wyzwanie rzucane wciąż od nowa familistycznej normie. W konsekwencji, jeśli uznamy, że istnieje odpowiedniość między relacjami pojedynczymi a ogółem stosunków społecznych, przyjaźń otwiera przed nami perspektywę mniej represyjnych form życia politycznego.

Pożądana utopia

Próba pisania o przyjaźni z tak intymnego punktu widzenia wystawia książkę de Lagasneriego na rozmaite zarzuty. Ktoś mógłby powiedzieć – i rzeczywiście takie głosy podniosły się po polskiej premierze „We trzech" – że jego esej jest co najwyżej opisem indywidualnego doświadczenia paryskiego dandysa, zupełnie nieprzekładalnym na język polityki, a więc bezużytecznym. Lub, z innej strony: że autor, który wychodzi od własnego, niemożliwego przecież do powielenia doświadczenia, by upomnieć się o inne urządzenie świata, roztacza przed czytelnikiem wizję utopijną, a przez to szkodliwą.

Jeśli jednak esej de Lagasneriego jest utopijny, to w najlepszym tego słowa znaczeniu. Utopijność tego projektu rozumiem tak, jak w „Zemście wyobraźni" Jerzy Franczak (podążając za intuicjami Rutgera Bregmana i Frederica Jamesona) określił ambicje towarzyszące działaniom pierwszych surrealistów. Sens utopii – twierdził Bregman – zawiera się w tym, iż przedstawia ona pewną wartość regulatywną, jest próbą innego pomyślenia przyszłości i „jak najszerszego otwarcia naszych horyzontów". Nie chodzi o to, by taka wizja spełniła się co do joty, lecz o to, by była dla nas punktem nawigacyjnym, do którego wprawdzie nie da się dotrzeć, ale mimo to warto próbować. Z kolei w ujęciu Jamesona: utopia może stanowić zakłócenie bezrefleksyjnego obiegu znaczeń, obrazów, praw i tożsamości. Jeśli więc ktoś zarzuca de Lagasneriemu, że mówi „od rzeczy", chcę zauważyć, że nie-do-rzeczność jego przedsięwzięcia wynika jedynie z tego, jak daleki od ideału jest obecny porządek społeczny.

Jeżeli zaś chodzi o rzekomą wsobność projektu de Lagasneriego, w jego eseju pobrzmiewają raczej echa starożytnej „troski o siebie", tak ważnej dla późnego Foucaulta. De Lagasnerie nigdzie nie mówi: żyj jak ja. Sugeruje jedynie, że warto rozważyć inne życie. Antyczna „kultura siebie" tylko w pierwszym ruchu opiera się na zwrocie ku własnej jaźni. Wbrew stereotypowi, zgodnie z którym filozofia starożytna głosiła potrzebę wycofania się jednostki w głąb siebie, jej ostatecznym celem jest, jak twierdzi Hadot, zawsze coś zgoła przeciwnego – przekroczenie siebie ku całości, kosmosowi, innemu. Antyczni filozofowie tak naprawdę nigdy nie zrezygnowali z ambicji wpływania na państwo i społeczeństwo – „troska o siebie" była dla nich ramą znacznie szerszego namysłu.

Podobnie jest u de Lagasneriego, choć na początku czytelnicy mogą odnieść wrażenie, że mają do czynienia z myślą skupioną na własnym „ja". Nic bardziej mylnego. „Troska o siebie" skutkuje tu wychyleniem się ku przyjacielowi, wyrzeczeniem się, jeśli to konieczne, własnego interesu dla jego dobra, a jako dyskurs służy przemianie całego społeczeństwa. Najbardziej osobisty esej de Lagasneriego w całym jego dorobku jest zarazem manifestem, tekstem zorientowanym na zewnątrz, grającym o wysokie stawki społeczne i polityczne.

Przyjaźń jako forma życia

De Lagasnerie nie wspomina o Hadocie, a teksty starożytne cytuje zaledwie kilka razy, zazwyczaj po to, by natychmiast je skontrować. Mimo to próba odnalezienia ukrytych antycznych inspiracji w jego eseju nie wydaje mi się pozbawiona podstaw. Michel Foucault pod koniec życia, gdy już porzucił badania nad nowoczesnymi formami ujarzmiania i systemami władzy/wiedzy i zwrócił się ku starożytnej Grecji i Rzymowi, by tam poszukiwać odpowiedzi na pytanie o inne tryby kształtowania podmiotowości, opublikował krótki tekst pod znamiennym tytułem „De l'amitié comme mode de vie" („O przyjaźni jako sposobie życia")..

Symptomatyczny jest fakt, że w kontekście współczesnej walki o emancypację środowisk homoseksualnych odwołuje się w nim do starożytnego pojęcia ascezy

MARTIN BUREAU / AFP / EAST NEWS

WAECHTER / BE&W

Na sąsiedniej stronie:
GEOFFROY DE LAGASNERIE (ur. 1981) jest filozofem, autorem książek na temat sztuki, kultury i życia intelektualnego, filozofii społecznej i politycznej oraz teorii krytycznej, m.in. „L'Art de la révolte" (Sztuka buntu), „L'âme noire de la démocratie" (Mroczna dusza demokracji).

Obok:
ÉDOUARD LOUIS (ur. 1992) jest pisarzem, który za debiutancką powieść „Koniec z Eddym" otrzymał nominację do Nagrody Goncourtów. Ta i kolejne książki ukazały się w przekładzie Joanny Polachowskiej nakładem Wydawnictwa Pauza. Jesienią zostaną opublikowane jego nowe tytuły: „Krach" i „Monique ucieka".

Poniżej:
DIDIER ERIBON (ur. 1953) jest socjologiem i filozofem. Napisał kilkanaście pozycji poświęconych socjologii, filozofii, historii idei oraz *gender studies*. Nakładem wydawnictwa Karakter ukazały się książki: „Powrót do Reims" (tłum. Maryna Ochab) oraz „Życie, starość i śmierć kobiety z ludu" (tłum. Jacek Giszczak).

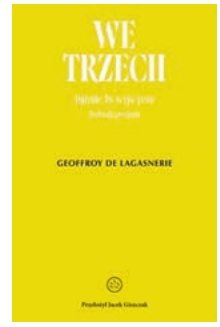

Esej **WE TRZECH. DĄŻENIE, BY WYJŚĆ POZA. POCHWAŁA PRZYJAŹNI** ukazał się nakładem Wydawnictwa Drzazgi w tłumaczeniu Jacka Giszczaka w 2025 r.

jako ćwiczenia duchowego. Postawione przez Foucaulta pytanie o użytek, jaki krytyczna teoria kultury może czerpać z tradycji filozofii antycznej, oraz o to, czy ta tradycja może oferować nam inne ramy kształtowania podmiotowości, pozostaje otwarte. Pewne jest za to, że de Lagasnerie powraca do korzeni europejskiej filozofii, zespalając ją z samym życiem, a w konsekwencji także z doświadczeniem śmierci i nicości. Pod tym względem znaczący jest ostatni rozdział „We trzech", w którym autor – idąc za Pierre'em Bourdieu – stwierdza, że „głównym celem ludzkiej egzystencji jest próba wyrwania się z przypadkowości i bezcelowości, znalezienie racji bytu, uzasadnienie naszego istnienia". Centralny punkt życia społecznego stanowią więc instytucjonalne rytuały, takie jak przyznawanie tytułów, mianowanie na stanowiska, pasowanie na rycerza czy obrzezanie. Wszystkie te akty obdarzają jednostkę poczuciem sensu i ważności, potwierdzają, że „jej przeznaczeniem jest raczej być czymś niż niczym".

Problem w tym, że w naszych społeczeństwach głównym dysponentem sensu, którym obdarza się jednostkę, jest państwo – to ono rozdaje medale i ordery, maskując tym samym absurd ludzkiej egzystencji. De Lagasnerie pyta, czy można sobie wyobrazić jakiś inny porządek uznania, a właściwie – czy da się pomyśleć życie poza potrzebą uznania. I stwierdza – znów: niemal tak samo, jak starożytni – że odpowiedzią na tragiczną wizję życia, nieodzownie kończącego się śmiercią, mogłaby być jego czysta afirmacja, uwolnienie się od zewnętrznych źródeł sensu i „budowanie na własnych fundamentach". To właśnie można osiągnąć dzięki przyjaźni. © FILIP FIEREK

Program główny 18. edycji Festiwalu Conrada

Poniedziałek, 19 października

- **16:00**
  Kobieta z Sarajewa
  MELIHA VAREŠANOVIĆ,
  MARCIN WOLNY
  Prowadzenie: Magdalena Koch

- **18:00**
  Żyć to wzniecać paradoksy
  DAVID CAMUS,
  BASIL KERSKI,
  JOANNA OSTROWSKA
  Prowadzenie: Maciej Kałuża

- **20:00**
  Bunt (wobec) maszyn
  JACEK DUKAJ
  Prowadzenie: Paulina Frankiewicz

Wtorek, 20 października

- **14:00**
  Wywrotowcy – historia Zdzisława Najdera (i Josepha Conrada)
  ZBIGNIEW GLUZA
  prowadzenie: Jacek Stawiski

- **16:00**
  Poezja w kapturze
  RYSZARD „PEJA" ANDRZEJEWSKI,
  ANNA „RYFA RI" WILCZKOWSKA
  Prowadzenie: Sebastian Frąckiewicz

- **18:00**
  Mieć i być
  BECCA ROTHFELD
  Prowadzenie: Olga Drenda

- **20:00**
  Dzikość serca
  ANNELI JORDAHL
  Prowadzenie: Agnieszka Wenderska

Środa, 21 października

- **14:00**
  Książki na indeksach
  URSZULA GLENSK,
  AGNIESZKA GRAFF,
  ADAM LIPSZYC
  Prowadzenie: Monika Świerkosz

- **16:00**
  Wyprawa do jądra ciemności
  AURÉLIEN LOZES,
  NICOLAS PRESL
  Prowadzenie: Elżbieta Janota

- **18:00**
  Prawdziwa legenda Sylvii Plath
  EMILY VAN DUYNE
  Prowadzenie: Michał Choiński

- **20:00**
  Droga do siebie
  HISHAM MATAR
  Prowadzenie: Łukasz Wojtusik

Czwartek, 22 października

- **14:00**
  Magowie kontrkultury
  ZBIGNIEW LIBERA,
  DANIEL MUZYCZUK
  Prowadzenie: Monika Ochędowska

- **16:00**
  Na przekór oczekiwaniom
  SOPHIE GILBERT,
  BEGOÑA GÓMEZ URZAIZ
  Prowadzenie: Paulina Rzymanek

- **18:00**
  „Nigdzie", które staje się „gdzieś"
  BEATA BALOGOVÁ,
  ANASTASIA LEWKOWA
  Prowadzenie: Zbigniew Rokita

- **20:00**
  Co dzień jedna więcej
  CRISTINA RIVERA GARZA
  Prowadzenie: Tomasz Pindel

Piątek, 23 października

- **15:00**
  Spotkanie z finalist(k)ami Nagrody Conrada
  Prowadzenie: Natalia Królikowska

- **17:00**
  Własnym głosem
  OLGA TOKARCZUK
  Prowadzenie: Grzegorz Jankowicz

- **18:00**
  Imperium kłamstwa
  TOMMY WIERINGA
  Prowadzenie: Jagoda Gawliczek

- **20:00**
  Przyjaźń na sztandarach
  DIDIER ERIBON, GEOFFROY DE LAGASNERIE, ÉDOUARD LOUIS
  Prowadzenie: Marek Bieńczyk

Sobota, 24 października

- **12:00**
  Anubis po stronie życia
  JOANNA KARPOWICZ
  Prowadzenie: Joanna Piechura

- **14:00**
  Nieugięty i nieposłuszni
  SZCZEPAN TWARDOCH
  Prowadzenie: Tadeusz Marek

- **16:00**
  Z powieścią w zaciśniętej pięści
  NATHACHA APPANACH
  Prowadzenie: Carolina Pietyra

- **19:00**
  Gala Nagrody Conrada

Niedziela, 25 października

- **11:00**
  Spotkanie z laureatem/laureatką Nagrody Conrada
  Prowadzenie: Anna Cieplak

- **12:30**
  Z powodu niezgody
  JUAN GABRIEL VÁSQUEZ
  Prowadzenie: Katarzyna Kobylarczyk

- **14:30**
  Prawda (o)powieści
  HORACIO CASTELLANOS MOYA, ARTUR DOMOSŁAWSKI
  Prowadzenie: Magda Melnyk

- **16:30**
  Prawa młodości
  RENE KARABASZ, MAHSA MOHEBALI
  Prowadzenie: Aleksandra Samonek

- **18:30**
  Między czasem
  CHRISTOPH RANSMAYR
  Prowadzenie: Paulina Frankiewicz

Rozmowy Ludzi „Kultury"

- **wtorek, 20 października, 16:00**
  Pankowski: **JAN BURNATOWSKI, KARINA JARZYŃSKA, NATALIA MALEK**

- **środa, 21 października, 16:00**
  Lipski: **AGNIESZKA MACIEJOWSKA, PIOTR PAZIŃSKI, ANTONI ZAJĄC**

- **czwartek, 22 października, 16:00**
  Stempowski: **JACEK HAJDUK, ELIZA KĄCKA, ANDRZEJ STANISŁAW KOWALCZYK**

- **piątek, 23 października, 16:00**
  Haupt: **ZOFIA KRÓL, PAWEŁ PANAS, PAWEŁ SOŁTYS**

Lekcje czytania

- **poniedziałek, 19 października, 12:00**
  Artur Madaliński o twórczości Feliksa Netza

- **wtorek, 20 października, 12:00**
  Katarzyna Kubisiowska o „Grzecznej" Gro Dahle i Sveina Nyhusa

- **środa, 21 października, 12:00**
  Paulina Frankiewicz o „Obcym" Alberta Camusa

- **czwartek, 22 października, 12:00**
  Aleksandra Korczak o „Królewnie Śnieżce" braci Grimm

- **piątek, 23 października, 12:00**
  Urszula Honek o poezji Julii Hartwig

CONRADFESTIVAL

Dowiedz się więcej na **conradfestival.pl/program**

Tu możesz mówić o miłości

MAGDA MELNYK

W twórczości Cristiny Rivery Garzy fakt miesza się z fikcją, poezja z reportażem, a opowieść, choć osobista, nosi ślady politycznego manifestu. Jedna z najważniejszych meksykańskich pisarek wreszcie pojawi się w Polsce.

Zadebiutowała w 1999 r. powieścią „Nadie me verá llorar" (Nikt nie zobaczy, jak płaczę) opartą na prawdziwej historii kobiety zamkniętej w szpitalu psychiatrycznym w Meksyku na początku XX wieku. Książka o granicach szaleństwa, pamięci, tożsamości i opresyjności systemu zachwyciła rodzimego prozaika Carlosa Fuentesa, który szybko okrzyknął Cristinę Riverę Garzę „objawieniem".

Kolejne przekłady jej dzieł gruntowały pozycję pisarki w Stanach Zjednoczonych, w których autorka mieszka od lat dziewięćdziesiątych. Uznanie międzynarodowej publiczności przyniosła jej natomiast samodzielnie przetłumaczona na angielski książka „El invencible verano de Liliana", za którą w 2024 r. otrzymała Nagrodę Pulitzera. Po „Niezniszczalne lato Liliany" w tłumaczeniu Aleksandry Wiktorowskiej będziemy mogli sięgnąć już jesienią.

Co dzień jedna więcej

W lipcu 1990 r. dwudziestoletnia siostra Cristiny – Liliana Rivera Garza – padła ofiarą swojego byłego zaborczego partnera. Kobieta i jej rodzina nigdy nie doczekały się sprawiedliwości i skazania sprawcy. Za powstaniem książki, o której tu mowa, stoi niezgoda na przemilczenie tej historii.

Do morderstwa doszło w czasach, kiedy meksykańskie prawo podobne akty przemocy klasyfikowało bardzo ogólnie, jako *crimen de pasión*, czyli odpowiednik polskiej zbrodni w afekcie. Największe znaczenie dla wyodrębnienia kategorii zabójstwa ze względu na płeć w Meksyku miał wyrok Międzyamerykańskiego Trybunału Praw Człowieka z 2009 r., w którym uznano, że państwo nie posiada mechanizmów gwarantujących ofiarom dążenie do sprawiedliwości. Wieńczył on sprawę związaną z falą zabójstw kobiet w Ciudad Juárez trwającą od 1993 r. Orzeczenie, a także długotrwałe naciski społeczne doprowadziły do nazwania tego rodzaju zbrodni kobietobójstwem (*feminicidio*) i uwzględnieniem go w prawie federalnym. Zmiana języka – w tym wypadku bezpośrednie wskazanie na płeć jako motywację do dokonania morderstwa – stanowi więc pierwszy krok do przedefiniowania rzeczywistości. Według oficjalnych źródeł, obecnie każdego dnia ofiarami kobietobójstwa padają od jednej do dwóch, natomiast według statystyk organizacji pozarządowych: nawet od dziesięciu do jedenastu kobiet.

Kiedy w 2019 r. Cristina Rivera Garza wraca do stolicy Meksyku, by oficjalnie wznowić śledztwo w sprawie śmierci swojej siostry, opinia publiczna żyje sądowym zwycięstwem Araceli Osorio – matki Lesvy, której ciało odnaleziono dwa lata wcześniej na kampusie uniwersyteckim. Mimo że 22-latka została uduszona kablem z budki telefonicznej, lokalne władze próbowały zatuszować sprawę, sugerując samobójstwo. Nie bez znaczenia pozostaje fakt, że do publicznej wiadomości podawano krzywdzące informacje na temat życia prywatnego zamordowanej dziewczyny. Wydarzenia te wywołały falę protestów i przyczyniły się do rozpoczęcia kampanii #SiMeMatan (#JeśliMnieZabiją), mającej na celu walkę z obarczaniem ofiar winą i odpowiedzialnością za przemoc, której doświadczają.

Prawda i pamięć

Do sprawy Lesvy Berlín Osorio meksykańska pisarka nawiązuje w „Niezniszczalnym lecie Liliany", podkreślając niezłomną postawę matki, której walka z wymiarem sprawiedliwości przyniosła konkretny rezultat. Morderca stanął przed sądem i został prawomocnie skazany. Niestety, w Meksyku taki wyrok to nadal wyjątek.

Ángel González Ramos, były partner siostry Cristiny, na którego sprawstwo jednoznacznie wskazują zeznania świadków oraz inne dowody, zbiegł zaraz po popełnieniu zbrodni i zmieniwszy tożsamość, wiódł beztroskie życie. Postawienie go przed sądem było niemożliwe. Zdaniem Rivery Garzy sprawiedliwość nie ogranicza się jednak wyłącznie do wymierzenia kary w sensie prawnym.

Na przekór wszechobecnej pobłażliwości wobec sprawców, aktami zadośćuczynienia stają się dla niej walka o prawdę i podtrzymywanie pamięci o ofiarach. W eseju „¿De qué se ríe el feminicida?" (Z czego śmieje się kobietobójca?) pisarka przekonuje: „Za każdym razem, gdy widzę, w jaki sposób czytelnicy przyjmują »Lilianę«, mówię sobie, że wszyscy razem uczestniczymy w bardziej rozległej, być może nawet kosmicznej sprawiedliwości, polegającej na tym, że dzięki wspólnej i walczącej pamięci pozostaje ona tutaj, obecna" (tłum. własne).

Cristina Rivera Garza staje w jednym szeregu z kobietami, które postanowiły zawalczyć o nazywanie przemocy i jej sprawców po imieniu, zarówno w społecznej świadomości, jak i w jurysdykcji.

Otwieranie szuflad

Jury Nagrody Pulitzera zaklasyfikowało jej książkę do kategorii literatury wspomnieniowej i autobiografii, jednak takie ramy gatunkowe są sporym uproszczeniem. „Niezniszczalne lato Liliany" zawiera pisaną z osobistej perspektywy kronikę wydarzeń, które rozegrały się w stolicy Meksyku ponad trzydzieści lat temu. Jest również sprawozdaniem ze śledztwa prowadzonego współcześnie przez autorkę oraz hymnem na cześć życia.

W swojej twórczości Cristina Rivera Garza miesza fakt z fikcją, poezję z reportażem, a jej opowieść, mimo że osobista, nosi ślady politycznego manifestu. Choć w „Niezniszczalnym lecie Liliany" opisuje prawdziwe wydarzenia, nie przestaje eksperymentować z formą. W efekcie

BASSO CANNARSA / OPALE / EAST NEWS

CRISTINA RIVERA GARZA (ur. 1964) jest nagradzaną meksykańską prozaiczką, poetką, eseistką i wykładowczynią na Uniwersytecie w Houston. Mieszka w Stanach Zjednoczonych. Jej książka „Niezniszczalne lato Liliany" znalazła się w finale National Book Award, a w 2024 roku otrzymała Nagrodę Pulitzera.

otrzymujemy wielogłosową, achronologiczną i uwzględniającą różne punkty widzenia narrację. Autorka nie pozostawia jednak wątpliwości co do tego, kto jest tu najważniejszy: życie młodszej siostry opowiada z jej perspektywy. Udaje się to dzięki pamiętnikom i licznym zapiskom Liliany, które przez trzy dekady pozostawały zamknięte w pudłach chroniących wspomnienia o ukochanej siostrze i córce. Stały się one materiałem źródłowym, zaświadczającym o ostatnich latach życia kobiety, które Cristina odtwarza ze skrupulatnością archiwistki.

Rivera Garza nie jest pierwszą meksykańską pisarką, która, wychodząc od osobistego doświadczenia, tworzy feministyczny manifest wymierzony w państwo zawodzące swoich obywateli. Za prekursorkę literatury zaangażowanej uznaje się tam Rosario Castellanos. Przez Elenę Poniatowską, również podejmującą w swojej twórczości zagadnienia wykluczenia i społecznej roli kobiet, została ona nazwana „katedrą meksykańskiej literatury", która mimo zmieniających się czasów inspiruje kolejne pokolenia. To właśnie cytatem z poematu Castellanos Garza rozpoczyna opowieść o Lilianie: „Tutaj, pod tą gałęzią, możesz mówić o miłości. Tam dalej leży prawo, potrzeba, tor sił, domena horroru. Bastion kary. Tam dalej – nie" (tłum. Aleksandra Wiktorowska).

Czyhające miasto

Stolica Meksyku odgrywa w tej historii rolę pełnoprawnego bohatera i, podobnie jak w wierszu Castellanos, funkcjonuje jako strefa terroru. Ramię w ramię z autorką powracamy do miasta będącego nie tylko świadkiem tragedii, ale również jej współsprawcą. Sporo miejsca poświęcone zostało tu opisowi poszczególnych dzielnic, a głównym kryterium w ich ocenie stanowi poziom bezpieczeństwa w każdej z nich.

Miasto nawet na chwilę nie pozwala tracić czujności, szczególnie w towarzystwie mężczyzn. Kiedy kierowca taksówki proponuje zmianę trasy, Cristina wraz z przyjaciółką głośno się temu sprzeciwiają. Sytuacja zmienia się, gdy kolejne auto, do którego wsiadają, prowadzi kobieta – automatycznie czują ulgę, chronią się „pod gałęzią", pozwalając sobie na wyrażenie emocji.

Być może nasze drogi przecięły się, kiedy w 2019 r. przemierzałam te same ulice stolicy Meksyku, co Cristina Rivera Garza. Zbierałam materiały do książki o Elenie Poniatowskiej, codziennie odwiedzając ją w dzielnicy Chimalistac. Nieustannie słyszałam, by zachować ostrożność podczas przemieszczania się po mieście; zachód słońca wyznaczał moment, po którym bezwzględnie powinnam być w domu. Na monitorach zainstalowanych w autobusach, do których wsiadałam, wyświetlano informacje o osobach zaginionych, bezskutecznie poszukiwanych przez bliskich. Twarze, które pojawiały się w tych ogłoszeniach, towarzyszyły mi oraz pozostałym podróżnym, wzmagając stan ciągłego zagrożenia. Przestrzeń publiczna w Meksyku jest stale podszyta groźbą przemocy, wymierzonej zwłaszcza w kobiety.

Niezniszczalna, niezwyciężona

Liliana Rivera Garza większość życia spędziła w Toluce, mieście położonym w niedużej odległości od stolicy Meksyku. Miała wielu przyjaciół i krewnych, intensywnie przeżywała pierwsze zadurzenia i miłosne rozterki, z zaangażowaniem opisując swoje doświadczenia. Przywiązanie do innych wyrażała głośno i namiętnie, z młodzieńczą egzaltacją, za to jej smutek szybko przeradzał się w rozpacz, od której próżno szukać ucieczki.

Z Ángelem Gonzálezem Ramosem zaczęła spotykać się w wieku nastoletnim, ↦

↦ po dwóch latach jego starań. Pierwsze drobne nieporozumienia z czasem eskalowały, a zaborczość chłopaka prowadziła do agresji psychicznej i fizycznej kierowanej w stronę Liliany. Dziewczyna długo ignorowała bliskich odradzających jej kontynuowanie związku, jednak po wyjeździe na studia architektoniczne do stolicy Meksyku stawała się coraz bardziej świadoma swojego zagrożenia. Jej notatki z tego okresu są pełne wątpliwości, chęci samostanowienia i przerwania toksycznej relacji, a także kwestionowania miłości jako takiej.

Z przytaczanych przez Cristinę zapisków siostry wyłania się postać zachłannej na życie, uosabiającej młodzieńczą radość i ufność, pełnej ambicji, snującej odważne plany na przyszłość dziewczyny. „W środku zimy zrozumiałem wreszcie, że mam w sobie niezniszczalne lato" (tłum. Maria Leśniewska). Autorka znalazła tę myśl Alberta Camusa w jednej z ostatnich notatek zmarłej. Hiszpańskie *invencible* z „El invencible verano de Liliana" można tłumaczyć jako „niezwyciężone" lub „niezniszczalne". Te określenia trafnie oddają postawę obu sióstr. Liliana walczyła o swoją niepodległość do końca.

W epilogu Rivera Garza opowiada o przebytej drodze, umożliwiającej jej wyjście ze stanu odrętwienia, w jakim trwała od momentu śmierci najbliższej osoby. Siłę odnalazła dzięki pływaniu. Powrót do współdzielonej z siostrą w dzieciństwie rutyny, przerwanej w dorosłym życiu, okazał się dla niej oczyszczający.

Pływanie było częścią także mojej codzienności i wiem, jak ogromną moc daje zanurzenie się w jeziorze, morzu czy oceanie. Woda wyłącza nas z kontekstu społecznego, obmywa z płci, wieku i rasy. Patriarchalne społeczeństwo i jego pułapki, zostając na brzegu, tracą na sile. Dzięki wodzie powrót do pierwotności i czasów dzieciństwa staje się możliwy, a bliskość z naturą nie ogranicza, lecz daje wolność.

„Liliana to imię, które nadałam swojej wolności" – zapisała Cristina Rivera Garza i myślę, że jest to ten rodzaj wewnętrznego wyzwolenia, o które zawalczyć powinna każda z nas.

© MAGDA MELNYK

Niezniszczalne lato Liliany

Przedpremierowo prezentujemy fragment książki Cristiny Rivery Garzy „Niezniszczalne lato Liliany", która ukaże się we wrześniu 2026 roku nakładem wydawnictwa ArtRage w tłumaczeniu Aleksandry Wiktorowskiej. Tytułowi patronuje Festiwal Conrada.

Czy Ángel szukał Liliany tego letniego poranka, mając konkretny i ostateczny plan, by ją zabić, zakończyć jej życie raz na zawsze, wypełniając tym samym nakaz toksycznej męskości? A może Ángel działał z dziką, ale wciąż niejasną ideą, by wtajemniczyć ją w pedagogikę okrucieństwa, wymierzając przykładną karę, która pozostawiłaby ją przy życiu, ale naznaczyła jego znakiem posiadania? Cisza, która nie mogła obudzić sąsiadów, potwierdzałaby pierwszą teorię, a fakt, że sprawca poprosił o pomoc narkomanów, ujawniając swoją tożsamość, drugą. Wynik jest taki sam w obu przypadkach. Ángel dopuścił się przerażającej, śmiertelnej przemocy wobec ciała mojej siostry, kierowany, jak słusznie odnotował dziennikarz Tomás Rojas Madrid, nienawiścią. Nienawiścią do płci. Nienawiścią do niezależności i wolności kobiet. Nienawiścią do Liliany, studentki uniwersytetu, która zawsze opowiadała się po stronie miłości.

Odpowiedzi jest niewiele, a fakty są niepodważalne: od trzydziestu lat tęsknię za Lilianą każdego dnia, a w ciągu każdego z tych dni – każdej godziny. A w ciągu każdej godziny tęsknię w każdej minucie. I w każdej sekundzie. Żałoba po stracie bliskich, ukochanych kobiet, które zginęły w wyniku przemocy ze strony partnera, jest sprawą zawiłą. Jak słusznie zauważa Snyder w „Śladów pobicia brak", osoby, którym udało się przeżyć, często z niespotykaną surowością obwiniają siebie, swoje zaniedbania lub ślepotę. Nie uchroniły tego, co najbardziej kochały; nie dostrzegły tego, co powinno być oczywiste i co działo się na ich oczach, nie powstrzymali drapieżnika. Ból, który nie oddziela się ani o milimetr od poczucia winy i wstydu, zatrzymuje je, jeszcze zanim żałoba zdąży się rozpocząć, w nieokreślonej przestrzeni, gdzie słowa tracą znaczenie, a więź z innymi i ze światem zewnętrznym stopniowo zanika. Rodziny uciekają w głąb siebie, ukrywając się nawet przed sobą. Jakie mają prawo domagać się sprawiedliwości, skoro same nie były w stanie ochronić swoich bliskich, swojej bliskiej, przed niebezpieczeństwem?

Co więcej, system obwiniania ofiary zaczyna działać, gdy rany są jeszcze świeże, i nie ustaje przez długie lata. Jest to bezlitosna, miażdżąca machina. Działa bez zarzutu i daje o sobie znać szmerem szeptów: gdyby tylko nie pozwolili jej pojechać do stolicy, gdyby nie zaczęła umawiać się na randki w tak młodym wieku, gdyby miała lepszy gust, gdyby poczekała z seksem do ślubu, gdyby podjęła lepszą decyzję, gdyby się nie pomyliła. Obojętne, ile czasu upłynęło, dobrze naoliwiony mechanizm działa nieprzerwanie wśród tych, którzy wytykają, że rodzice dużo czasu spędzali poza domem, matka pracowała, ojciec nie dawał córce wystarczająco dużo pieniędzy, chłopcy ją osaczali i nawet kobiety jej pragnęły. Daje o sobie znać w podejrzanych spojrzeniach i wymuszonych uśmiechach. We współczuciu. Działa wśród tych, którzy czując się bezpieczni, wytyczają moralną linię, która nas od was oddziela. W usil-

nym, natarczywym, kategorycznym żądaniu, by obwinić ofiarę, a ciebie razem z nią. W usilnym, natarczywym, kategorycznym żądaniu, by za wszelką cenę uniewinnić mordercę.

Nie uczysz się milczeć, jesteś zmuszana do milczenia.

Brutalnie uciszana.

Przez wiele lat nie wiedziałam, co odpowiedzieć na pytanie, ile mam rodzeństwa. Drżałam na samą myśl, że mogłabym je usłyszeć. A odpowiedź, kiedy decydowałam się jej udzielić, przypominała prawdziwy miszmasz: kiedyś miałam siostrę, ale już nie mam, nie miałam już jej, ale zawsze będę ją miała, miałam siostrę, miałabym siostrę, ale... Po pierwszym niezręcznym momencie, jeśli pytający nie miał manier bądź empatii, padały kolejne pytania: była starsza czy młodsza? W obawie, że później zacznie dociekać jak, kiedy i dlaczego, wolałam spuścić wzrok i odejść. Z czasem dałam za wygraną. Mówiłam, że nie mam rodzeństwa, żeby nie płakać, nie stwarzać fałszywego poczucia zaufania, nie musieć niczego tłumaczyć, nie musieć się bronić, a przede wszystkim – bronić jej. Albo w ogóle nie odpowiadałam. Zmiana tematu to umiejętność, której człowiek uczy się z czasem.

Tak było przez wiele lat.

W wierszu „Do smutnej córki" Michael Ondaatje czule zwraca się do swojej szesnastoletniej latorośli. Słodko-gorzki, nostalgiczny wiersz opowiada o typowej relacji między rodzicami i dziećmi w okresie dorastania: o drogach, które się rozchodzą, o poszukiwaniu własnej tożsamości, które oddala nastolatka od domu, o uzasadnionym buncie lub daremnym oporze. Obawiam się, że Liliana uznałaby go za dość pretensjonalny, chociaż może ugięłaby się przed niekwestionowaną miłością, którą emanuje głos liryczny. Mimo że ojciec odmawia udzielania rad, musi zaakceptować, niechętnie, że wiersz jest na swój sposób – może nawet wbrew niemu samemu – pierwszą lekcją. Radą opiekuna. Pragnij wszystkiego, radzi córce, a jeśli masz się załamać, zrób to na wyjściu, nie na wejściu.

Do dziś mam wrażenie, że w lecie 1990 roku Liliana próbowała wyjść. Liliana już wychodziła. Po tylu latach manipulacji, po latach, gdy nauczyła się spełniać żądania niedźwiedzia, by go uspokoić, po latach walki, oporu, negocjacji, szamotaniny, Liliana była w końcu na drodze do wyjścia.

Chciała wszystkiego i kochała wszystko. Żądanie niemożliwego było jej powołaniem. Lekcja, którą wyniosłyśmy z domu, to, czego nauczyli nas rodzice, utrwaliło się jeszcze dzięki książkom, wierszom, planom i budynkom, piosenkom, skomplikowanym chmurom, uniwersyteckim kampusom, podróżom, niekończącym się rozmowom, bliskim przyjaciółkom. Kiedy się załamałyśmy, Liliano, kiedy maszyna zwana patriarchatem dosięgła nas, by zmiażdżyć ciała i serca, zniszczyć przeszłość i przyszłość, wtedy, właśnie wtedy próbowałyśmy wyjść. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Liliana konsekwentnie zmierzała na zewnątrz, wierząc głęboko, szczerze, prowokacyjnie, że inne życie jest możliwe.

Inna miłość.

W wąskiej trójkolorowej papierowej torbie po prezencie bożonarodzeniowym Liliana przechowywała list, którego nigdy nie wręczyła Anie, kilka zapisanych kartek wyrwanych z zeszytów i listy, które pisałam do niej ze Stanów Zjednoczonych. W mojej ostatniej wiadomości, z 9 marca, opowiadałam jej o nowym życiu, o moich zmaganiach z systemem uniwersyteckim nastawionym na ilościową produkcję, systemie unikającym odpowiedzialności społecznej. Mniej więcej w połowie tego bardzo długiego listu napisałam, że widziałam ostatnio w kinie film „Camille Claudel", „o rzeźbiarce, która przez lata była inspiracją dla Rodina, a ostatecznie została umieszczona na trzydzieści lat w zakładzie psychiatrycznym. Za życia niedoceniona; jej twórczość zaczęła cieszyć się uznaniem dopiero w latach osiemdziesiątych. Film wywarł na mnie duże wrażenie z kilku powodów: przede wszystkim gorączkowej pasji Camille, troski jej ojca o to, co nazywał talentami Camille, i oczywiście z powodu jej unicestwienia. Myślę, że wiele kobiet wierzyło, że naszym celem jako twórczyń jest samounicestwienie, jakbyśmy były romantycznymi bombami. Ogarnęła mnie wściekłość z powodu tamtej zbrodni i wielu innych, których nawet nie dostrzegamy wokół siebie, i natychmiast zrozumiałam, że opuszczając Meksyk, uciekałam od tych głosów, które podżegają: to przepaść, widzisz? Skacz. Rzuć się w tę pustkę. Nie chcę takiego końca ani dla siebie, ani dla ciebie, ani dla nikogo innego, bo samounicestwienie i rozczarowanie nie są wyrazem płomiennego romantyzmu, ale romantyzmu, który zabija. Jesteśmy tutaj, naprawdę pełne talentów, ale nie po to, by karmić wampiryczną władzę innych, ani po to, by na ślepo wpadać w otchłań szaleństwa, ani po to, by nieść kamień jak Święty Hieronim. Jesteśmy tutaj z czarującym ciężarem istnienia, z lekkością bytu, spokojną lekkością marzeń, ponieważ mamy wiele do powiedzenia, zrobienia, przemyślenia, przemyślenia raz jeszcze, stworzenia na nowo; ponieważ nasz punkt widzenia jest nowy dla historii, która nam go odmawiała, zawłaszczając go sobie setki milionów razy; ponieważ musimy powiedzieć: Dość tego! Ani dogmat miłości, ani dogmat sławy czy pieniędzy nie zdołają zniszczyć czegoś znacznie trwalszego i jednocześnie naszego – niewinnego, niemądrego, nieśmiałego, nieskrępowanego pragnienia, by żyć i tworzyć inne życie, piękniejsze, sprawiedliwsze. Do tego służy nasz głos i nasze ręce".

Raúl Espino Madrigal napomknął, że kiedyś, podczas zabawy na trawie w bujnych ogrodach UAM, Liliana pożyczyła mu książkę. Spomiędzy stron niespodziewanie wypadła pocztówka. Była od ciebie, powiedział. „Czarno-białe zdjęcie z nagimi hipisami jadącymi tramwajem. Na odwrocie napis: pewnego dnia przyjedziesz tutaj i będziemy się razem świetnie bawić".

Aktor River Phoenix zmarł w 1993 roku, a Selena, słynna meksykańsko-amerykańska piosenkarka, w roku 1995. Kiedy dowiedziałam się o ich śmierci, od razu wyobraziłam ich sobie razem. Liliana, River i Selena oraz nadzy hipisi na zboczu bardzo zielonej góry, z której wciąż można podziwiać kołyszące się rytmicznie fale Pacyfiku. Wokół nich biegają psy i koty: jest tam Fausto. Jest i Kinski. Przytłumione głosy. Od czasu do czasu słychać dalekie echo śmiechów. Jest popołudnie, letnie popołudnie spowite delikatnym złotym światłem, które powoli ustępuje miejsca ciemności. Wciąż słychać ich szepty z oddali.

I nadal żyją.

© CRISTINA RIVERA GARZA

Jeszcze nie dziś

PAULINA FRANKIEWICZ

Przyjęta przez Joannę Karpowicz i jej Anubisa perspektywa zamiast życia pozagrobowego trzyma się blisko ziemi. Artystka zaprasza do szukania sensu w codzienności, którą czeka kres.

Serię z Anubisem kieruje do wszystkich tych, którzy zadają sobie pytanie, czy warto żyć. A gdzie ten sens odnajduje Joanna Karpowicz? „W małych rzeczach, jak zapach czy smak. W muzyce, literaturze, sporcie. W potężnej naturze, która koi ból istnienia". Po czym dodaje: „Śmierć przyjdzie po mnie, ale jeszcze nie dziś. Dziś leśny spacer będzie moim małym aktem nieposłuszeństwa wobec przeznaczenia. Zatrzymam na chwilę czas, odłożę wszystko na bok. Zapiszę to w pamięci. A potem to namaluję".

Przewodniczka dusz

Bohaterem malarstwa Karpowicz od 2012 r. jest Anubis – bóstwo o głowie szakala znane z mitologii starożytnego Egiptu. Artystka przenosi opiekuna zmarłych do naszego świata i rozmyśla o przemijaniu. Oswaja go, a z czasem nawet się z nim zaprzyjaźnia, by historię, która zaczęła się od doświadczenia żałoby po śmierci bliskiej osoby, zwrócić w stronę życia.

Anubis Karpowicz przechadza się po znanej nam rzeczywistości: wyrusza w dalekie strony, ale zagląda też do ogrodów, księgarń i w szyby kiosków, po prostu jest. Przyjęta przez malarkę perspektywa zamiast życia pozagrobowego trzyma się blisko ziemi, szukając sensu w codzienności, którą czeka kres. Figura „przewodnika dusz" to nie tylko symboliczna metafora towarzysza drogi ostatecznej, ale też metafora nas samych.

Dlaczego wybieramy mrok?

Karpowicz formułuje mało popularną opinię: twórczość, która budzi w odbiorcach nadzieję, jest potrzebna. „Interesują mnie te momenty, w których czujemy się szczęśliwi mimo nieuniknionej śmierci" – opowiada. W sztuce od zawsze modne są prowokacja i wytrącanie ze strefy komfortu, towarzyszące przekonaniu, że szczęścia i nadziei lepiej unikać, by nie narazić się na banał. „Zgadzam się, że rolą artysty jest podważanie zasad zastanego świata, obnażanie rzeczywistości, ale równie ważne jest dawanie czegoś w zamian".

Dlatego w swojej sztuce otwiera przestrzeń do zadawania pytań. Jej płótna mają napędzać myśli i emocje w taki sposób, żeby widz nie chciał odejść z tego świata, tylko w nim pozostać. „Nie lubimy myśleć o śmierci, boimy się jej, używam więc nostalgii jako narzędzia do otwierania tej puszki z lękiem. Poprzez obrazy, które przemawiają do wspólnych doświadczeń, staram się zastąpić go innymi emocjami".

Non oggi

Odtworzyła dla niego kilkaset scenerii, powracając w ten sposób do miejsc, w których już była. Kiedy jednak przychodzi do malowania, czarny szakal pozostaje odosobniony. „Podróż Anubisa jest naszą podróżą, spełnionymi i niespełnionymi tęsknotami. Bywamy samotni jak on – mówi Joanna Karpowicz. – »Non oggi«, czyli »Nie dziś« to mój prywatny wyraz niezgody na rozpacz powodowaną przemijaniem. Czasami wystarczy odrobina światła, by poczuć w sobie sprzeciw wobec zwątpienia i beznadziei".

Najnowsza kolekcja obrazów Karpowicz powstała z inspiracji podróżą do Włoch. Nie zobaczymy tam znanych widoków, jak zawsze będziemy się poruszać poza turystycznym szlakiem. Będzie też włoskie światło, dzienne i nocne – zapowiada malarka. I oczywiście Anubis, wyposażony w książki, które w autorce wznieciły małe i duże rewolucje. Wystawę zadedykowała Renacie Fonte, tragicznie zmarłej działaczce na rzecz ochrony środowiska naturalnego, matce chronionego rezerwatu przyrody Porto Selvaggio. ©℗

Festiwal Conrada patronuje wystawie „NON OGGI", którą będzie można oglądać w Galerii Artemis (Kraków, ul. Poselska 15) od 15 października. Na festiwalowej scenie z Joanną Karpowicz porozmawia Joanna Piechura.

DZIĘKI UPRZEJMOŚCI ARTYSTKI

Joanna Karpowicz „Kino Sokół", 2025, 70 x 100 cm, akryl na płótnie

ZBIORY INSTYTUTU LITERACKIEGO „KULTURA”

Kawa przy stole w pierwszej paryskiej siedzibie „Kultury” przy avenue Corneille. Od lewej: Zofia Hertz, Zygmunt Hertz, Stanisław Stempowski, tyłem Jerzy Giedroyc, 1949 r.

Kulturalne towarzystwo

JAN BURNATOWSKI

Z rodzinnych stron: Krakowa, Sanoka, Ułaszkowiec i Winikowiec na Podolu wygnał ich bieg historii. Leo Lipski, Marian Pankowski, Zygmunt Haupt i Jerzy Stempowski po roku 1945 nie wrócili do komunistycznej Polski, ale pozostali aktywnymi polskimi pisarzami funkcjonującymi w orbicie paryskiej „Kultury”.

Poza przynależnością do grona twórców emigracyjnych łączyło ich niewiele, okazjonalnie wymieniali korespondencję. Choć znaleźli się wśród pierwszych laureatów nagrody literackiej „Kultury”, żaden z nich nie zrobił kariery na miarę Gombrowicza, Herlinga-Grudzińskiego czy Miłosza. Pozostali pisarzami osobnymi.

Tę odrębność (marginalność?) dobrze widać w dwuczęściowej ankiecie przeprowadzonej w latach 1992-93 przez paryską „Kulturę”. Pisarzy mieszkających w Polsce i poza krajem pytano w niej o współczesnych polskich literatów: niedocenionych i przecenionych. Frekwencja (nie)obecności mówi coś ważnego o wewnętrznym porządku rodzimej literatury: Haupt wzmiankowany jest trzykrotnie, Lipski i Stempowski występują dwa razy, Pankowskiego brak. Co przesądzało o ich wycofaniu? I jak wobec tego powstawały wspólnoty, które zawiązywali z czytającymi?

Wobec odrzucenia

Napisał niewiele, a większość jednym palcem lewej ręki. Cała jego twórczość liczy około czterystu stron: to trzy minipowieści, garść opowiadań oraz pełne niewykorzystanego potencjału notatki, urywki i fragmenty. Ale wszystko to intensywne, niekonwencjonalne i niesterylne. ↦

↦ Tworzyć zaczął wcześnie, jako nastolatek, po przyjeździe z rodzinnego Zurychu do Krakowa. Juwenilia publikował w gazetach szkolnych oraz periodykach literackich jeszcze jako Leo Lipschütz. Pisanie przerwała wojna, którą częściowo spędził we Lwowie, dokąd uciekł z narzeczoną, bratem i przyjaciółmi. Aresztowany przez Sowietów trafił do łagrów, następnie zaś znalazł się w armii Andersa i wraz z nią przez Uzbekistan przedostał się do Teheranu, a później Bejrutu. Od 1945 r. mieszkał w Tel Awiwie.

Żył długo, świadkując stuleciu, ale los obszedł się z nim brutalnie. W 1942 r. zapadł na zapalenie opon mózgowych, a w marcu 1945 r. doznał paraliżu, wskutek którego do końca życia zmagał się z upośledzeniem mowy oraz dysfunkcją prawej części ciała. Kryzys zdrowotny dopełniły finansowa nędza i brak stałego lokum. Mimo beznadziejnego położenia wrócił do pisania i co jakiś czas pojawiał się z nową prozą drukowaną w londyńskich „Wiadomościach" oraz paryskiej „Kulturze". Pisał wbrew sobie, przeciwko ograniczeniom własnej kondycji: „Dziś przed godziną, miałem pierwszą satysfakcję z pisania. – wyznał w latach 50. Irenie Lewulis. – Nie ma dnia *sine linea*. Wykreślam bez końca i zostaje tylko to, co między wierszami. Dosłownie".

Jaka determinacja pozwalała mu kończyć kolejne teksty? Autobiograficzne ślady pozwalają sądzić, że literatura była dla niego siłą pozwalającą jeśli nie przełamać, to przynajmniej osłabić poczucie wyobcowania. Udziałem Lipskiego stała się egzystencja zredukowana i postronna: zamknięcie w chromym ciele drastycznie ograniczało możliwości, a polszczyzna – jedyny język, w którym się porozumiewał – niewyraźna i ściszona na skutek niepełnosprawności, w telawiwskim tyglu tym bardziej utrudniała komunikację.

Literatura stała się dla niego sposobem na utrzymanie kontaktu ze światem, pozwalała na intensywne przeżycia i bliskość. Musiała być jednak inna od tej, jaką znał ze szkoły: uruchamiająca zmysły, przede wszystkim dotyk – dlatego nie miał wyjścia i wymyślił jedną z najciekawszych koncepcji w polskiej literaturze. „Nie interesuje mnie »mięso« powieści (...) tylko sformułowania, które żadnych materialnych korzyści nie przynoszą".

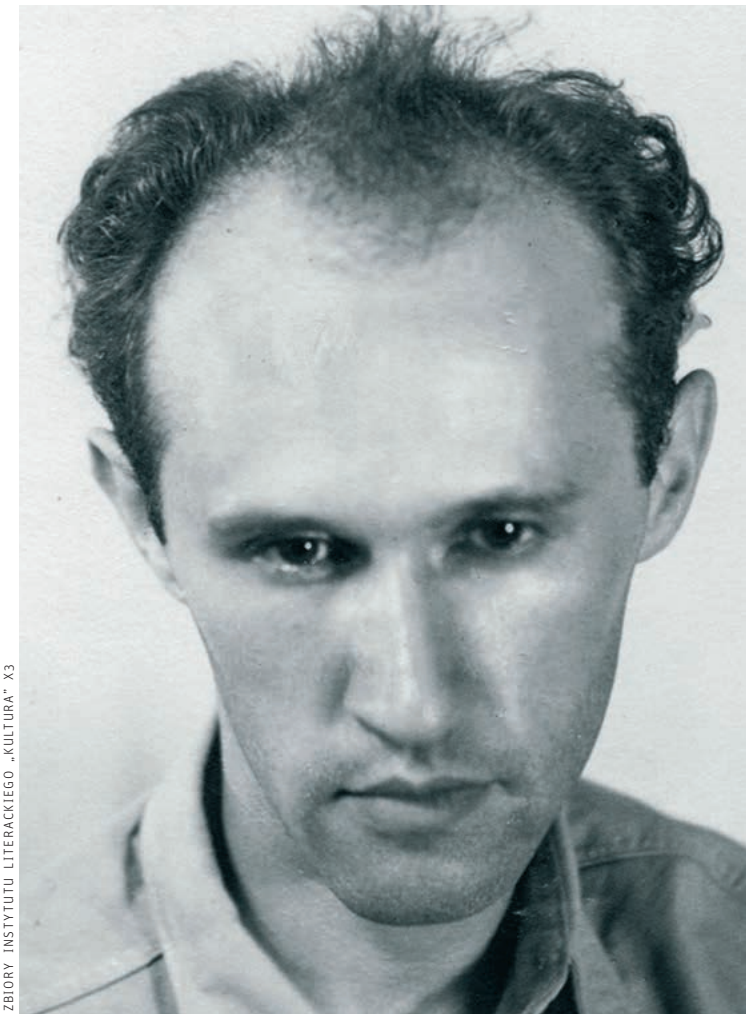

ZBIORY INSTYTUTU LITERACKIEGO „KULTURA" X3

Jego pisarstwo cechuje afabularność, oszczędność, kondensacja, zmysłowość, obsesja, skłonność do skatologii i – być może najistotniejsze – „rozdarcie między erotyczną ekstazą a koszmarnym bólem", jak wynotował Piotr Paziński. To twórczość, która przekracza granice odporności estetycznej; angażująca emocje i uruchamiająca afekty, którą z powodu obrazoburczych treści czyta i myśli się z trudem.

W perspektywie Lipskiego pisanie i literatura są jednak czymś więcej niż sprzeciwem wobec własnej beznadziei, upodlenia oraz izolacji; są poszukiwaniem kontaktu z czytającym poprzez jedną z najdotkliwszych emocji: „Mało łączy mnie ze światem. Jednym z uczuć łączących przymusowo jest wstręt, o tym właśnie chcę opowiedzieć".

Proza ta wciąż wymyka się etykietom, niezmiennie towarzyszy jej ryzyko odrzucenia. Pozostaje naturalistyczna, ale jej bohaterowie funkcjonują często w rzeczywistości przywidzenia, naruszają społeczne normy.

Wobec tradycji

Giedroyc uhonorował Lipskiego nagrodą literacką „Kultury" za „Dzień i noc", jednak w uznaniu rangi jego twórczości pozostawał odosobniony. Być może dlatego przygotowanie laudacji zlecił laureatowi poprzedniej edycji, Marianowi Pankowskiemu. Ten czytał opowiadania Lipskiego jako kaloryczne i wartościowe, ale nie miał złudzeń: pisarstwo, które wchodzi w konflikt z tradycją i przyzwyczajeniami czytelnika, nieprędko znajdzie odbiorcę. „Książka Lipskiego jest aktem odwagi. (...) Autor świadomie rezygnuje z powszechnie przyjętych matryc piękna (...). W miejsce »harmonii« i gam tradycyjnych polszczyzny – ćwierćtony i dysonanse" – ogłosił Pankowski. Czuł tę prozę, a powinowactwo zasadzało się na zbliżonych wizjach literatury. Być może słyszał w pisarstwie Lipskiego echa własnych ambicji i przeczuwał zmianę swoich dążeń artystycznych?

Przełom lat 40. i 50. to dla Pankowskiego czas rekonwalescencji i stawania na własnych nogach. Po wyzwoleniu

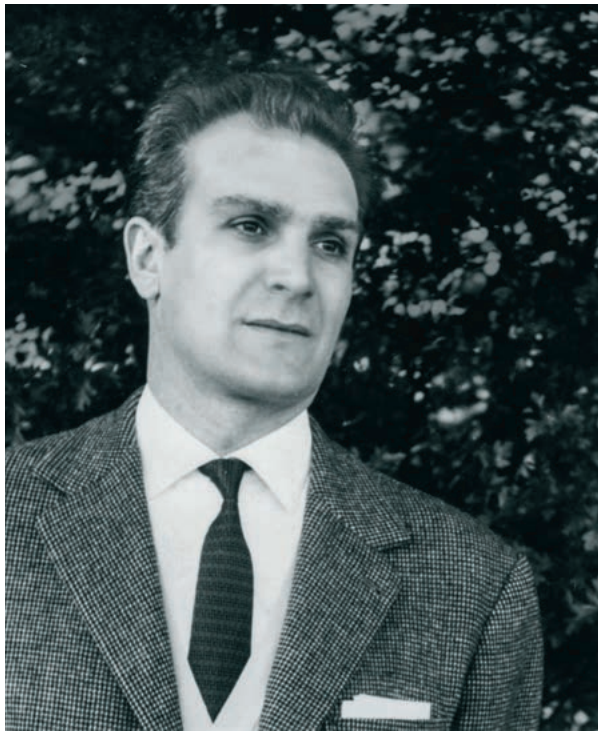

Na sąsiedniej stronie: Leo Lipski, zdjęcie niedatowane

Obok: Marian Pankowski, 1957 r.

Poniżej: Zygmunt Haupt, zdjęcie niedatowane

przez aliantów obozu w Bergen-Belsen osiedla się w Brukseli, bierze ślub z Reginą Fern, a po ukończeniu studiów slawistycznych na tamtejszym Université Libre, podejmuje nań pracę jako lektor. Kontynuuje karierę poetycką i, dzięki znajomości języka francuskiego, obraca się w belgijskim środowisku literackim. Nawiązuje relacje z pisarzami skupionymi wokół „Journal des Poètes" – tam publikuje własne wiersze oraz przekłady z Kochanowskiego, Leśmiana i Mickiewicza. Drukuje też w prasie emigracyjnej, głównie w „Wiadomościach", a w 1953 r. rozpoczyna współpracę z „Kulturą". Ogłasza w niej szkice krytycznoliterackie i wiersze.

W połowie lat 50. Pankowski dociera do miejsca, w którym dotychczasową *praxis* literacką uznaje za niemożliwą. Rozpoznaje się w sytuacji, którą można określić momentem od-tworzenia. Zaczyna poddawać własną twórczość rewizji, w efekcie czego trwanie przy dotychczasowej poetyce uznaje za bezcelowe. Wtedy powstają jego proza fikcjonalna oraz dramaty. Narodziny Pankowskiego-prozaika poprzedza publikacja poematu „Góralu czy ci...". Giedroyc, zachęcony opinią Czesława Miłosza, drukuje ten tekst w nr 1/1959 paryskiej „Kultury", co autor odbiera jako znak akceptacji swojej metamorfozy. Jednak list Redaktora po lekturze „Matugi" studzi nadzieję. „Wydaje mi się przestylizowana i (...) niejasna. Jest to trochę Céline, trochę Zegadłowicz, trochę spowiedź dziecięcia wieku. Przy tym za dużo scen erotycznych i różnych słówek – to jakoś nie leży widocznie w polskim języku literackim, tak jak we francuskim. (...) W sumie jednak nie widzę możliwości wydania Pana książki".

Nowe *credo* Pankowski wyłożył w przedmowie powieści: deklarował zerwanie z literaturą sterylną „książeczek słodziuchnych a gładziuchnych", postulował „wieczną rozróbę w polszczyźnie". W tym awangardowym geście proponował czytelnikom wspólnotę opartą na czytaniu niebezpiecznym, bo uruchamiającym intensywne, nieakceptowane społecznie emocje. Choć Giedroyc odrzucił jego propozycję, Pankowski pozostał przy swoim i wydał „Matugę" własnym sumptem.

Co jego zdaniem miałaby robić z nami literatura? Najpełniej wyraził autorską koncepcję w wydanym w 1980 r. „Rudolfie". Oto na brukselskim Grande-Place spotyka się dwóch emerytów: Rudolf, Niemiec, były żołnierz Wehrmachtu, oraz Profesor, Polak, więzień niemieckich obozów koncentracyjnych. Szybko zawiązuje się między nimi intymna relacja oparta na wymianie doświadczenia. Pankowski zderza w ten sposób anarchistę, wywrotowca, homoseksualistę nastawionego na doznania cielesne, z Polakiem, katolikiem, strażnikiem moralności i porządku, konfrontując ze sobą wizję rozkoszy jako wartości nadrzędnej oraz ustalone zasady etyczne, historię i naukę.

Pankowski proponował czytelnikom seanse czarnej pedagogiki, w ramach których literatura przekraczająca granice odporności estetycznej i moralnej dostarcza narzędzi do przemyślenia własnej pozycji w świecie, w którym choć trochę można poczuć się jak u siebie. Bo przecież zamieszkać można tylko tam, gdzie jest bezpiecznie. Brzmi paradoksalnie, jednak jeśli za bezpieczne uznać to, co zrozumiałe, to tylko spotkanie z odmiennością – i zgoda na nią – czyni świat bardziej przystępnym.

Wobec krajobrazu

Pisanie Haupta było obsesyjne i uboczne. Wciąż wracał do tego samego, pracował na fragmentach, przede wszystkim obrazach, programowo rezygnując z całości, jakby ta była niemożliwa i wbrew pamięci. Kołował i kluczył: odtwarzał zapamiętane sceny, ludzi i krajobrazy rodzinnych stron. Uporczywie wpatrywał się w ciemność minionego i to z niej wywodził kolejne prozy. W „Kronice o latającym domu" Haupt ustawia ↦

WARTOŚĆ publikowanych przez Instytut Literacki w Paryżu treści – miesięcznika „Kultura", kwartalnika „Zeszyty Historyczne" i książek w ramach serii Biblioteka „Kultury" – ich rozmach i tchnienie ducha wolności czynią go najważniejszym polskim wydawnictwem drugiej połowy XX wieku.

W 80. rocznicę utworzenia przez Jerzego Giedroycia Instytutu Literackiego spośród grona osobistości budujących środowisko paryskiej „Kultury" wybraliśmy cztery wybitne, bardzo różne postaci: Zygmunta Haupta, Leo Lipskiego, Mariana Pankowskiego i Jerzego Stempowskiego. Ich biografie intelektualne przybliżą współcześni ludzie kultury, znawczynie i znawcy tematu. Podczas Festiwalu Conrada zapraszamy do udziału w myśleniu na żywo: w rozmowie niesformatowanej, bez osoby moderującej dyskusję, za to z wzajemnym stawianiem pytań i wspólnym szukaniem na nie odpowiedzi.

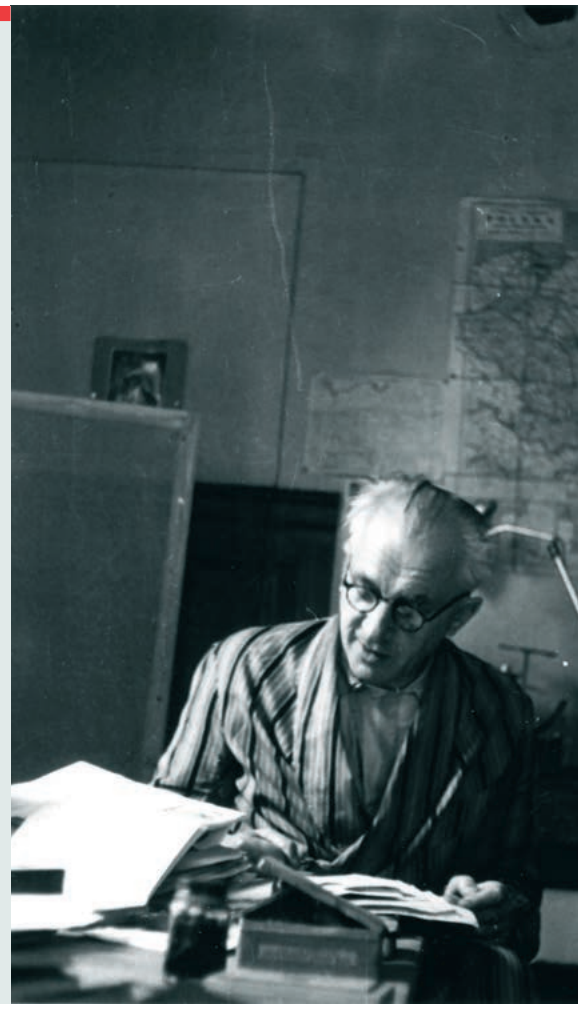

ZBIORY INSTYTUTU LITERACKIEGO „KULTURA"

Jerzy Stempowski, 1948 r.

↦ bohatera-narratora w pustym nadmorskim pejzażu i każe mu patrzeć na „dom wyważony przez huragan z fundamentów, opuszczony", stanowiący odległe wspomnienie o rodzinnym Podolu.

Haupt we wstecznym lusterku ogląda przeszłość, w której objawiają się „obiekty ze stali", „wielcy jak góra żandarmi w sinym po kostki szynelu" i uzbrojeni w mausery żołnierze. A jednak potrafił być bliżej współczesności, o czym świadczy „Henry Bush i jego samolot", jego jedyna proza osadzona w realiach ówczesnej Ameryki, napisana wkrótce po przyjeździe do Nowego Orleanu. Ale pisał nieregularnie, z trudem publikował kolejne teksty. Przed wydaniem w Instytucie Literackim debiutanckiego, zawierającego wybrane prozy powstałe na przestrzeni kilkunastu lat „Pierścienia z papieru", pisał: „Dla autora liczącego sobie pięćdziesiąt lat pierwsza książkowa pozycja bibliograficzna to ekscytujące i odmładzające przeżycie". Wydawało się, że ten zbiór uruchomi go i zdyscyplinuje. Tak się jednak nie stało. Nieoczekiwana śmierć pisarza w 1975 r. uniemożliwiła wydanie kolejnych opowiadań szykowanych dla Giedroycia.

Przez długi czas Haupt był zatem autorem jednej książki. Co z tego, że znakomitej, jeśli słabo dostępnej? Dopiero w 1989 r. Renata Gorczyńska wydała jego „Szpicę", a w 2008 r. Aleksander Madyda opracował „Baskijskiego diabła" – możliwie kompletne wydanie opowiadań i reportaży. Co zatem dziś zostaje po tym twórcy? Po co go czytać? Haupt daje szansę na odnalezienie się w świecie poprzez pojednanie z przeszłością; pozwala ustawiać się naprzeciwko niej i zachwycać, uzyskiwać jako takie pocieszenie, wbrew przesunięciu, w jakim się żyje.

Którędy zatem mogłaby biec linia łącząca projekty literackie tych trzech literatów? Wydaje się, że każdy próbował dotrzeć do czytelnika za pomocą literatury dotkliwej, czyli takiej, która potrafi odbiorcę zaafektować – wzbudzić wzruszenie, zachwyt, złość i repulsję.

Wobec nadmiaru

Jeśli Pankowski, Haupt i Lipski tworzyli literaturę o silnym potencjale afektywnym, mogącym ujawnić się przez leksykę, obrazy czy konstruowane sceny, to autor „Esejów o Kasandrze" próbował odwoływać się głównie do intelektu.

Zdania pisane zgodnie z klasyczną składnią, zaprzęgnięte przez Jerzego Stempowskiego w służbę eleganckiej perswazji podciągniętej erudycją, stworzyły najoryginalniejszą dykcję polskiej eseistyki. W latach 1926-67 napisał dziewięć książek oraz setki tekstów: eseje, omówienia dzieł sztuki i literatury, recenzje, dzienniki podróży, artykuły z zakresu botaniki czy wreszcie analizy stanu europejskiego rolnictwa. Oferowały one znacznie więcej niż temat wiodący, bo schodziły pod pokład bieżącego życia społecznego, aby wyciągnąć na wierzch ukrytą maszynerię problemu. Nie jest to jednak afirmacja świata, bo Stempowski programowo osłabiał ideę pisania, uważając je za działalność niekonieczną. W „Notatniku niespiesznego przechodnia" negował potrzebę namnażania słów i jako swoją zasługę traktował „powstrzymanie się od czernienia papieru".

Myślenie Stempowskiego porządkował klimat epoki: mechanizacja i automatyzacja produkcji trwożyły go, bo wiązały się z nadprodukcją literatury, której nadmiar – puentował Stempowski – rozprasza. Dlatego okazjonalnie ulegał negatywnemu popędowi i odmawiał pisania, z pokorą przyjmując ryzyko zerwania więzi z czytelnikiem. Wyjścia ze wspólnoty nie postrzegał jako kłopot, bo w tych momentach powściągliwości następował dla Stempowskiego powrót do siebie: „Wyjście z milczenia, które zdaje się być właściwą postawą myśli, jest pewnego rodzaju odstępstwem od jej ambicji".

Propozycja Stempowskiego wydaje się przynajmniej warta rozważenia. Dziś, w epoce postprawdy, wojny kognitywnej, dezinformacji i skokowego rozwoju sztucznej inteligencjipotrzebna jest literatura, która zaopatrzy nas w narzędzia do rozumienia świata. Literatura, która da do myślenia, zaszczepi odwagę do okresowej odmowy przynależności, do nieposłuszeństwa, wycofania i powrotu do siebie, aby „w latach zbiorowego szaleństwa zachować przytomność, zachować zmysł proporcji, rozumieć, być świadkiem".

© JAN BURNATOWSKI

Jaka miara, panie Camusie?

MACIEJ KAŁUŻA

Tylko właściwie nastrojona lira wydaje czyste dźwięki i tylko dobrze napięty łuk pozwala oddać celny strzał. Buntownik wystrzega się zarówno „tak”, w którym nie słychać głosu rozsądku, jak i wrzaskliwego „nie”, zmieniającego świat bez jakichkolwiek zasad.

1 grudnia 1955 r. Rosa Parks odmówiła ustąpienia miejsca w autobusie białemu pasażerowi. Walcząca o prawa obywatelskie czarnoskórych Amerykanów aktywistka NAACP (Krajowego Stowarzyszenia na rzecz Popierania Ludności Kolorowej) była zmęczona podporządkowywaniem się zasadom segregacji rasowej. Jej indywidualne „nie” wkrótce miało stać się solidarnym sprzeciwem wobec przemocy, niesprawiedliwości i podziałów społecznych.

Nie wiadomo, gdzie i kiedy zaczął powstawać „Człowiek zbuntowany” – esej Alberta Camusa wydany nakładem Gallimarda w 1951 r. „Notatniki” wskazują, że myśliciel planował zająć się kwestią buntu bardzo wcześnie. Idea ta zrodziła się jeszcze przed napisaniem „Mitu Syzyfa”, w którym obrazował działanie rewolucjonisty jako mozolne wtaczanie kamienia na szczyt góry, raz za razem, przekuwające jego trud w siłę. Opór ten był jednak wyłącznie jednostkowy, a głęboka potrzeba zmiany porządku, podobna do tej towarzyszącej Rosie Parks, wymagała rozpatrzenia zagadnienia buntu w kontekście wspólnoty.

W drugim z „Listów do Przyjaciela Niemca” z 1943 r. Camus relacjonuje historię szesnastoletniego chłopaka wiezionego na egzekucję z innymi skazanymi. Część z nich działała w ruchu oporu, ale niektórzy – w tym bohater listu – zostali schwytani przypadkowo. Nastolatek próbuje zbiec z ciężarówki, ale po interwencji kapelana zostaje schwytany i odwieziony z powrotem na miejsce rozstrzelania. Najbardziej oburzające dla Camusa nie jest postępowanie niemieckiego plutonu, lecz duchownego, który wspiera oprawcę, alarmując żołnierzy o tej ucieczce. Historia napawa czytelnika wstrętem i utwierdza go w przekonaniu, że strzelanie do innych – przede wszystkim do dzieci – oraz pomaganie katom przez głoszących chrześcijańskie wartości zasługuje na szczególne potępienie. Już w „Listach” pojawia się więc sedno camusowskiej idei sprzeciwu, rozwijanej w „Człowieku zbuntowanym”, „Dżumie” i dramatach powojnia. Najistotniejszy aspekt myśli zbuntowanej dotyczy granic.

ALAMY / BE&W

Rosa Parks, amerykańska działaczka na rzecz praw obywatelskich, siedzi z przodu autobusu publicznego (dawniej „tylko dla białych”) w Montgomery. Alabama, 21 grudnia 1956 r. Za nią reporter Nicholas C. Criss.

Tak dalej być nie może

Charakter buntu według Camusa najlepiej oddaje postać historycznego rewolucjonisty, którego uczynił bohaterem „Sprawiedliwych”. Iwan Płatonowicz Kalajew nie chce rzucić bombą w karetę księcia Sergiusza Aleksandrowicza Romanowa, w której znajdują się również dzieci. Dokonawszy zabójstwa przy kolejnej okazji, postanawia oddać się w ręce wymiaru sprawiedliwości. To właśnie w tym dramacie najsilniej wybrzmiewa potrzeba ustanowienia granic, poza którymi nieposłuszeństwo przestaje być uzasadnione. Kalajew ma poczucie słuszności czynu, którego się dopuszcza, a jednocześnie świadomość ugodzenia we wspólnotę, którą – przynajmniej na poziomie postulatu – tworzą także ci reprezentujący wartości i stanowiska odmienne od naszych.

W 1958 r. „Człowieka zbuntowanego” wydała paryska „Kultura”, zarażając ↦

↦ myślą Camusa licznych dysydentów Solidarności. Widoczne jest to choćby w reakcji Adama Michnika na „Traktat o gnidach" Piotra Wierzbickiego: sprzeciwił się on prostemu podziałowi ludzi na moralnie czyste „anioły" i całkowicie zdeprawowane „gnidy". Przemiana jednych w drugich może bowiem nastąpić po uznaniu, że w imię dobra wszystko jest dozwolone. W momencie deprecjonowania wartości i granic, których przekroczenie narusza wolność jednostki, czystość moralna buntownika staje się pozorem. Jako taka jest szczególnie niebezpieczna, bo uzasadnia każde działanie, które w imieniu wspólnotowego dobra ma podejmować ruch niepokornych.

Dużą część „Człowieka zbuntowanego" stanowi studium patologii nie katów, lecz szlachetnych rewolucjonistów, którzy w imię wolności i równości stawiają gilotyny. Rozpoznanie to prowadzi Camusa do poszukiwania miary tak ważnej dla starożytnych.

Łuk i lira Heraklita

Sięgająca helleńskich korzeni cnota roztropności (*sophrosyne*) to zdolność do stawiania granic sobie samemu i trzymania się z dala od skrajnych postaw. Pisał o niej Heraklit, dodając, że „mądrością jest mówić prawdę i działać zgodnie z naturą, wsłuchując się w nią" (tłum. własne). Do jej praktykowania niezbędne jest zaś przekroczenie jednostkowego punktu widzenia. Buntownik wyraźnie zaznacza granice, oświadczając Panu, że jego działania poszły za daleko. Żeby móc je ustanowić, zdaniem Camusa i Heraklita musi zwrócić się ku ludzkiej naturze, zgodnie z którą nadrzędnym celem istnienia jest dążenie do harmonii i dobra.

Jeszcze w 1945 r. myśliciel twierdził, że źródłem wartości jest nasuwająca skojarzenia z egzystencjalizmem „kondycja ludzka". Pod wpływem lektury starożytnego filozofa wiele fragmentów „Człowieka zbuntowanego" uległo jednak zmianie: to w naturze człowieka Camus znalazł gotowość do działania roztropnego. Ten, kto się w nią wsłucha, postępuje nieposłusznie wyłącznie w celu przywrócenia porządku. Miejsce nietzscheańskiego apelu o stworzenie wartości zastąpiła więc refleksja o ich odkrywaniu.

Pozbawiony kategorycznych postulatów „Człowiek zbuntowany" stawia na harmonię, którą symbolizują atrybuty Heraklita: łuk i lira. Tylko właściwie nastrojona lira wydaje czyste dźwięki i tylko dobrze napięty łuk pozwala oddać celny strzał. Buntownik wystrzega się zarówno „tak", w którym nie słychać głosu rozsądku, jak i wrzaskliwego „nie", zmieniającego świat bez jakichkolwiek zasad.

> Bunt nie jest żądaniem totalnej wolności, na odwrót, występuje przeciwko niej. Neguje nieograniczoną władzę, która zezwala władzy na naruszenia **NIENARUSZALNEJ GRANICY.**
>
> Albert Camus
> **„Człowiek zbuntowany"**
> tłum. Joanna Guze

Nie każda władza deprawuje człowieka w ten sam sposób. Ideologie, wartości czy instytucje są jedynie narzędziami, a żadne z nich nie zwalnia człowieka z odpowiedzialności za to, jak się nimi posługuje. Dla autora „Obcego" bunt w imię własnej korzyści jest nie tylko nieskuteczny, ale i niebezpieczny: wolność jednostki nie może być postrzegana jako nadrzędna wobec sprawiedliwości społecznej. Kiedy działanie buntownika służy wszystkim, wymaga szacunku wobec każdego i zamknięcia aktu oporu w możliwych do określenia granicach.

W ogniu pychy

W eseju „Wygnanie Heleny" Camus, podążając za myślą Heraklita, ostrzega współczesnego człowieka przed zarozumialstwem. Antyczny myśliciel zauważył, że „trzeba tłumić *hybris* (pychę) raczej niż pożar". Buntownik nie musi więc wystrzegać się działań, które mają potencjał do wywołania symbolizowanego przez ogień konfliktu. Czasem są one niezbędne, o czym zaświadcza historia – do rewolucji dochodziło przede wszystkim wtedy, kiedy ludzie pozbawieni byli nadziei na godne życie.

W odwołującym się do idei nieposłuszeństwa micie Prometeusza człowiek zyskuje moc wzniecania pożarów. Camus zgadza się z Heraklitem: sam pożar

nie stanowi zagrożenia. Staje się niebezpieczny dopiero w momencie, w którym ludzka pycha prowadzi do utraty kontroli nad ogniem. To napawanie się osiągniętym sukcesem i czerpanie z niego prywatnej korzyści sprawia, że buntownik zapomina o granicach i mierze swoich działań oraz potrzebie uzasadnienia stawianego oporu. W „Upadku" algiersko-francuski myśliciel podejmuje refleksję na temat kultury europejskiej, która po odrzuceniu idei piękna i harmonii starożytnych dążyła do dominacji poprzez zaostrzanie politycznych konfliktów i przemoc, jednocześnie budując własny nieskazitelny wizerunek. Udawało się to – i wciąż udaje – dzięki zamianie każdej moralnej porażki w sukces, choćby przez szlachetne i publiczne przyznanie się do winy.

Siła strzały

Camusa ujęło nie tylko piękno antycznej myśli Heraklita, ale i poetycka wizja

LOOMIS DEAN / THE LIFE PICTURE COLLECTION / SHUTTERSTOCK / EAST NEWS

Albert Camus, Paryż, 1957 r.

Renégo Chara. Bliski przyjaciel autora „Dżumy" szukał w sobie i cieniu powojennej Europy śladu „potomków Słońca". Pisał o locie strzały wypuszczonej z łuku, by wyrazić to, do czego usiłuje dotrzeć w swojej poezji: „zasłoniętą przeszłość oraz teraźniejszość, z której wynurza się pewne wzburzenie, nad którym przelatuje i które zapładnia śmiała strzała" (tłum. własne).

Według poety strzała wyzwolona z napiętego łuku może okazać się owocnym wzburzeniem. Wyważone nieposłuszeństwo osadzone w centralnym punkcie między negacją i afirmacją może skutkować nadaniem oporowi słusznego kierunku. Kwestionujący rolę tyrana bunt ma stanowić fundament wspólnoty, w której „wyznawcy" nie służą i nie podporządkowują się bohaterskiemu buntownikowi. Rosa Parks nie potrzebuje pomników, lecz gotowości innych do świadomego odrzucania relacji opartych na władzy, rozkazach i przywilejach.

Człowiek zbuntowany reaguje nieposłuszeństwem i apelem o wyznaczenie granic nie tylko na widok cierpienia. Równie znaczące jest odrzucenie petryfikującej siły, która wtłacza ludzkie relacje w schematy podporządkowania. W słynnym szkicu „Iliada, czyli poemat o sile" z 1939 r. Simone Weil ukazała mechanizm przemocy rządzący historią, stwierdzając, że „siła, która zabija, jest uproszczoną, surową formą siły" (tłum. Małgorzata Frankiewicz). Uproszczoną, bo widoczną i przekutą w działanie. Rozpatrywane przez Weil skłonności do użycia siły i grożenia nią biorą się z tej samej natury, co skłonność do działania roztropnego Camusa.

Bardziej przerażająca jest dla filozofki wszechobecna „siła, która jeszcze nie zabija", paraliżująca człowieka samą możliwością jej zaistnienia. Zarówno dla Weil, jak i Camusa bunt nie jest wyłącznie reakcją na bezpośrednią i brutalną przemoc, ale także tą, która drzemie w łaknącej posłuszeństwa władzy.

Nowe słońca współczesności

Sama ludzka natura nie wyposaża nas w roztropność, pozwala jednak – podczas jej poszukiwania – podjąć próbę zarysowania granic. Brak powszechnie obowiązującego kodeksu moralnego sprawia, że dozwolone jest wszystko, także przekraczanie, poznanie i kwestionowanie istnienia tych ograniczeń. Świadomy tego Camus napisał w „Wygnaniu Heleny": „A przecież natura wciąż jeszcze istnieje. Przeciwstawia swoje spokojne niebiosa i swoje racje szaleństwu ludzi. Aż przyjdzie chwila, kiedy atom też się zapali i historia dokona się w triumfie rozumu i w agonii gatunku" (tłum. Maria Leśniewska).

Ludzka pycha wznieci kiedyś pożar, którego nie zdołamy ugasić. W pogoni za rozumnym szaleństwem, rozpalimy o jedno ognisko za dużo. To nowe słońce nad Hiroszimą przeraziło Camusa w 1945 r. Czytanie go dziś, po 75 latach od pierwszego wydania „Człowieka zbuntowanego", pozwala na nowo kwestionować pęd ku spopielaniu miast, przekształcaniu Ziemi w posłuszną pustynię. Aby istnieć, musimy być nieposłuszni, jednak w tym nieposłuszeństwie należy działać roztropnie. Strzała, o której pisze Camus w ostatnim zdaniu „Człowieka zbuntowanego", leci niespiesznie.

© MACIEJ KAŁUŻA

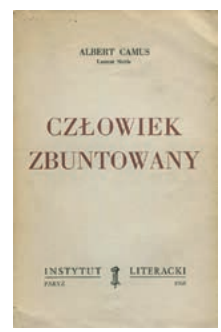

Pierwsze tłumaczenie **CZŁOWIEKA ZBUNTOWANEGO** na język polski ukazało się w 1958 r. nakładem Instytutu Literackiego w Paryżu, jako 34. tom Biblioteki „Kultury". W październiku, po 75 latach od publikacji oryginału, esej w tłumaczeniu Joanny Guze wróci do księgarń dzięki Państwowemu Instytutowi Wydawniczemu.

ZADAJ SOBIE PYTANIE
Kiedy ostatnio doświadczyłeś/aś prawdziwej bliskości z drugą osobą?
Do kogo możesz zawsze zadzwonić?
Przy kim czujesz, że jesteś sobą?
RELACJE
Jedno z większych wyzwań dzisiejszych czasów
Trudności w nawiązywaniu relacji
Bariery w poznawaniu ludzi
Ryzyko izolacji
Potrzeba wspólnoty
RÓŻNE FORMY
bliskie
przelotne
sytuacyjne
DOBRE RELACJE
najsilniejszy czynnik wpływający na życie
bittersweet talks
kultura festiwalowa
wydarzenia
rozmowy
POZNAJMY SIĘ!
Dlatego w 2026 roku chcemy poświęcić relacjom więcej uwagi i porozmawiać o tym, jak je budujemy. Dlaczego bywają trudne? I co możemy zrobić, żeby były bardziej prawdziwe?
Porozmawiajmy na BitterSweet Festival • 13-15.08.2026 • Poznań

REKLAMA

REKLAMA

NOMINACJE 2026

do Nagrody Literacka Podróż Hestii

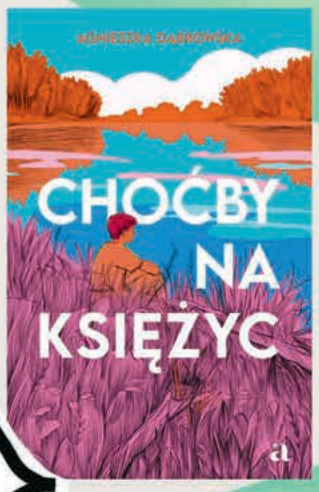

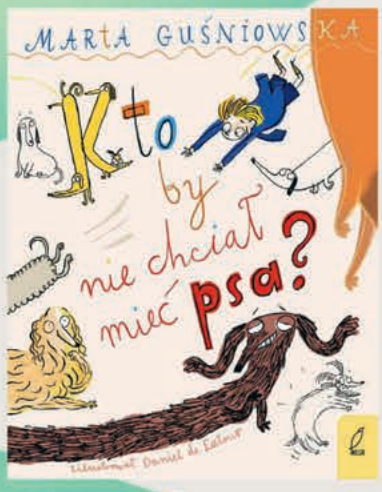

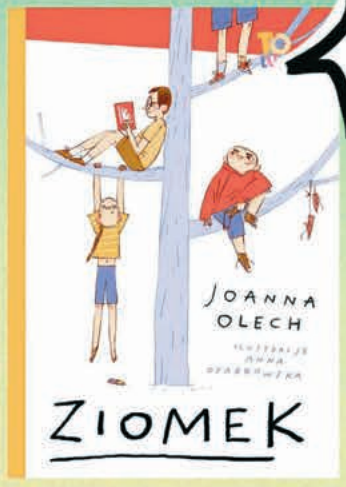

DOŁĄCZ DO NASZEJ PODRÓŻY!

ERGO HESTIA

FUNDACJA WISŁAWY SZYMBORSKIEJ

KULTURA

BĘKARTKA

Violette Leduc potrzebowała nieustannego wrzenia. Dosłownie wżerała się w materię słów, by w ten sposób wżerać się we własne istnienie, podsycać ogień.

MAREK BIEŃCZYK

W 1950 r. Violette Leduc i Jean Genet, dwoje pisarzy, nakręcili kilkuminutowy filmik. Oto matka wyszła na spacer z dzieckiem w wózku. Genet jest bobasem opatulonym w organdynę; ma w ręku rózgę, którą biczuje matkę. Matka, czyli Leduc, w stroju z lat 20., chyli się przed ciosami i w pewnym momencie gubi blond perukę.

Simone de Beauvoir, kochanka Sartre'a, pisała przy tej okazji do Algrena, innego kochanka: „Podejrzana zabawa (...) Genet gra rolę odnalezionego dziecka. Brzydka odgrywa matkę: prowadzi po alejce wózek, a dziecko smaga ją rózgą. Jeśli przypomnieć sobie, że Genet nie miał matki i bardzo z tego powodu cierpi, a Brzydka nienawidzi swojej i rozkoszuje się tym, że Matka w postaci, której jej użycza, jest biczowana, ujrzymy w tej scenie spontanicznie odegraną psychodramę".

Leduc i Genet poznali się pod koniec wojny. Ich przyjaźń cementowały nie tylko kwestie matek i podłego dzieciństwa; ona również zazna uroków – na krótko – więzienia, tyle że za lżejsze niż on paragrafy. Podczas wojny i przez pierwsze lata po jej zakończeniu Leduc handlowała z dużym sukcesem na czarnym rynku; wreszcie wpadła. Była dobrym specem od „rąbanki, kaszanki", po trzydziestu pięciu latach biedy (urodziła się w roku 1907) dorobiła się po raz pierwszy jakichś pieniędzy.

Nie na długo; uznanie i nakłady przyjdą dopiero po roku 1964, w którym wyda swoją najgłośniejszą książkę, „Bastarde" („Bękartkę"); to był skok z tysiąca sprzedanych egzemplarzy poprzednich książek na sto trzydzieści tysięcy. Dzięki niej zdobędzie miejsce w historii dwudziestowiecznej literatury; miejsce szczególne, samotne, jak zamorskie terytorium formalnie należące do metropolii.

Genetowi powiedziała od razu: „Jesteś największy". Miała rację, we Francji powojennej trudno o lepszego – i zarazem bardziej skandalizującego – pisarza. W dodatku prozę Geneta i samą jego postać rozsławił najbardziej czytany wówczas intelektualista, czyli Jean-Paul Sartre. Poświęcił mu książkę, która należy do kanonu dwudziestowiecznej krytyki literackiej.

Genet, szeroko czytany za życia, nie musiał się też martwić o pośmiertną sławę. Nawet Mark Knopfler i Dire Straits będą go wspominali na debiutanckim albumie w piosence „Les Boys".

Wąskie kręgi

A co z nieśmiertelnością Leduc? Violette była przez długi czas rewersem tej literackiej monety. I ona była seksualnym odmieńcem wobec heteroseksualnej normy, i ona oparła swoje pisanie niemal wyłącznie – i w jeszcze większym stopniu – na własnej biografii, i ona miała przewodnika i wtyczkę w paryski, czyli wówczas jeszcze uniwersalny, świat literatury: wspomnianą Simone de Beauvoir. W porównaniu z Genetem żadnych wszakże sukcesów.

Sytuacja nieco wyrównała się dopiero pod koniec jej życia, wraz z przekładami, nagłym wybuchem popularności w Ameryce, zamówieniami na teksty przychodzące od najważniejszych wówczas periodyków jak „Vogue", od kuratorów wystaw, od scenarzystów filmowych.

O ile jednak Genet pozostaje pierwszym gejowskim literackim guru, tym, kto dał zielone światło gejowskiej intelektualnej subkulturze wyniesionej później do kultury ogólnej, o tyle Leduc w tradycji kultury lesbijskiej, ale też w dziejach literatury francuskiej świeci migotliwie, to bardziej, to mniej. Znana wybiórczo, nie całkiem zapomniana, lecz podziwiana we względnie wąskich kręgach czytelniczych. Jest sławą na bocznicy, nieco marginalną, podtrzymywaną przede wszystkim przez badaczki literatury feministycznej.

Umieszcza się ją często w szerszym kontekście feminizmu. Na wyrost, ogólnie rzecz biorąc była samoswoja, zainteresowana zdarzeniami, a nie poglądami i hasłami. Nieustanną grą, jaką są relacje międzyludzkie. Materialnymi okolicznościami, a nie ich wymową polityczną. Patriotyzm, demokracja, komunizm, lewica, prawica – nie posługiwała się takimi pojęciami. Wojna, dzięki której zaczęła zarabiać, to nie była dla niej agresja niemiecka, to był tylko nowy układ codzienności.

Nie interesowały jej też kwestie, z których wyrośnie wkrótce pojęcie patriarchatu, lubiła opisywać męską seksualność, której mechanikę podziwiała i którą nieraz swą zręczną dłonią – przedstawi to z niezwykłą literacką inwencją – rozjarzała. Dopiero gdy jej nazwisko wyszło z kąta, a ona dobijała sześćdziesiątki, w kilku wywiadach mówiła o koniecznej odwadze kobiecej literatury, dotychczas zbyt często tłumionej; stawała w jednym rzędzie z Beauvoir, z Nathalie Sarraute ↦

Violette Leduc. Paryż, 1970 r.

GEORGES KELAIDITES / ROGER VIOLLET / EAST NEWS

↦ i innymi pisarkami walczącymi o bardziej eksponowane miejsce w literaturze.

Po dłuższych namowach podpisze później, w roku 1971, na rok przed śmiercią, słynny, opublikowany w lewicowym „Le Nouvel Observateur" list-manifest 343 kobiet, w którym przyznawały się do dokonania aborcji i upominały się o jej legalizację; w ten sposób Violette jedyny raz w życiu zajęła polityczne stanowisko.

Erotyczne stronice

To były dopiero początki walki; czasy, gdy jej książka zbyt jeszcze gorszyła jury nagrody Femina, złożone z samych kobiet. Wystarczy na przykład przypomnieć, że dopiero w roku 1966 Francuzki zamężne otrzymały prawo otwierania konta bankowego na własne nazwisko i podpisywania umowy o pracę bez zgody męża. Albo drobniejszy, bo literacki przykład: oto wielki Louis Aragon pisze w roku 1966 powieść, której bohaterka Marie-Noire zdolna jest rozpoznać aluzje literackie, gdyż – proszę sobie wyobrazić, sam narrator się dziwi – poszła na studia i się naczytała.

Aborcji Violette dokonała raz. Wiązała się z kobietami i z gejami; *les boys* i faceci o zmiennych orientacjach seksualnych stanowili większość jej męskich przyjaciół. Za jednego z nich wyszła za mąż; Maurice Sachs, pisarz żydowskiego pochodzenia, prawdopodobnie kolaborant podczas wojny, był tym niedoszłym ojcem; w jej książkach jego sylwetka pojawia się wielokrotnie. Stronice erotyczne szokowały ówczesnych wydawców; wiele fragmentów jej prozy nie weszło do druku, pozostały w ineditach; jeszcze w połowie lat 60. działała we Francji cenzura obyczajowa.

Dopiero w roku 2024 Gallimard opublikował pełną, nieocenzurowaną wersję jej powieści „Ravages" („Spustoszenia") wydaną w wersji okaleczonej siedemdziesiąt lat wcześniej. Sto stron więcej bardzo dobrych literacko, radykalnie odważnych opisów miłości lesbijskiej, na których druk w wielu krajach zwących się demokratycznymi nie byłoby dzisiaj moralnego przyzwolenia. Nikt tak nie pisał wcześniej o erotyczności kobiet, o ich cielesności, i na podobnym poziomie również – podejrzewam – później.

Paradoksem jest, że wiele opisów z tej i z innych książek Leduc zostało pokiereszowanych już w fazie wstępnej przez jej dobrego i złego ducha, Simone de Beauvoir. Wspomagała ona Violettę wraz z Sartrem, także finansowo; ułatwiała kontakty z wydawcami. Jednak jako czytelniczka wszystkich – przez długie lata – rękopisów była ich faktycznym cenzorem.

Leduc ma uchwyt na zdania. Jej zdania dyszą, są krótkie, szybkie, mocne.
Dziwią, wymagają wysiłku, dogadania, domyślania się. Tkwi w nich poetycka siła.

Wykreślała drastyczne w jej mniemaniu opisy miłości lesbijskiej czy innych erotycznych wyczynów Violetty. Poza tym tępiła poetyckie ekscesy, ujarzmiała styl. Sama pisała bezobrazowo, sucho; jej interwencje we fragmenty erotyczne zdają się jednak pozostałością smaku mieszczańskiego, złogami pruderii, których Simone z siebie nie wyrugowała.

Przysłowiowa brzydota

Leduc uwzględniała jej interwencje, zaczęła buntować się bardzo późno. Prozy Beauvoir nie lubiła; trudno nie przyznać jej racji, uznając za jedyne jej istotne dzieło publicystyczną „Drugą płeć", a resztę traktując wyłącznie jako bardzo ciekawy dokument socjologiczny tamtych czasów. Tyle że Violette przez wiele lat kochała się w Simone, była w jej cieniu i jej cieniem, stawała się niemalże jej – a także innych osób, które obdarzyła uczuciem – stalkerem.

Tej niespełnionej miłości poświęciła oddzielną książkę, lecz Simone wciąż wraca w innych. Można aż za łatwo domniemywać, że Leduc, śmiertelnie zraniona w dzieciństwie, niczego tak się nie obawiała jak porzucenia i zarazem tę sytuację bycia porzuconą wciąż odgrywała.

Promenowała swoje zranione ego po wszelkich granicach, za którymi zaczyna się odjazd; przez jakiś czas leczyła się psychiatrycznie. Jej skąpstwo zamieniło się w manię, zapraszała uroczyście na kawę, za którą samemu trzeba było płacić; padała chwilami ofiarą ostrej histerii prześladowczej, poczucia krzywdy wyrządzanej jej przez cały świat. Któregoś dnia, po przeczytaniu eseju Sartre'a o malarstwie Tintoretta, w którym pojawiło się słowo „brzydota", stała godzinami przed jego drzwiami w stanie skrajnego wyczerpania. Albowiem słowo odniosła wprost do siebie i poczuła się wystawiona na jarmarczny – patrzcie, co za monstrum! – pokaz.

Owszem, jej brzydota (nos Pinokia albo Cyrano de Bergeraca) była w środowisku wręcz przysłowiowa. Beauvoir od początku do końca w swojej korespondencji do różnych osób nazywała ją „*la femme laide*"; to nawet nie jest nasze miękkie Brzydula, trzeba to przekładać ostrzej. Violette umiała nabrać dystansu, zrobiła operację plastyczną, lecz od początku życia – jako dziecko z nieprawego łoża, pozbawiona w ówczesnej Francji praw przysługujących dzieciom „legalnym" – ugrzęzła w kompleksie inności.

Tego kompleksu nie dawało się ujarzmić. Cioran pisał: „plemnik ze mną zwał się Nieszczęście", ona pisała, że przyszła na świat jako Błąd. Później znane stały się jej słowa: „Jestem pustynią, która gada". Ich inna wersja: „jestem modliszką, która zżera siebie samą". Miała nos (!) do nieszczęścia i krzywdy jak pies do trufli; padła ich ofiarą, lecz także wywoływała je, wręcz do siebie przyciągała. By szukać źródeł tego przekleństwa, poczucia samotności, odrzucenia, odmienności, należałoby pootwierać psychoanalityczne szuflady. Ale już gołe fakty wskazują na przyczyny.

Coś z drugorzędnej powieści dziewiętnastowiecznej: była dzieckiem przypadku, plemnik Błąd wepchany przez bogatego pana zetknął się z młodym jajeczkiem służącej. Służąca wyjechała, pana nie było, pojawił się raz czy drugi, zresztą szybko umarł. Violette nienawidziła go i kochała zarazem fantazmatycznie. Podobnie było z matką, żywiła dla niej dwa sprzeczne uczucia, z oczywistym wskazaniem na nienawiść, zwłaszcza od chwili, gdy matka wyszła za mąż za bogatego sklepikarza. Oddana do szkolnego pensjonatu i tam prześladowana ze względu na lesbijski romans, Violette czuła się osaczona ze wszystkich stron i kosmicznie samotna.

Trudny tytuł

Dotychczas na polski przełożono w roku 1974 jej krótką, późniejszą i mniej znaną opowieść, „Dama z liskiem" (bohaterką jest stara żebraczka); względnie mało jak na jej twórczość autobiograficzną. Teraz

ukazuje się jej debiutancka książka „Duszność" (1947), chłodno przyjęta w chwili jej publikacji. Jak każda kolejna, nie jest to powieść; Francuzi mówią na tę formę *récit*, czyli coś między opowieścią a opisem faktów. Zaczyna się od słów, które stały się obiegowym cytatem. Wkrótce po słynnym incipicie „Obcego" Camusa, „Wczoraj umarła mama. Albo dzisiaj, nie wiem", usłyszano: „Moja matka nigdy nie podała mi ręki". Po raz pierwszy w literaturze francuskiej ktoś desakralizował matkę na taką skalę.

Do Camusa, który był wówczas również dyrektorem oficyny Gallimarda, rękopis dotarł za pośrednictwem Beauvoir. Spodobał mu się, szybko wydał i napisał (na 99 proc. to on) kilka zdań na obwolutę. Cytuję niemal w całości, skoro jest to jego nieznany tekst: „Czy należy mówić tu (...) o wspomnieniach z dzieciństwa? Tak – pod warunkiem, że usuniemy z tego określenia całą jego mdłość, konwencjonalność, obłudę i uznamy, że dzieciństwo jest fazą życia jak inne i że jak inne nurza się w rzeczywistości najbardziej konkretnej i tragicznej. Jeśli o tym zapomnimy, niczego nie zyskamy, poza w najlepszym przypadku kilkoma próżnymi czułostkami; albo doznaniem pustki, jaką znają »dorośli«, gdy powracają do swojego dzieciństwa. Violettę Leduc taka pustka przeraża; zapełnia ją znojnie i skutecznie – jak czynią ci, których dzieciństwo nigdy nie opuści. »Duszność« to jest trudny tytuł. Pojmą go ci, którzy umieją jeszcze oddychać – gdyż u podstawy ich dzieciństwa tkwiła poezja".

Przytaczam Camusa z innej jeszcze, ważniejszej przyczyny: w kilku słowach ujął sedno tego pisarstwa. U Violetty Leduc doznanie biograficzne będzie zarazem doznaniem poetyckim. Mówiąc wprost: żadnych ckliwości, nostalgii, wspomnień dla wspomnień, ale też żadnego bezpośredniego użalania się, resentymentów wywalonych kawa na ławę; jeśli krzywdy i nieszczęścia, to w przeważającej mierze przepracowane literacko.

Jak większość dzisiejszych autorów i autorek prozy autobiograficznej zapewniała na wszelki wypadek: „to jest literatura". Tyle że w jej przypadku nie było to gołosłowne. Goło-słowne, czyli takie pisanie, w którym górę bierze sprawozdawczość faktograficzna i słowa, zmuszone do striptizu, odarte są z literackiej inwencji; co najwyżej nieudolnie ją naśladują.

U Leduc wyobraźnia działa żywiołowo, jest jej naturalnym środowiskiem. Leduc ma uchwyt na zdania. Jej zdania dyszą, są krótkie, szybkie, mocne i mają często, nawet te mniej udane, „to coś". Dziwią, wymagają wysiłku, dogadania, domyślania się; tkwi w nich poetycka siła. Z tego powodu wydaje mi się pisarką wyraźnie lepszą niż noblistka Annie Ernaux. Osobną, osobliwą. Ale zapewne mniej istotną – zwłaszcza gdy szukać w literaturze diagnoz socjologicznych, scen życia na prowincji, źródeł resentymentów, analiz wykluczenia i dyskryminacji.

Oczywiście w prozie Leduc również kryje się – jakby pod spodem, bez komentarza – obraz Francji nawet nie drugo-, lecz trzeciorzędnej. Zamieszkałej przez kobiety dyskryminowane na każdym kroku; i ogólnie przez ludzi zranionych, ubogich, świadomych, by wypowiedzieć to słowami Juliana z powieści Stendhala, „nikczemności swojego losu" i nieprzynależności „do waszej, Panowie, sfery".

Jednak nie nierówności interesują Violettę Leduc, a same przejawy życia. Jak to życie wygląda, gesty, sposoby mówienia, patrzenia, reakcji. Pisała: „Nie lubię ludzi śpiących". Potrzebowała wrzenia wokół; zapewne przykrywało otchłań. Nawet jeśli, jak w przypadku Beauvoir czy Ernaux, jej pisanie było sposobem odegrania się na zastanym porządku obyczajowym, na przełamywaniu klisz, przyzwyczajeń i nakazów usztywniających życie do niemożliwości, to Leduc szła dalej: mogła istnieć tylko i wyłącznie pisząc.

Prawdopodobnie gdyby nie pisała i nie umiała tego robić, żyłaby o wiele krócej. Odnoszę wrażenie, że dosłownie wżerała się w materię słów, by w ten sposób wżerać się we własne istnienie, podsycać ogień.

Pisarski młynek

Nie odbyła żadnej poważnej edukacji, lecz dużo czytała. Lubiła Prousta. Nie tylko to, że podobnie jak u niego babka – co opisuje w „Duszności" – była ważniejsza od matki, gdyż kontaktowała ją z życiem na ciepło. Dlatego przede wszystkim, że miała pokrewną skłonność do oglądu. Umiejętność dostrzegania szczegółu.

Oto – drobny przykład – w kolejnej autobiografii znajduje się w kawiarni z Beauvoir, Sarraute i Colette Audry. Rozmowa dotyczy Faulknera. Towarzyszki mają coś do powiedzenia, wygłaszają opinię. Leduc nie bardzo wie, co sądzić, czeka, za to bacznie obserwuje mimikę twarzy swoich rozmówczyń. Teatr ciała, wstęp do ludzkiej komedii, bardzo to proustowskie.

Sarraute zaciska wargi, w jej tonie czuć znużenie, ciężar i gdy mówi, robi długie przerwy, „porusza się, szczędząc kroków, po ruinach i gruzach". Ale żadnej u Leduc proustowskiej naiwności czy, jak kto woli, artystycznego pomysłu na odnajdywanie czasu. W pierwszym akapicie „Bękartki" pisze: „Przeszłość nie żywi. Odejdę tak, jak przyszłam. Nietknięta, pod ciężarem moich wad, które rozdzierają mnie do bólu. Chciałam urodzić się jako pomnik, jestem ślimakiem w kupie gnoju".

Od początku do końca była materią swoich książek. Nieznużenie kręciła swój pisarski młynek z „ja" w środku. To mogło, zwłaszcza w późniejszych książkach, stawać się nużące, opatulała się poetyzmami, metaforami, trochę się ze sobą pieściła, trochę histeryzowała. Była kronikarką siebie, literacką nadzorczynią własnej codzienności; teatralizowała rzeczywistość. Po drodze, podczepiona pod kulturalny, „kultowy" świat Bulwaru Saint-Germain, opisywała jego fizjologię, jego przemarsz ciał (zatrudnionych mozolnie do ekspresji ducha) i idei (jakich, to nie miało dla niej znaczenia) przez kawiarnie i wydawnictwa.

To pozostaje ciekawe dla historyków i romanistów, tyle znanych nazwisk. Jednak dla literatury i historii obyczajów – oraz dla pisarek szukających patronek, które uczą odwagi i bezkompromisowości – ważniejsze są jej książki dotyczące dzieciństwa (jak „Duszność"), młodości i jej trudnych, prześladowanych miłości, seksualności, będącej niekiedy narzędziem opresji wobec słabszych i bezbronnych, lecz przede wszystkim nieprawdopodobnie intensywnym żywiołem, którego najgłębsze moce, jak pokazuje Violette Leduc, opisać może tylko kobieta.

© MAREK BIEŃCZYK

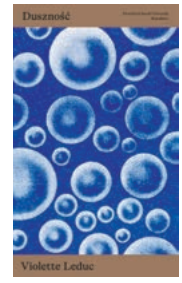

Violette Leduc,
DUSZNOŚĆ,
tłum. Jacek Giszczak,
Karakter,
Kraków 2026

AGATA GRZYBOWSKA

ŁUKASZ ŻAL
(ur. 1981 r. w Koszalinie) jest dziś jednym z najbardziej rozchwytywanych operatorów filmowych. Ma na koncie współpracę z Pawłem Pawlikowskim, Jonathanem Glazerem czy Chloé Zhao. A to wciąż, jak się wydaje, dopiero początek. W tym sensie Żal idzie w ślady Janusza Kamińskiego, Sławomira Idziaka, Andrzeja Sekuły czy Pawła Edelmana – autorów zdjęć, którzy współtworzyli wiele z najgłośniejszych i najistotniejszych obrazów drugiej połowy XX wieku. Bez większej przesady można powiedzieć, że kadry z „Idy", „Strefy interesów" czy „Hamneta" znane są pod wszystkimi szerokościami geograficznymi – wszędzie tam, gdzie ogląda się filmy. Ich twórcy przyniosły one nie tylko międzynarodowe uznanie, ale również nominacje do najważniejszych nagród branżowych, ważną „walutę" na globalnym rynku filmowym. Co ważne, Łukasz Żal dopracował się bardzo wyrazistego, indywidualnego języka wizualnego, rozpoznawalnego już od pierwszych kadrów. A to udaje się nielicznym.

Na zdjęciu: Łukasz Żal z reżyserką Chloé Zhao na planie filmu „Hamnet"

Mistrz świata

JULIUSZ PIELICHOWSKI

PORTRET | Łukasz Żal pokazuje nam doświadczenia ludzi próbujących odnaleźć tożsamość w świecie przed katastrofą, w jej trakcie i tuż po niej.

Fascynacja obrazem pojawiła się u niego wcześnie. Ważną rolę odegrał aparat fotograficzny ojca, który stał się impulsem do głębokiego zanurzenia w hobby. Szybko stało się ono codzienną praktyką i narzędziem świadomego obserwowania rzeczywistości – szkołą wrażliwości na światło, kompozycję i emocje ujmowane za pomocą zdjęcia.

Jako nastolatek Łukasz Żal uczestniczył w warsztatach filmowych organizowanych w rodzinnym Koszalinie. Naturalnym krokiem było podjęcie studiów w słynnej łódzkiej Filmówce, od lat kształcącej operatorów należących do światowej czołówki. Żal ukończył tam studia na Wydziale Operatorskim w 2007 r. Szczególnie ważne okazały się inspiracje płynące od profesorów podkreślających znaczenie prostoty i precyzji kompozycji.

Z filmów z okresu studiów do dziś uwagę zwraca etiuda „Mistrz świata" (2006) – krótki metraż, w którym Żal odpowiadał za reżyserię, scenariusz i – rzecz jasna – zdjęcia. Już w tej prostej historii młodego mężczyzny, który z okazji 50. urodzin swojego ojca próbuje zmierzyć się z trawiącą ich apatią i życiową ociężałością, można zauważyć przywiązanie do kilku nadrzędnych zasad.

Blisko człowieka

Jak każdy młody filmowiec, pierwsze doświadczenia filmowe Żal zdobywał przy krótkich metrażach, produkcjach dokumentalnych i innych projektach realizowanych głównie przez podobnych mu twórców – młodych, dopiero wypracowujących własny język. Niejednokrotnie zresztą podkreślał, że praca przy mniejszych projektach pozwoliła mu eksperymentować

MATERIAŁY PRASOWE

W „Strefie interesów" zastosowano system wielu ukrytych kamer rozmieszczonych w przestrzeni domu i ogrodu rodziny Hössów.

mentować z obrazem i rozwijać indywidualny styl.

Co ciekawe, krytycy bardzo wcześnie zwrócili uwagę na jego umiejętność budowania nastroju za pomocą światła oraz oszczędnych, ale niezwykle sugestywnych środków wizualnych – poniekąd na przekór panującej wówczas nie tylko w polskim kinie fascynacji popkulturą z jej językiem wizualnego nadmiaru.

Jednym z pierwszych znaczących doświadczeń po ukończeniu szkoły filmowej była praca w charakterze operatora przy filmie „U Pana Boga za miedzą" (2009) w reżyserii Jacka Bromskiego. Na planie współpracował z wykładowcą łódzkiej szkoły filmowej Ryszardem Lenczewskim. Relacja zawodowa z Lenczewskim miała się wkrótce okazać kluczowa dla dalszego rozwoju kariery młodego twórcy.

Równolegle, jak wszyscy operatorzy dopiero zdobywający pozycję, realizował zdjęcia do reklam, teledysków czy produkcji telewizyjnych. Ważnym etapem była także praca przy filmach dokumentalnych takich jak „Paparazzi" (2011) Piotra Bernasia oraz „Joanna" (2013) Anety Kopacz. W produkcjach tych Żal wypracował charakterystyczny styl oparty na dyskretnej obserwacji bohaterów – umiejętności uchwycenia emocji bez naruszania intymności filmowanych osób.

I tym razem to głównie zdjęcia przykuły uwagę krytyków i środowiska filmowego.

Dużo przestrzeni

Dzięki zdobytemu doświadczeniu i wcześniejszej współpracy z Lenczewskim Łukasz Żal trafił na plan filmu „Ida" (2013) Pawła Pawlikowskiego. Początkowo miał pracować pod kierunkiem nauczyciela, który był stałym operatorem Pawlikowskiego i odpowiadał za zdjęcia do jego wczesnych projektów fabularnych – „Ostatniego wyjścia" (2000) i „Lata miłości" (2004). To właśnie współpraca z Pawlikowskim stała się dla Żala przepustką do międzynarodowej kariery. Film wyróżniał się czarno-białą estetyką, ascetyczną kompozycją obrazu i niezwykłą precyzją wizualną. Charakterystyczne kadry z dużą ilością pustej przestrzeni nad głowami bohaterów podkreślały ich samotność i zagubienie.

Kamera często pozostawała nieruchoma, a oszczędność środków formalnych sprawiała, że uwaga widza koncentrowała się na emocjach postaci. W „Idzie" obraz nie pełni funkcji dekoracyjnej – staje się narzędziem refleksji nad pamięcią, historią i tożsamością. Film bardzo szybko zdobył uznanie krytyków na całym świecie, a Żal z dnia na dzień znalazł się w gronie najbardziej rozpoznawalnych operatorów młodego pokolenia.

Podobny sukces – i, być może, jeszcze większą precyzję artystyczną – Pawlikowski i Żal osiągnęli w „Zimnej wojnie" (2018). Historia miłości Zuli i Wiktora, rozgrywająca się na tle powojennej Europy, podzielonej żelazną kurtyną, dała obu twórcom jeszcze większe pole do popisu. Ponownie sięgnęli po czarno-białą estetykę, tym razem jednak kładąc nacisk na bardziej dynamiczny i emocjonalny charakter snutej narracji. W wymiarze wizualnym więcej jest ruchu kamery, częściej podąża ona za aktorami.

Do mistrzostwa doprowadzona została tu kompozycja. Żal z finezją buduje świat pełen kontrastów: pomiędzy Polską a Zachodem, wolnością a zniewoleniem, miłością a rozstaniem. Poszczególne kadry przywodzą na myśl starannie skomponowane fotografie, jednocześnie pozostając integralną częścią filmowej narracji.

Naturalne światło

Inne podejście, choć u swych podstaw rządzące się podobnymi zasadami, ↦

MATERIAŁY PRASOWE

W „Idzie" obrazy Żala są narzędziem refleksji nad pamięcią, historią i tożsamością.

↦ odnaleźć można w „Strefie interesów" (2023) Jonathana Glazera, która już w dniu premiery została zaliczona do najważniejszych – nie tylko w kinie współczesnym – dzieł podejmujących temat Holokaustu.

Jej twórcy świadomie unikali efektownego stylizowania obrazu. Nie próbowali ilustrować zbrodni, jakich dokonano w obozie koncentracyjnym w Auschwitz, za pomocą spektakularnych obrazów przemocy. Zamiast tego zbudowali przejmującą wizję codzienności, w której zbrodnia pozostaje niemal niewidoczna, choć jest przecież nieustannie obecna.

W „Strefie interesów" zdjęcia są nie tylko środkiem narracji, lecz także narzędziem refleksji nad naturą ludzkiej obojętności. Operator z reżyserem zrezygnowali z tradycyjnego sposobu filmowania, w którym kamera podąża za bohaterami i podkreśla ich emocje. Zamiast tego zastosowano system wielu ukrytych kamer rozmieszczonych w przestrzeni domu rodziny Hössów. Pozwoliło to aktorom swobodnie poruszać się po planie, a obraz uzyskał charakter niemal dokumentalnej obserwacji. Widz nie ma poczucia uczestnictwa w starannie wyreżyserowanej scenie, obserwuje życie bohaterów z dystansu, niczym świadek codziennych wydarzeń. Dominują naturalne lub stylizowane na naturalne źródła światła, co wzmacnia wrażenie autentyczności. Zdjęcia pozbawione są dramatycznych kontrastów, charakterystycznych dla wielu filmów historycznych.

Wyjątkowym rozwiązaniem są także sceny nocne realizowane przy użyciu kamer termowizyjnych. Ich odmienne, niemal abstrakcyjne obrazy tworzą kontrapunkt dla realistycznej estetyki filmu. Wprowadzają perspektywę osób próbujących przetrwać poza oficjalnym światem przedstawionym i podkreślają obecność tych, którzy pozostają niewidoczni dla bohaterów żyjących po drugiej stronie muru.

Kadry są tu często statyczne. Taka strategia sprawia, że widz zostaje zmuszony do samodzielnej obserwacji i interpretacji wydarzeń. Kamera nie narzuca emocji, lecz pozostawia przestrzeń dla refleksji. Groza nie wynika z dosłowności, ale z uświadomienia sobie, jak blisko codziennego życia może funkcjonować system masowej zagłady.

Dom komendanta Auschwitz przedstawiony jest jako miejsce spokojne, uporządkowane i pełne rodzinnego ciepła: jasne wnętrza i zadbany ogród tworzą obraz idealnego życia, choć tuż za murem znajduje się obóz koncentracyjny. W tle zwyczajnych scen rodzinnych słyszymy odgłosy strzałów, krzyków i pracy krematoriów. To podejście okazało się jednym z kluczowych sposobów ukazania nam – ludziom próbującym sobie dziś wyobrazić, czym był Holokaust – niewyobrażalnego zła.

Intymne ujęcia

W rozmowach towarzyszących premierze „Hamneta" (2025) Chloé Zhao (reżyserki nagrodzonego Oscarem filmu „Nomadland") Łukasz Żal przyrównał kamerę do uczestnika opowieści, który może być blisko bohaterów, ale może też obserwować ich z dystansu albo przyjmować punkt widzenia niemal wszechwiedzącego narratora. Niejednokrotnie podkreślał on także, że fotografia nauczyła go cierpliwej obserwacji świata. W filmach przez niego sygnowanych można dostrzec szczególną wrażliwość na pojedynczy kadr, a jednocześnie zauważalna jest w nich pełna świadomość, że kino oferuje więcej niż fotografia – możliwość budowania emocji poprzez czas, ruch i relacje między kolejnymi obrazami.

Ważnym aspektem „Hamneta", którego akcja rozgrywa się na przełomie XVI i XVII w., jest głębokie zakorzenienie życia głównej bohaterki w naturze. Krajobraz jest tu traktowany jako integralny element opowieści. Wiejskie przestrzenie, pola, lasy oraz zmieniające się pory roku nie stanowią tła dla wydarzeń – odzwierciedlają także stany emocjonalne postaci. I tu daje o sobie znać charakterystyczna cecha stylu Żala, jaką jest wykorzystanie naturalnego światła. Wnętrza domów rozświetlają świece, ogień kominków oraz światło wpadające przez niewielkie okna.

Taki sposób filmowania pozwala stworzyć atmosferę bliskości i intymności. Widzowie mają poczucie, że obserwują prawdziwe życie ludzi epoki elżbietańskiej, a nie historyczną rekonstrukcję przygotowaną na potrzeby filmu. Szczególnie interesujące jest tu również wykorzystanie zbliżeń. Żal koncentruje uwagę widza na twarzach bohaterów, traktując je jako przestrzeń emocjonalnej narracji. W chwilach bólu, tęsknoty czy miłości kamera pozostaje bardzo blisko postaci, pozwalając nam obserwować najdrob-

niejsze zmiany wyrazu twarzy. Takie rozwiązanie wzmacnia psychologiczny wymiar filmu i sprawia, że historia rodziny Shakespeare'ów staje się doświadczeniem niezwykle osobistym.

W warstwie kolorystycznej dominują stonowane barwy inspirowane naturalnym krajobrazem: odcienie zieleni, brązu, szarości i złota. Taka paleta barw buduje atmosferę spokoju, która stopniowo ustępuje miejsca melancholii związanej z narastającym doświadczeniem straty. Żal unika intensywnych kontrastów, wybierając subtelne przejścia tonalne i miękkie światło. Dzięki temu obraz przypomina malarstwo europejskie z okresu renesansu i baroku.

Co warto jednak podkreślić, Żal nigdy nie traktuje obrazu jako dekoracji – nawet gdy kadr może przywodzić na myśl dzieło sztuki malarskiej. Kamera jest obecna tylko wtedy, gdy jej obecność ma uzasadnienie dramaturgiczne. Realizowanie scen z wielu perspektyw wyłącznie dla walorów wizualnych jest wykluczone. Każdy ruch kamery musi wynikać z emocji bohaterów lub potrzeb narracji. Chwyty formalne nie mogą dominować nad treścią.

Stąd w jego zdjęciach oszczędne środki wyrazu i długie, potrzebujące oddechu ujęcia. Powściągliwość nie oznacza rezygnacji z ekspresji. Kamera nie jest neutralnym rejestratorem rzeczywistości. Sposób kadrowania, ruchu kamery czy miejsce jej ustawienia wpływa na sposób, w jaki odbierana jest opowiadana historia.

Krajobraz ruin

Zaprezentowana kilka tygodni temu na festiwalu w Cannes „Ojczyzna" (2026) opowiada historię Tomasza Manna i jego córki Eriki, odbywających w 1949 r. podróż przez podzielone Niemcy, mierzących się z pytaniami o pamięć, winę i znaczenie ojczyzny po katastrofie II wojny światowej. Razem z „Idą" i „Zimną wojną" dopełnia „powojenną trylogię" Pawlikowskiego i Żala, składając się na gruncie estetyki obrazu na niezwykle spójny cykl, w których poszczególne kadry stają się równorzędnym wobec innych środków ekspresji filmowej elementem narracji.

W warstwie wizualnej twórcy „Ojczyzny" powracają do estetyki czerni i bieli, która stała się jednym z fundamentów ich wspólnego języka filmowego. Jednak w przeciwieństwie do surowej „Idy" i nieco romantycznej „Zimnej wojny", „Ojczyzna" wykorzystuje ascetyczny obraz do budowania atmosfery podróży przez krajobraz moralnych i historycznych ruin.

Powojenne Niemcy ukazane są jako przestrzeń pełna śladów niedawnej katastrofy, a czarno-białe zdjęcia podkreślają poczucie niepewności oraz historycznego zawieszenia, nie będąc przy tym jedynie stylizacją historyczną ani próbą odtworzenia wizualnego charakteru epoki. Jak miało to miejsce w przypadku „Idy" i „Zimnej wojny", są raczej narzędziem interpretacji rzeczywistości: Niemcy przedstawione w filmie nie są realistycznym zapisem konkretnego miejsca, raczej krajobrazem pamięci – także samych bohaterów – przestrzenią istniejącą pomiędzy wspomnieniem a teraźniejszością.

Żal od lat udowadnia, że potrafi budować narrację przede wszystkim za pomocą kompozycji obrazu. W „Ojczyźnie" wizje samotności i oddalenia nabierają szczególnego znaczenia. Bohaterowie umieszczani są często na obrzeżach kadru lub zostają przytłoczeni przez architekturę oraz rozległe przestrzenie. Ten sposób kadrowania przywołuje skojarzenia z „Idą", gdzie postacie również wydawały się zagubione w świecie większym od nich samych. Tutaj jednak proporcje między człowiekiem a przestrzenią nabierają wymiaru politycznego i historycznego – Tomasz Mann wraca do kraju, który jest jednocześnie jego ojczyzną i miejscem wyobcowania.

Kamera Żala doskonale podkreśla ten paradoks, pokazując bohatera jako figurę zawieszoną pomiędzy przynależnością a wygnaniem. Operator nie jest zainteresowany rekonstrukcją epoki, lecz ukazaniem doświadczenia ludzi próbujących odnaleźć tożsamość w świecie – przed katastrofą, w jej trakcie i tuż po niej.

© JULIUSZ PIELICHOWSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

■ **DOBRY OMEN**, *sezon 3, reż. Rachel Talalay, Amazon Prime*

MATERIAŁY PRASOWE

Pewnie czytaliście już wszystkie miażdżące recenzje. Po tym, jak pisarz Neil Gaiman został oskarżony o przemoc seksualną, producenci serialu „Dobry omen" ograniczyli jego zaangażowanie w trzecią część, mimo że w lutym 2026 r. trzy pozwy przeciwko niemu zostały oddalone. Najpierw nie było wiadomo, czy „trójka" w ogóle powstanie. Ale widocznie presja fanów przeważyła, bo powiedzieć, że finał dwójki pozostawił ich w zawieszeniu, to nic nie powiedzieć. Tyle że zamiast sześcioodcinkowego serialu powstał 90-minutowy film, w dodatku z wyraźnie obciętym budżetem. Rezultatu można się domyślić. To potwornie okaleczona historia w telenowelowej estetyce. W pierwszej części, opartej na fabule powieści Gaimana i Terry'ego Pratchetta z 1990 r., śledziliśmy perypetie anioła Azirafala (Michael Sheen) i demona Crowleya (David Tennant), którzy kumplują się w tajemnicy przed przełożonymi, ceniąc uroki ziemskiego życia. Gdy „góra" postanawia, że czas na Apokalipsę, próbują ją udaremnić. W części drugiej bohaterowie próbują rozwikłać zagadkę amnezji archanioła Gabriela, a w finale Azirafal otrzymuje propozycję pracy nad poważnym projektem i porzuca Crowleya, który właśnie wyznał mu miłość (twórcy serialu nie wytrzymali z postaciami zbudowanymi na świetnym niedopowiedzeniu i dokręcili śrubę). Ów projekt jest osią fabuły części trzeciej. Chodzi o Drugie Przyjście, które Azirafal chce złagodzić i ograniczyć do przemówienia w ONZ, bez całego tego przemijania nieba i ziemi. Niestety, tajemnicza kradzież Księgi Życia krzyżuje mu plany. Jeśli w streszczeniu brzmi to głupawo, w tym właśnie rzecz: geniusz pisarstwa Pratchetta (który zmarł w 2015 r., nie doczekawszy ekranizacji) i Gaimana polegał na tym, że poprzez takie tańce z konwencjami i kanonami potrafiło ono opowiadać o rzeczach najważniejszych. Duet snuł opowieść o wyjątkowości ludzkiej natury, której istoty wszechmogące nie zrozumieją, bo nie pozwala im na to właśnie ich wszechmoc. Ludzkiej natury, która fascynuje i zachwyca Azirafala i Crowleya, tak jak w „Świecie dysku" Pratchetta fascynowała ona Śmierć. Niestety, „Dobry omen 3" to dowód, że nie każdy może być Pratchettem i Gaimanem. Zamiast satyry na niebo i piekło funkcjonujących jak skrzyżowanie weberowskich biurokracji, jest parodia i teatrzyk, a z przesłania zostaje toporny ateizm dla początkujących. Potencjał historii o wypalonym archaniele i wcielonym na nowo Jezusie trafiającym omyłkowo do Soho byłby mocarny, gdyby twórcy zapamiętali z Pratchetta coś więcej niż tylko slapstickowego Rincewinda, a fabuły nie skracali tasakiem. Motywacje postaci giną w zalążku, bohaterowie nie wiedzą, za czym gonić. Ale skłamałbym, utrzymując, że się ani przez moment dobrze nie bawiłem. A to za sprawą chemii duetu Sheen–Tennant i sentymentu do duetu Azirafal–Crowley. Można się też pogodzić z nieznośną z początku telewizyjną estetyką, biorąc ją za sposób na oddanie pratchettowskiej umowności. Paradoksalnie, to właśnie dopisany wątek miłości anioła i demona ratuje tę opowieść, w której finale Sheen gra już nie miną, lecz spojrzeniem, a zakończenie pozwala fanom błogo się uśmiechnąć. O ile się wcześniej nie zakrztusili. ©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI

■ *Krzysztof Gil,* **NIKT WAS TU NIE CHCE,** *Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki w Warszawie, do 9 sierpnia*

MATERIAŁY PRASOWE

Krzysztof Gil, Savoir-vivre, 2026 r. , olej, płótno

Tytuł wystawy brzmi jak internetowy komentarz. Można powiedzieć, że Krzysztof Gil opowiada dobrze znaną historię o wykluczeniu i stereotypach. Tematy ważne, ale przecież obecne już w sztuce współczesnej. Artysta idzie jednak dalej – obnaża mechanizmy prowadzące do ich powstawania. Wystawa rozpoczyna się instalacją „Kuźnia", którą można czytać jako nawiązanie do zawodu tradycyjnie kojarzonego z Romami. Tyle że to od włoskiego słowa *ghèto*, oznaczającego kuźnię, pochodzi nazwa pierwszej zamkniętej dzielnicy utworzonej dla Żydów w XVI-wiecznej Wenecji. Szczególnie mocno działa „Niedzielne popołudnie" inspirowane obrazem Georges'a Seurata. Gil bierze wizerunek, który w kulturze Zachodu stał się symbolem mieszczańskiego ładu, i pokazuje, kto został z niej wykluczony, kogo nie zaproszono na piknik nad Sekwaną. Kontynuacją tego wątku jest obraz „Widok z okna", nawiązujący do rodzinnych wspomnień. Niemal idylliczne rodzinne popołudnie zostaje zmącone aktem agresji: po szybie spływa rozbite jajko. Przemoc przychodzi jako akt pozornie błahy, ale wystarczający, by przypomnieć mieszkańcom domu, że ktoś po drugiej stronie okna uważa ich za obcych. Warto podkreślić, że nie jest to wystawa, która kogokolwiek oskarża. Raczej zaprasza do rozmowy o tym, jak patrzymy na innych oraz jak powstają obrazy, które uznajemy za rzeczywistość. W tym sensie malarstwo Gila wydaje się ważnym głosem we współczesnej sztuce romskiej. Po spektakularnym sukcesie Małgorzaty Mirgi-Tas pojawia się artysta konfrontujący odbiorcę z doświadczeniem społecznego napięcia. Tam, gdzie Mirga-Tas budowała wielobarwną opowieść o obecności, Gil pyta o jej cenę oraz mechanizmy, które wciąż pozwalają zamykać ludzi w gettach. ©℗ JACEK TARAN

■ **GOTHIC REMAKE**,
Alkimia Interactive, 2026

Gra RPG z niewielkiego studia Piranha Bytes miała na polskich graczy wpływ tak ogromny, że do inspiracji tytułem przyznają się nawet projektanci „Wiedźmina" z CD Projekt RED. Produkcja trafiła u nas na podatny grunt. Dwadzieścia lat temu nie dysponowaliśmy nadmiarem gotówki, nie każdy dobrze znał też język angielski czy niemiecki. A CD Projekt sprzedawał akurat „Gothica" z profesjonalnym polskim dubbingiem za stosunkowo niewielką cenę. Jak na grę fabularną w świecie fantasy, w której obserwujemy akcję zza pleców bohatera, tytuł okazał się całkiem oryginalny. Opowiadał historię skazańca, który trafia do kolonii karnej ogrodzonej magiczną barierą. Więźniowie wydobywają tu rudę, potrzebną do walki z najeźdźcą,

a w zamian otrzymują wszystko, czego zażądają – poza wolnością. Każdą misję może wykonać na wiele sposobów, często wymagających nieszablonowego myślenia i uwagi. Większość świata możemy swobodnie zwiedzać, wchodząc w interakcję z mnóstwem obiektów. Gra nieźle symuluje też zwyczajne życie – bohaterowie mają swoje rutyny i zajęcia zgodne z rytmem dobowym, a wędrówka każdorazowo wiąże się z ryzykiem. Polscy gracze pokochali surowy, brutalny klimat „Gothica" bardziej niż baśniową konkurencję („Morrowind", „Neverwinter Nights"). Grze wybaczono błędy techniczne i dosyć niewygodne sterowanie. Kontynuajcja gry, „Gothic 2", trafił do nieco szerszego grona odbiorców i, choć był mniej oryginalny (opowiadał o polowaniu na smoki), także zyskał sympatię. „Gothic 3" okazał się jednak projektem zbyt ambitnym i Piranha Bytes straciła prawa do tytułu. Dziedzictwo „Gothica" przetrwało w DNA „Wiedźminów" czy „Kingdom Come: Deliverance" – to także gry surowe i wymagające, opowiadające o konkretnych bohaterach, a nie o postaciach, które sami tworzymy. Po latach i rozmaitych prawnych przebojach prace nad „Gothic Remake" powierzono studiu Alkimia Interactive. Hiszpanie stworzyli dzieło oddające ducha oryginału, także na poziomie problemów technicznych i niedoskonałości – na tyle jednak przystępne, że już odniosło sukces.
© HUBERT SOSNOWSKI

■ *DJ Grzyb*,
THE RETURN OF DJ GRZYB,
Huveshta Rituals, 2026

Pamiętam dobrze, kiedy po raz pierwszy poznałem ludzi, którzy znali moje rodzinne strony za sprawą grzybów. I nie chodziło o borowiki ani maślaki. Okazało się, że moja mała ojczyzna jest magiczna nie tylko leśnymi wzgórzami, ale także ich psychodelicznymi wykwitami. Od tamtej pory spoglądam inaczej na skalne grzyby, wokół których trawersują wycieczki. Niewykluczone, że podobne skojarzenia zrodziły się w głowie producenta Mateusza Brzeźnego, który jako DJ Grzyb zadebiutował właśnie w katalogu londyńskiej wytwórni Huveshta Rituals. Jego płyty „The Return of DJ Grzyb" można słuchać równolegle z lekturą „Wszystko to zbyt małe" Bekki Rothfeld, bo to również pochwała nadmiaru. W tym przypadku jest on obecny na

poziomie inspiracji, liczby gości czy towarzyszącej wydawnictwu mitologii. Brzeźny szuka podglebia dla muzycznej psychodelii w Gorcach. Jego utwory krążą wokół lokalnych legend i bohaterów, takich jak chociażby Metys – outsider, wieloletni gospodarz chatki niedaleko Turbacza. W tej wyprawie pod herbem skalnego grzyba producentowi towarzyszą artyści zainteresowani alternatywnymi formami duchowości, muzyką transową, psychodeliczną – czasem wszystkimi tymi sprawami równocześnie. Jest tu więc performer i kompozytor Andrzej Dudek-Dürer, multiinstrumentalista Milo Kurtis czy wrocławski producent Naphta, który równie chętnie sięga do muzyki klubowej, co tradycyjnej. Efekt ich pracy jest bardzo nastrojowy, wciągający spójnym brzmieniem i opowieścią, choć niekoniecznie odkrywczy. Zwłaszcza dla fanów dubu (Mad Professor, The Bug), podszytego jazzem hip-hopu („Jazz Codes" Moor Mother), a także twórczości duetu Syny i solowych dokonań jego członków (szczególnie „Beyond Echo of Time" Piernikowskiego). „The Return of DJ Grzyb" to jednak wciąż płyta, która dostarczy sporo przyjemności wszystkim miłośnikom psychodelii, zapraszającego do tańca basu oraz chodzenia po górach. W jakimkolwiek celu byście się tam Państwo nie kręcili.
© JAN BŁASZCZAK

TP W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA"

Rozmowa Jerzego Illga z amerykańską literaturoznawczynią i tłumaczką polskiej poezji Clare Cavanagh.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Bez objawienia

ANITA PIOTROWSKA

FILM | Kino w rękach Spielberga jest sprawnie działającą, acz trochę staroświecką zabawką, w którą da się upchać rozmaite ważkie dyskursy i filmowe atrakcje.

Mały rowerzysta raz jeszcze przecina tarczę księżyca – i chyba wszyscy rozpoznajemy to magiczne logo, należące do firmy Amblin Entertainment, współtworzonej przez Stevena Spielberga. Dokąd zmierza teraz i co próbuje ocalić? Amerykę, świat czy może swój niepodważalny od kilku dekad mistrzowski status?

Tym razem dzieckiem podszyty marzyciel w bejsbolówce bierze na rowerowy bagażnik Największe Sprawy Naszych Czasów: rządowe spiski i szerzącą się dezinformację, lęk przed trzecią wojną światową, przed różnej maści obcymi i oczywiście big techami, które coraz zuchwalej przejmują władzę nad światem i rządem dusz. Tworzy widowisko, które po dwu i pół godzinie pozwala odzyskać na chwilę wiarę w transparentne władze, rzetelne media, nawróconych łotrów i ludzką empatię. Jeśli komuś tylko tego potrzeba w naszych niełatwych czasach, może się poczuć usatysfakcjonowany.

Gorzej, gdy poszukuje w kinie tajemnicy spod znaku „czy jesteśmy sami we wszechświecie" albo stawia poważne pytania z pogranicza wiedzy i wiary. Film traktuje to nazbyt instrumentalnie, podobnie jak wspomniane treści społeczno-polityczne. „Dzień objawienia" zdaje się bardziej „Pojedynkiem na szosie" na sterydach dawnego *science fiction*, choć lata świetlne dzielą go od „Bliskich spotkań trzeciego stopnia" (1977), kiedy popularne kino bywało zbiorowym objawieniem.

Dziś w rękach Spielberga jest sprawnie działającą, acz trochę staroświecką zabawką, w którą da się upchać rozmaite ważkie dyskursy i filmowe atrakcje. Przede wszystkim pragnie być wielką maszyną empatii, choć produkuje raczej doraźne emocje. I zamiast zgłębiać Nieznane, najchętniej opowiada rzeczy znane aż za dobrze – głównie o nas samych.

A ludzkość, jak wiadomo, jest na krawędzi globalnej katastrofy. Kiedy więc spec od cyberbezpieczeństwa Daniel Kellner wykrada utajnione informacje z agencji Wardex, pracującej dla amerykańskiego rządu, zawarta w nich wiedza może równie dobrze zniszczyć świat, co go zbawić. Są to bowiem materiały z czasów Nixona, dowodzące lądowania w USA istot pozaziemskich, oraz filmowe zapisy okrutnych eksperymentów, jakich się na nich dopuszczano. Zatem przez pół wieku ludzkość żyła w ściśle kontrolowanej niewiedzy i ujawnienie tego faktu może spowodować jeszcze większy chaos.

W filmie nie jest też wiedzą tajemną, że gra toczy się o posiadane przez Obcych technologiczne supermoce. Bohater uciekający z plecakiem pełnym tajemnic pozna rychło na własnej skórze, jaki można zrobić z tego użytek – hakowanie ludzkich umysłów czy przewidywanie przyszłości są bronią, której stawić muszą czoła odważni ziemscy śmiertelnicy. Ale, jak się okaże, odwiedzający Ziemię kosmici zdążyli wyposażyć co poniektórych w nadludzkie umiejętności – matematyczne, językowe czy psychotroniczne. Największą jednak bronią i zarazem najwyższym stadium ewolucji, które pozytywnie odróżnia Obcych od wielu Ziemian, okazuje się empatia.

Historię tę napisał sam Spielberg, zainspirowany artykułem w „New York Timesie" o sekretnych związkach Pentagonu ze sprawą UFO. Życie zaś właśnie stworzyło do niego epilog w postaci informacji o odtajnieniu przez rząd USA materiałów dotyczących niezidentyfikowanych obiektów powietrznych (co traktuje się niczym próbę odwrócenia uwagi od spraw jak najbardziej identyfikowalnych i ziemskich). A w ramy scenariusza ujął tę opowieść częsty współpracownik reżysera, David Koepp, i może w tym tkwi główny problem z „Dniem objawienia" – że to historia jakby skądś już znana i filmowo przetrawiona.

Również przez Spielberga, toteż nic dziwnego, że nowy film sporo ma z „E.T." (1982), „Mostu szpiegów" (2015) i tytułów przywołanych wcześniej. Także z „Czwartej władzy" (2017), albowiem media, i to w swoim tradycyjnym wydaniu, odgrywają tutaj rolę niebagatelną: oto w morderczej walce o prawdę Kellnerowi towarzyszy obdarzona niezwykłymi mocami Margaret, pogodynka z lokalnej telewizji.

Ale tak jak „Fabelmanowie" (2022) byli piękną autobiograficzno-kinofilską fantazją o przeszłości, tak wybiegający w przyszłość i zarazem stęskniony za analogowymi czasami „Dzień objawienia" jawi się powtórką z rozrywki. Nawet popisowa scena z rozpędzonym pociągiem wydaje się autocytatem z wysadzenia zabawkowej kolejki w poprzednim filmie,

MATERIAŁY PRASOWE

DZIEŃ OBJAWIENIA
(Disclosure Day) – reż. Steven Spielberg. Prod. USA 2026. Dystryb. UIP. W kinach.

Zamiast charakterologicznych i filozoficznych subtelności słychać tu przede wszystkim dmuchanie w gwizdek. Tak, w dobie postprawdy sypie się zaufanie do publicznych instytucji i czasem warto posłuchać tego, co mówią do nas Obcy – nie przypadkiem przypominający ofiary XX-wiecznych hekatomb. Tyle że kaznodziejski ton, jakim wysyła Spielberg swoje przesłanie dla Ameryki i całej ludzkości, sprawia, że jeszcze trudniej wyobrazić sobie istnienie rozumnych i wrażliwych form życia na innych planetach. E.T. miał przynajmniej rozpoznawalną twarz i własny głos.

Na zdjęciu: Emily Blunt w filmie „Dzień objawienia”

a dorobek kina SF i wielu dzisiejszych technologii zostaje częściowo wzięty w nawias.

Lecz są tu ambicje dużo większego kalibru. Na przykład wątek religijny, kiedy to Jane, dziewczyna sygnalisty i niedoszła zakonnica, próbuje zablokować tytułowe „objawienie”, jako że prawda o istnieniu inteligentnych kosmitów może zagrozić pozycji zarówno wszechmocnego Stwórcy, jak i człowieka uważanego za koronę stworzenia. Stąd w omówieniach filmu pojawiają się tu i ówdzie odczytania teologiczne, utrzymane w duchu Apokalipsy, jakkolwiek Spielberga zdecydowanie bardziej interesuje wiara w człowieka, a jeszcze bardziej w dziecięcą niewinność.

Bo wszędzie tam, gdzie próbuje dotknąć nadprzyrodzonego albo zapuszcza się w rejony ufologiczne, film staje się naiwny i wtórny. Owszem, dzieje się magia, są świetliste gadżety, kręgi w zbożu, wcielanie się w dzikie zwierzęta i to ich zdumiony wzrok zastąpi „spielbergowskie spojrzenie” (pisał o nim niedawno Michał Walkiewicz, przedstawiając sylwetkę amerykańskiego reżysera). Wygenerowały go jednak komputery i gaśnie on w natłoku kina akcji, w którym wirtuozerskie zdjęcia Janusza Kamińskiego, kręcone na taśmie 35 mm, mają co prawda oldskulową szlachetność, ale już hollywoodzka muzyka Johna Williamsa dudni jak w ocembrowanej studni.

I jeśli ta „droga w nieznane” mogłaby poprowadzić w sfery nie do końca ograne, to za sprawą aktorów, głównie zresztą europejskich w tym turboamerykańskim spektaklu. Josh O’Connor jako owładnięty misją Kellner, Colin Firth, czyli jego antagonista, i Eve Hewson (prywatnie córka Bono), grająca Jane, nie mają tu co prawda wiele do roboty, lecz starają się przemycić (Firth zwłaszcza) swój „wyspiarski” sznyt. Podobnie Emily Blunt w roli mówiącej językami prezenterki – odkryta niegdyś przez Pawła Pawlikowskiego w „Lecie miłości” (2002) i zbyt pospiesznie przebrana za diablicę od Prady, próbuje traktować z lekką ironią swoją płaską postać. ©

Lektor:
Poetka wolności

▪ *Ana Blandiana,*
ZAPADA WE MNIE CISZA,
przekład z języka rumuńskiego Joanna Kornaś-Warwas. Pogranicze, Sejny 2026. Wydanie dwujęzyczne.

Wiosna 1983, uroczyste obchody 20-lecia Nagrody im. Herdera, ufundowanej przez hamburskiego kupca zbożowego Alfreda Toepfera i przyznawanej przez Uniwersytet Wiedeński. Laureatów wybierano z krajów Europy Środkowej i Wschodniej, od Polski (później też krajów bałtyckich) po Grecję, i każdy mógł wskazać stypendystę na roczny pobyt w Wiedniu. Polski laureat z roku 1982, Jan Józef Szczepański, wskazał mnie i wsparł mnie w staraniach o paszport, którego uzyskanie w stanie wojennym było prawie niemożliwe. Ale się udało.

Obchody, z udziałem sędziwego fundatora, trwały trzy dni, a podczas obiadu w Hotelu Imperial mowę w imieniu nagrodzonych wygłaszał Władysław Bartoszewski. Poprzedniego dnia była kolacja w ratuszu. Posadzono mnie przy stoliku obok eleganckiej pani o ujmującym uśmiechu. Konwersacja nieco kulała, bowiem pani – laureatka z roku 1982, rumuńska poetka Ana Blandiana – nie mówiła po niemiecku i musiałem odgrzebywać mój zardzewiały szkolny francuski. Jednak było miło.

Pierwszy wybór jej wierszy po polsku ukazał się w roku następnym. Potem dowiadywałem się o jej odważnej postawie pod rządami Ceaușescu, o jej zaangażowaniu w politykę po obaleniu dyktatora i proteście przeciw jej zawłaszczaniu przez siły antydemokratyczne, o założeniu Fundacji Akademii Obywatelskiej i stworzeniu Miejsca Pamięci Ofiar Komunizmu i Ruchu Oporu. Otrzymała wiele nagród, w tym Nagrodę Literacką Miasta Gdańska Poeta Wolności za tom „Moja ojczyzna A4” (przekład Joanny Kornaś-Warwas, 2015). Dziękując za nią, mówiła: „Gdyby nagroda przyznawana była na przykład w Paryżu, nie miałaby tak wielkiego znaczenia. Dla mnie od dziesięcioleci miasto Gdańsk było miastem Solidarności, a więc miastem odwagi i wolności”.

A teraz Międzynarodowa Nagroda im. Zbigniewa Herberta. I od razu dodać trzeba, że te piękne wiersze dalekie są od doraźności i trywialnie rozumianego zaangażowania. Tworzą przestrzeń wolności i wewnętrznej swobody, także w zadawaniu fundamentalnych pytań egzystencjalnych – o przemijanie świata i najbliższych, o trwałość miłości, o ten czas przed narodzinami, „o którym Dante nie napisał”. Na koniec jeden wiersz: „Nie wiem, czym jest poezja \ i nie potrafię \ zdefiniować Boga – \ dwa przestworza, w których \ całe życie próbuję latać \ niepewna, czy mam skrzydła”. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
My, cierpkie jabłka

Jeden do siedmiu to nie jest chyba obiecujący bilans bramek przed ostatnią niedzielną rundą meczów, ale matematyka, jak wiadomo, jest obojętna na nasze nadzieje i desperacje – zawsze powtarzam, że nie trzeba jeździć do Indii po nirwanę, starczy przysiąść nad zbiorem zadań do matury rozszerzonej. No i z tabelki wynika matematycznie, że drużyna Curaçao, która nagle wyskoczyła nam z flaszki z niebieskim likierem, może podskoczyć na drugie miejsce w grupie. Zaraz mnie Michał Okoński zruga, że niepotrzebnie bawię się marginaliami, gdybologią, odciągając uwagę od ważnych meczów, toteż zostawiam mu temat. Pewniej czuję się, buszując w innych tabelkach, np. protokole głosowań europarlamentu. Znacie na pewno mój perwersyjny feblik, kocham tę instytucję, gdzie ludzie działają, jakby się opili zielonkawego absyntu czy innego szaleju.

Parę dni temu delegacja naszego PiS-u zagłosowała razem ze wstrętnym jej lewactwem, dżenderem i ekooszołomstwem, i to mimo że wcześniej inni deputowani z grupy EKR, czyli konserwatystów i reformatorów, pomagali przepchnąć w negocjacjach właśnie procedowaną ustawę. Ale tamci to byli deputowani włoscy, widocznie bardziej reformatorscy, nasi zaś ewidentnie obstawiają konserwę. Nie rzucają ziemi, choć muszą latać do Brukseli podpisać listę, bo nie będzie diety, a twierdzą im jest każdy próg, szczególnie wyborczy. Być może policzyli sobie, że złowią nieco głosów na akwenach konfederackiej kołtunerii, próbując uwalić na ostatniej prostej doniosłą nową regulację męczoną w instytucjonalnych i lobbystycznych korowodach już trzy lata.

Unia wreszcie zreformowała swoje przestarzałe prawodawstwo dotyczące żywności modyfikowanej genetycznie. Dotychczasowe przepisy (będące *de facto* całkowitym zakazem, ubranym w serię piramidalnych wymogów i ograniczeń) powstały w czasach, gdy wieże WTC jeszcze stały na Manhattanie jako symbol końca historii. W kwestii historii, to wróciła ona szybko na pierwszy plan, ale tylko jako seria powtórek z wariacjami wszystkich najgorszych spłowiałych scenariuszy. Tymczasem biotechnologia przez ten czas poczyniła realne, dające nadzieję postępy.

W interesującym nas tu obszarze chodzi przede wszystkim o tanią i prostą technikę tzw. edycji genów, znaną pod akronimiem CRISPR-Cas9. Jej twórcy już zdążyli dostać Nobla, a nam w perspektywie straganu wystarczy wiedzieć, że dają one precyzyjne nożyczki i dłutko, pozwalające np. przenosić kawałeczki genomu między różnymi odmianami tego samego gatunku rośliny lub zwierza, albo wyciszać geny tak,

FAUSTUDIO / ADOBE STOCK

by w końcowym efekcie uzyskać np. zboże o niższej zawartości glutenu, pomidory pełne wartościowego aminokwasu czy rozmaite inne plony bardziej odporne na suszę lub choroby. Albo np. bydło bez rogów – co oszczędza zwierzętom bólu przy ich obcinaniu.

To, co ważne: nie następuje tu żadne mieszanie gatunków, dlatego mówi się o nowych roślinach, iż są cisgeniczne, w odróżnieniu od „oldskulowego" GMO, dającego organizmy transgeniczne (może ten trans- i cis- podziałał tak sugestywnie na korę przedczołową posłów PiS). Po drugie, dla urzędników unijnych pierwszorzędnym kryterium dopuszczenia na rynek jest fakt, iż tzw. nowe techniki genetyczne dają wyłącznie zmiany, jakie mogłyby zaistnieć samoistnie w przyrodzie – tyle że przypadkowo, za ileś tysięcy lat itd. Tu zaś jakbyśmy delikatnie popychali palcem ewolucję w pożądanym kierunku. Dlatego też często mówi się o „wspomaganej ewolucji", i ja ten termin lubię. Wchodzą w ich skład rozmaite działania, np. pasjonujący mnie po godzinach projekt przenoszenia zamrożonych gamet koralowców z Curaçao na Florydę, żeby pomóc tym cennym organizmom szybciej się przemieszczać, z widokiem na ich większą odporność w cieplejszej wodzie. Albo poddawanie roślin takim warunkom wzrostu, żeby miały w ciągu roku sześć cyklów owocowania, co pozwala szybciej selekcjonować rokujące kombinacje.

To jest tak zwane „selektywne rozmnażanie". Cierpnie wam wasza *eco-friendly* organiczna skóra? Ależ przecie to nic innego jak poczciwe krzyżówki w sadzie i warzywniku, tyle że przyspieszone. Ktokolwiek ceni sobie różnicę między wcze-

snymi papierówkami (juhu, to już za kilka dni!) a malinówkami z końca września, nie powinien reagować obronnie. Wasz ulubiony arbuz bez pestek to dziecko mutagenezy indukowanej chemicznie – używa się toksycznej kolchicyny, żeby osiągnąć bezpłodność. Lubicie pewnie ryż do risotta – Włosi już od dawna katowali swoje odmiany trującym metasulfonianem etylu, by uzyskać genetyczną zmianę dającą roślince odporność na herbicydy niezbędne w uprawie, bo przecież pole ryżowe to nie jest żaden „naturalny" ekosystem.

A jednak takie praktyki nie wywołują pikiet i manifestacji, nie pojawiają się na spiskowych fanpejdżach. Może po prostu wizja „mutantów", psów z łbem świni, lepiej się nadaje do podsycania lęków, magicznych w nas odruchów chowania się z powrotem w wody płodowe praludzkości. Rzeczywistość jest skomplikowana, ale potrafilibyśmy ją zrozumieć i ocenić w większym stopniu, gdyby nie zbyt gorliwi dilerzy tępych uproszczeń. Czy jakaś technika wspomaganej ewolucji przydałaby się też ludziom, byśmy płodzili pokolenia mniej podatne na zbajerowanie? Zanim mi zarzucicie ohydne ciągoty ku eugenice, powiem wam, że raczej nie warto w to iść. Boję się, że na każdą mniemaną poprawkę ludzkość zaraz znajdzie jeszcze gorszy wytrych. Jesteśmy cierpkim jabłkiem i nic nas już nie posłodzi.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Gazpacho arbuzowe

Nigdy w dziejach naszej rubryczki – sięgających, przypominam, czasów, kiedy piliśmy „za najwyższego przywódcę, oby żył wiecznie" pomerola, ulubiony rocznik 2008, ustami naszego wysłannika, obecnego wicepremiera i jakoś trudno ocenić, ile od tego czasu się zmieniło – nie pojawiły się papierówki. Bo po prawdzie, co można z nimi zrobić? Poza zjedzeniem kilku ze smutkiem właściwym dla pierwszych dni po przesileniu, kiedy przez lornetkę widać już jesień. Podobnie antonówki, też już szykujące się na drzewach do dojrzałości – z nich będzie można zrobić pierwszą świeżą szarlotkę, ale jeszcze nie oszalałem z pychy, żeby wam opowiadać, jak się ją piecze, każdy i każda z was wie najlepiej. Tymczasem dzięki mutagenezie oraz logistyce mamy w sklepach całkiem porządne arbuzy. Bez pestek. Co akurat pomoże w przygotowaniu gazpacho, o czym za chwilę.

SKŁADNIKI:
400 g miąższu arbuza dwa duże pomidory bez skóry jedna mała szalotka lub czerwona cebula trzy garście miękkiszu białego chleba ▪ biały ocet winny ▪ oliwa ▪ feta

Teraz jeszcze tylko wam poradzę, że jeśli robicie grilla, możecie zapunktować u gości, przypiekając grube na ok. 3 cm plasterki tegoż arbuza, wcześniej polane suto stopionym masłem (żeby za szybko nie stracił całej wody i nie zniknął) i nasączone winem typu madera czy marsala. Grillujemy 2-3 minuty na stronę, tyle żeby pojawiły się apetyczne zwęglone ślady rusztu. Arbuz w takim podpieczonym wydaniu lubi się nie tylko z miętą, ale też z drobno posiekanym estragonem albo rozkruszonymi suszonymi kwiatami rumianku (te są lekko gorzkie i całkiem smaczne, szkoda, że traktujemy je tylko leczniczo).
Trochę to bez sensu, ale ładnie wygląda. Za to gazpacho jest znacznie prostsze – i na pewno daje więcej frajdy. Zwłaszcza w dni, kiedy jest taki upał, że żaden rozsądny człowiek nie rozpali grilla. Moczymy parę minut chleb w mieszaninie woda–ocet 1:1, odciskamy. Pomidory kroimy w kostkę, solimy i dajemy na sito na kwadrans, żeby puściły wodę. Miksujemy wszystkie podane składniki, jak najkrócej, dolewając cienką strużką dwie-trzy łyżki dobrej, gorzkawej oliwy, doprawiamy solą i pieprzem i koniecznie chłodzimy w lodówce. Na wydaniu oczywiście klasyk – czyli pokruszona feta lub ser szopski. Albo w wersji wegańskiej, zamiast serów, do podkręcenia świeżo utarta skórka cytryny. ©℗

RICKA KINAMOTO / ADOBE STOCK

PSYCHE

NIECH DOROŚLI COŚ Z TYM ZROBIĄ

Największym nieporozumieniem w debacie wokół tzw. zakazu mediów społecznościowych jest przekonanie, że chodzi o zakaz dla dzieci. A to big techy powinny wziąć odpowiedzialność za swoje dzieło.

MAGDALENA BIGAJ

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Był październik 2023 r., gdy świat obiegła wiadomość, że prokuratorzy generalni Stanów Zjednoczonych wytoczyli proces firmie Meta (właściciel Facebooka, Instagrama i WhatsAppa), oskarżając ją o projektowanie swoich produktów w sposób szkodzący nastolatkom. Ponieważ było to działanie bezprecedensowe, zastosowano typowe w takich sytuacjach testowanie systemu: trzydziestu trzech prokuratorów złożyło pozew zbiorowy, a ośmiu pozwy indywidualne.

Moment był przełomowy: po raz pierwszy w historii instytucje państwa rozpoczęły skoordynowaną ofensywę przeciwko właścicielowi platform społecznościowych – i to jeszcze w USA, kolebce social mediów. Trudno już było ten fakt zbyć hasłami o „hamulcowych postępu", jak często określano osoby i organizacje działające przeciwko VLOP-om, czyli wielkim platformom *online* (z ang. Very Large Online Platform).

A takich głosów nie brakuje i trudno się im dziwić. W końcu przez ostatnie dwie dekady wielu uwierzyło w dobroczynne skutki postępu technologicznego i czerpało zyski z promowania go. Coraz wcześniej wręczaliśmy dzieciom smartfony, by „nie były wykluczone" (z czego?), cyfryzowaliśmy szkoły, by uczyły kompetencji przyszłości (jakich?), zapraszaliśmy do rozmaitych ciał doradczych przedstawicieli big techów, wierząc, że zostaniemy tygrysami gospodarki cyfrowej (dla czyich korzyści?).

Powiadomienie od noża

Przez ostatnie dwie dekady towarzyszyła nam narracja, którą konsekwentnie powtarzali przedstawiciele platform: nasze produkty są narzędziem, jak nóż czy młotek, trzeba po prostu umieć się z nimi obchodzić. Żadne dostępne źródła nie informują jednak o istnieniu noża, który wysyła swojemu właścicielowi powiadomienia sprawiające, że nie można się oprzeć używaniu go. Opowieść o neutralnych mediach społecznościowych przenosiła odpowiedzialność na użytkownika, a w przypadku dzieci i nastolatków – na rodziców. I była bardzo skuteczna.

W drugiej dekadzie tego wieku debata publiczna i działania systemowe koncentrowały się z kolei na edukowaniu dzieci i młodzieży, które miało wspierać rzekomo niewydolnych wychowawczo w tym obszarze dorosłych. Wiele z tych działań było hojnie finansowanych przez firmy takie jak Google (właściciel YouTube'a), wspomniana Meta, a potem TikTok, które dotując pozarządowe, a nawet rządowe programy, budowały swój wizerunek podmiotów odpowiedzialnych społecznie, które – że zacytuję ich przedstawicieli – dokładają wszelkich starań, by ich produkty były bezpieczne dla nastolatków.

Zapytacie: a dla dzieci? Otóż, jak utrzymywali przedstawiciele VLOP-ów, dzieci w mediach społecznościowych nie ma, gdyż regulaminy platform pozwalają na założenie konta wyłącznie osobom powyżej 13. roku życia.

Niewiedza i biznes

Dlaczego przez tak długi czas podtrzymywano iluzję niewiedzy o istnieniu dzieci korzystających z mediów społecznościowych? Czy chodziło o niechęć do podcinania gałęzi, na której rozsiedli się dorośli?

Dzieci w sieci były świetnym biznesem: traciły poczucie kontroli nad czasem, klikały, skrolowały i trafiały do statystyk jako osoby powyżej 13. roku życia. Jeśli z opublikowanego właśnie raportu „Internet dzieci 2026" dowiadujemy się, że z mediów społecznościowych (wliczam w nie również YouTube'a, ze względu na możliwość komentowania, obserwowania się nawzajem i kontaktu użytkowników między sobą) wbrew regulaminowi korzysta 1,5 mln dzieci, to dokładnie o tyle spadłaby liczba użytkowników tych aplikacji, gdyby skutecznie ograniczyć im dostęp.

A mniej użytkowników to mniejsze zasięgi i mniejsze zyski. Trudno się dziwić, że nie było chętnych do podniesienia ręki prawa na firmy z amerykańskim kapitałem. Zwłaszcza wśród polityków, którym media społecznościowe oferują narzędzia oddziaływania na wyborców: taki obrażony TikTok mógłby realnie wpłynąć na wyniki wyborcze kandydata czy nawet całego ugrupowania.

Jaki jest internet dzieci

W Polsce kres twierdzeniom o nieobecności dzieci w mediach społecznościowych położył pierwszy raport „Internet dzieci". Zaprezentowany w marcu 2025 r., przedstawiał dane z narzędzi analitycznych Gemiusa, mierzących korzystanie z internetu co do sekundy.

Okazało się wtedy, że w grupie wiekowej 7-12 lat ponad połowa populacji to użytkownicy mediów społecznościowych. Że korzystają głównie z TikToka i YouTube'a – połowa wchodzi do nich od razu po przebudzeniu i tuż przed zaśnięciem. I że rośnie grupa dzieci spędzających na TikToku ponad dwie godziny dziennie.

A druga edycja raportu „Internet dzieci", zaprezentowana 15 czerwca br., potwierdziła to, co wynikało z badań deklaratywnych, publikowanych m. in. w raportach Naukowej Akademickiej Sieci Komputerowej (NASK) czy Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę.

Raport „Nastolatki wobec pornografii" NASK-u donosił o porażającej skali dostępu do pornografii, po którą codziennie sięga 20 proc. nastolatków w wieku 14-17 lat, i o obniżającym się wieku pierwszego kontaktu z takimi treściami, wynoszącym obecnie między 10 a 11 lat. I choć jesienią 2025 r. TikTok wspólnie z Fundacją SexedPl opublikował badanie, z którego wynikało, że blisko dwie trzecie młodzieży obcuje w aplikacji przede wszystkim z treściami edukacyjnymi, trudno dać temu wiarę. Symboliczna jest wypowiedź ósmoklasistki, która na jednym ze spotkań powiedziała do mnie: „Ilekroć wchodzę na TikToka, wyświetlają mi się materiały pornograficzne. Niech dorośli coś z tym zrobią, bo ja nie chcę tego widzieć".

Lobbyści i politycy

W czerwcu 2025 r., podczas prezentowania wyników raportu Sejmowej Komisji ds. Dzieci i Młodzieży, przedstawicielki Mety i YouTube'a nadal utrzymywały, że wiekiem startowym ich użytkowników jest 13. rok życia. Wiceminister cyfryzacji Michał Gramatyka upomniał mnie wówczas, że swoimi pytaniami sprawiam przykrość przedstawicielom VLOP-ów, którzy przecież angażują się w prace resortu cyfryzacji. ↦

↦ Nie była to zresztą jedyna jego wycieczka pod moim adresem; innym razem nazwał mnie „samozwańczym Robin Hoodem polskiego internetu", co zresztą bardzo mi schlebiło: jeśli Robin Hood odbierał bogatym i oddawał biednym, to moje środowisko stara się odzyskać czas odbierany nam przez rozmaite manipulacyjne rozwiązania zaprojektowane w platformach społecznościowych. Pytaniem otwartym pozostaje, kto w tym układzie jest szeryfem z Nottingham.

Ale polski wiceminister cyfryzacji nie jest jedynym politykiem, któremu trudno się pogodzić z krytyką big techów. A firmy technologiczne włożyły wiele wysiłku w zapewnienie sobie wsparcia. W 2024 r. Parlament Europejski liczył 720 europosłów. W tym samym czasie przy unijnych instytucjach akredytowano 860 lobbystów reprezentujących największe firmy technologiczne świata. Innymi słowy: na każdego eurodeputowanego przypadał więcej niż jeden przedstawiciel branży big tech.

Według danych Reutersa i Europejskiego Trybunału Obrachunkowego, w Brukseli działa ok. 29 tys. lobbystów związanych z sektorem technologicznym – najwięcej reprezentantów mają Google, Meta, Apple, Amazon i Microsoft. Tylko w 2024 r. big techy przeznaczyły na oficjalne działania lobbingowe 151 mln euro.

W Polsce nie prowadzimy takiego rejestru, ale zarówno w Radzie ds. Cyfryzacji przy ministrze cyfryzacji, jak i w Radzie Nowych Mediów przy prezydencie RP znajdziemy specjalistów od *public relations* lub *public affairs* właścicieli trzech głównych VLOP-ów: Mety, Google'a i TikToka.

Zmęczeni od skrolowania

W mojej pracy spotykam wielu nastolatków, rodziców i nauczycieli. Od lat obserwuję ich rosnący niepokój i niezadowolenie, których jednak nie powodują wyniki badań, lecz sytuacja we własnym domu. Oto bowiem zaczynamy się mierzyć z pierwszymi konsekwencjami niekontrolowanej inicjacji cyfrowej, w postaci zaburzeń zdrowotnych związanych z negatywnymi porównaniami czy problemami z koncentracją, albo stresu wynikającego z przenikniętych przemocowymi zachowaniami grup klasowych na komunikatorach.

O tym ostatnim niezwykle wnikliwie piszą autorki raportu „Dziewczynki i komunikatory", wydanego w 2025 r. przez Fundację Kosmos dla Dziewczynek. Kiedy dziecko budzi się i widzi kilkaset nieprzeczytanych wiadomości w wątku klasowym, jego pierwsza myśl dotyczy tego, czy ktoś się właśnie z niego nie nabija.

Książkę „Twój telefon, twoje zasady. Jak dzięki higienie cyfrowej żyć po swojemu?" kierowałam do młodzieży i młodych dorosłych, dużo uwagi poświęciłam więc poznaniu ich punktu widzenia. Spodziewałam się, że usłyszę o obniżonej samoocenie, negatywnym stosunku do własnego ciała czy doświadczaniu przemocy, tymczasem młodzi mówili przede wszystkim o tym, że z powodu używania godzinami mediów społecznościowych mało śpią, gorzej się uczą lub nie mają czasu na pasje. W ich opowieściach pojawia się przede wszystkim TikTok, a usunięcie aplikacji społecznościowych z telefonu wskazują jako klucz do zapanowania nad czasem ekranowym.

Te osobiste doświadczenia odbijają się w ogólnopolskich badaniach higieny cyfrowej – zarówno w grupie dorosłych, jak młodzieży ponad połowa respondentów uważa, że spędza przed ekranem dużo lub za dużo czasu. I choć w debacie o używaniu internetu odchodzi się od samego czasu ekranowego, to jednak subiektywne odczucia użytkowników są ciekawe. Otóż, jesteśmy zmęczeni od skrolowania.

Algorytmy wysokiego ryzyka

Nie kwestionuję faktu, że w mediach społecznościowych można znaleźć treści edukacyjne ani tego, że dla wielu nastolatków mogą być one wsparciem. Mówi o tym wiele interesujących raportów, choćby „Pozytywny internet i jego młodzi twórcy" pod redakcją Jacka Pyżalskiego. Bez wątpienia mówimy tu o przedmiotach codziennego użytku.

Są to jednak przedmioty wysokiego ryzyka, które niewiele już mają wspólnego z proostymi serwisami do odnajdywania znajomych. Zresztą ich twórcy od dawna nie kryją się ze swoimi intencjami. W doskonale udokumentowanym reportażu „W trybach chaosu", pióra Maksa Fishera, znajdziemy wiele wypowiedzi twórców Facebooka i innych platform, także tych związanych z grami cyfrowymi, że ich celem jest również doprowadzenie do utraty kontroli nad uwagą i spożytkowanie tego, co Shoshana Zuboff nazywa nadwyżką behawioralną.

Biorąc jednak pod uwagę fakt, że blisko połowa polskich nastolatków w dni wolne od szkoły skroluje ponad 7 godzin dziennie, a co dziesiąty nawet do dwunastu godzin (odwołuję się do badania dostępnego na stronie higienacyfrowa.pl), wygląda na to, że platformy starają się zagarnąć znacznie więcej niż nadwyżkę. Jest to możliwe dzięki projektowaniu produktów cyfrowych z wykorzystaniem wiedzy o słabościach ludzkiej psychiki, często obecnych również w grach hazardowych. Oraz oczywiście dzięki projektowaniu algorytmów podsuwających nam treści, które mają wywołać silne emocje: lęk, złość czy radość.

Dziś mamy więc do czynienia z mediami nie społecznościowymi, lecz algorytmicznymi. Algorytmy zaś projektowane są tak, by realizować cele biznesowe właścicieli platform i ich klientów. W obliczu tego przekonanie, że media społecznościowe służą naszemu indywidualnemu rozwojowi, jest nieporozumieniem i całe szczęście, że zaczynamy z tej iluzji wychodzić.

Chcemy pomocy od państwa

Świadczą o tym nie tylko rozmaite zakazy, wprowadzane lub dyskutowane w kolejnych krajach. We Włoszech rusza właśnie proces zbiorowy rodziców, którzy oskarżają Metę i TikToka o podsuwanie dzieciom treści, które pogłębiły ich kryzys psychiczny i prowadziły do samobójstw. W obliczu opisywanych tragedii wyjątkowo cyniczne wydaje się oświadczenie Mety, że „wpływ platform społecznościowych zależy od sposobu ich użytkowania, obowiązujących zabezpieczeń oraz poziomu zaangażowania rodziców".

Bo rodzice mówią co innego. Z badania przeprowadzonego przez organizację More in Common wynika, że aż 85 proc. z nich czuje się bezradne wobec zagrożeń w sieci i domaga się od państwa wsparcia i konkretnych działań. I bardzo słusznie: skoro państwo pozwoliło, by w internecie oferowano nam konkretne produkty i usługi, mamy prawo domagać się jako obywatele, aby – wzorem innych gałęzi gospodarki – spełniały one określone standardy i były dla nas bezpieczne.

Dla każdego, nie tylko dla dzieci i nastolatków. Bo, jak słusznie zauważa suicydolożka i pedagożka Lucyna Kicińska, nie ma takiego wieku, w którym natknięcie się w mediach społecznościowych na pornografię, przemoc czy inne drastyczne sceny jest bezpieczne.

Australia i inni

Nakładanie przez kolejne kraje rozmaitych zakazów na gospodarkę cyfrową nie jest ograniczaniem komukolwiek wolności. Czy jakikolwiek rozumny człowiek uważa za ograniczenie wolności takie rozwiązania, jak np. cezura wiekowa w prawie jazdy, certyfikacja produktów farmaceutycznych i żywnościowych lub standardy sanitarne? Traktujemy je raczej jako wyraz chronienia przez państwo swoich obywateli.

Spoglądając na to z tej perspektywy, tzw. zakaz mediów społecznościowych jest po prostu narzędziem edukacyjnym i motywacyjnym dla producentów produktów i usług cyfrowych. Największym nieporozumieniem debaty wokół nich jest przekonanie, że chodzi o zakaz dla dzieci.

Australia, która stała się w tej kwestii światowym laboratorium, nałożyła na firmy technologiczne zakaz udostępniania osobom poniżej 16. roku życia określonych produktów, których katalog jest znacznie szerszy niż media społecznościowe. To dlatego używam sformułowania: tzw. zakaz mediów społecznościowych.

Fraza ta stała się potocznym określeniem, które z jednej strony pozwala szybko skojarzyć temat, z drugiej może jednak rodzić przekonanie, że to znowu po stronie użytkownika leży odpowiedzialność. Tymczasem tym, co przełomowe w ruchach kolejnych krajów, jest właśnie zmiana podejścia z odpowiedzialności konsumenta na odpowiedzialność producenta. Analogii należy szukać w dostępie do alkoholu: jeśli dziecku udałoby się kupić wódkę, nie spotka go za to kara, w przeciwieństwie do sprzedawcy, który w ten sposób złamał prawo.

Śladem Australii idą kolejne kraje, choć różnią się na poziomie katalogu produktów lub metod egzekwowania zakazu (kontrolowanie stosowania nowego prawa, czyli weryfikacja wieku użytkownika, to nie lada wyzwanie). W tej grupie są Francja, Norwegia, Hiszpania, niektóre stany USA, ostatnio dołączyła Wielka Brytania.

Gospodarkę cyfrową trzeba objąć wymogami, jakie obowiązują w innych gałęziach gospodarki. Potrzebujemy europejskiej **klasyfikacji produktów i usług cyfrowych pod względem ryzyka.**

Skutecznego ograniczenia dostępu do cyfrowych produktów ryzyka poszukuje się także na forum UE. Na początku tego roku premier Grecji zażądał od Komisji Europejskiej wypracowania rozwiązania wspólnego dla wszystkich krajów członkowskich. Biorąc pod uwagę obecną sytuację geopolityczną i niechęć do konfliktowania się z Donaldem Trumpem, wydaje się lepszą strategią niż indywidualne krajowe polityki.

Szkodliwe składniki

Zakaz nie jest jednak rozwiązaniem totalnym. To raczej półśrodek, za którym powinny iść regulacje zmuszające producentów do poprawienia swoich produktów.

Gospodarkę cyfrową należy objąć wymogami, jakie obowiązują w innych gałęziach gospodarki. Potrzebujemy co najmniej europejskiej klasyfikacji produktów i usług cyfrowych pod względem ryzyka. Na pytanie, czy w danej aplikacji istnieje ryzyko kontaktu z pornografią czy scenami przemocy, wszystkie VLOP-y musiałyby zaznaczyć odpowiedź twierdzącą. I nie pomogłyby zapewnienia o „dokładaniu wszelkich starań".

Wówczas np. ustawa o pornografii, jaką proponuje nasze Ministerstwo Cyfryzacji, nakładałaby obowiązki nie tylko na serwisy pornograficzne *sensu stricto*, ale także na platformy algorytmiczne i komunikatory, które stanowią jedno z głównych źródeł kontaktu dzieci z pornografią. Bo dlaczego serwis pornograficzny, który wyświetlił dziecku taki materiał, ma zostać ukarany, a TikTok już nie?

Każdy producent oferujący w Europie swoje produkty i usługi cyfrowe powinien raportować ich skład, wzorem opakowań produktów żywnościowych czy kosmetycznych. Czy w danej aplikacji stosowane są mechanizmy hazardowe? Czy wykorzystywane są funkcje prowadzące do utraty kontroli, jak *infinite scroll*? Czy dopuszczalne jest kontaktowanie się z osobami nieznajomymi?

Gdyby owe „składy" produktów cyfrowych były powszechnie znane, poradzilibyśmy sobie z lobbingową ślepotą ustawodawców. Trudno by było także zakwestionować potrzebę wdrażania takich aktów jak DSA (Akt o Usługach Cyfrowych), którego podpisania odmówił prezydent Karol Nawrocki.

Jako obywatele i obywatelki mamy prawo do tych informacji. A jeśli Polska i kraje Europy nadal będą zwlekać z zapewnieniem nam prawa do bezpiecznego środowiska do życia, doczekamy się procesów wytaczanych nie VLOP-om, lecz Skarbowi Państwa. Skoro mamy w Polsce wygrane procesy o prawo do czystego powietrza, dlaczego nie mielibyśmy w taki sposób wywalczyć sobie prawa do bezpiecznego internetu?

© MAGDALENA BIGAJ

Autorka jest prezeską fundacji Instytut Cyfrowego Obywatelstwa. Medioznawczyni, autorka książki „Wychowanie przy ekranie" oraz „Twój telefon, twoje zasady".

TOMASZ

Stawiszyński: *Przenośnia Stanowskiego*

W nagraniu opublikowanym kilka dni po wypowiedzi o „babsku obrzydliwym, które powinno się trzymać na rynku rozebrane do naga, przypięte do jakiegoś słupa”, Krzysztof Stanowski powyższe słowa z nieskrywaną dumą podtrzymał, a na dodatek przedstawił ich brawurową interpretację. Z widocznym przekonaniem, że oto wyciąga teraz z rękawa jakiegoś asa, ogłosił mianowicie, że z tym „rozbieraniem” i „przypinaniem do słupa” to była po prostu „przenośnia”. Nie chodziło mu więc wcale o to, żeby urzędniczkę skarbówki naprawdę „trzymać na rynku rozebraną do naga, przypiętą do jakiegoś słupa”. Chodziło wyłącznie o to, żeby błysnąć nietuzinkową alegorią i mrugnąć przy okazji okiem do grona widzów-erudytów kanału Zero. Wszak każdy obyty człowiek rozumie, że publiczne „rozbieranie do naga” i „przypinanie do jakiegoś słupa” to nawiązanie do słynnej sceny z „Gry o tron”. Tym zaś, którzy alegorii nie zrozumieli, Stanowski z właściwą sobie subtelnością zakomunikował, że mogą mu „naskoczyć” oraz „pocałować go w d...”. Ale od razu przy tym zaznaczył, że w żadnym razie nie zachęca nikogo do faktycznych „podskoków”, bądź też „zbliżania się do jego pośladków”, lecz – znowu – stosuje jedynie wyrafinowany środek stylistyczny. Nie da się ukryć – szach-mat!

Muszę powiedzieć, że jest to wykładnia tak oryginalna, że aż pod pewnym względem ujmująca. Owszem, znaczenie i funkcja słów zmieniają się z kontekstem i konwencją. Czym innym są przekleństwo czy obelga, kiedy padają w kłótni i na poważnie, czym innym zaś, kiedy słychać je w komediowej scenie. Niemniej pomysł, że wypowiadane publicznie pod czyimś adresem wulgarne słowa lub pogróżki tylko wtedy stanowią problem, kiedy wypowiadający traktuje dosłownie to, co mówi – stanowi propozycję, jak się wydaje, wysoce innowacyjną.

Zastosowanie jej w praktyce oznaczałoby *de facto* zniesienie podziału na sformułowania obraźliwe i nieobraźliwe, na groźby oraz wcielanie tych gróźb w czyn. X nie mógłby mieć odtąd pretensji, że Y określa go z pomocą słowa oznaczającego męskie lub żeńskie narządy płciowe, o ile Y nie żywiłby przy tym przekonania, że X faktycznie owymi narządami jest. Takie niemile dziś widziane w kulturalnych kręgach zwroty, jak „ty ch...” albo „ty p...”, weszłyby więc do powszechnego obiegu, nikt nie brałby ich bowiem za zniewagę. Stawałyby się nią dopiero w połączeniu z czyjąś głęboką wiarą, że ktoś inny jest „ch...” lub „p...”. A jeśli by jakiś nadwrażliwiec jednak reagował na nie urazą, odpowiadałoby się mu po prostu: „Nie uważam, że naprawdę jesteś ch... lub p... To zwyczajnie niemożliwe, jako przedstawiciel gatunku *Homo sapiens* posiadasz narządy płciowe, ale nie możesz nimi być. Metafora, głupcze!”. I byłoby zaraz po sprawie.

Podobnie popularne w wielu językach zwroty „p... się” nieodwołalnie straciłyby swój inwazyjny potencjał. Przecież wiadomo, że – w sensie ścisłym – nikt nie jest w stanie odbyć stosunku płciowego z samym sobą. Są to z definicji metafory, nie byłoby żadnego powodu, żeby się nimi przejmować, można by było ich swobodnie używać przy dowolnie wybranej okazji.

Z groźbami sprawa przedstawiałaby się analogicznie. Zgodnie z interpretacją Stanowskiego, w sytuacji, w której Y zapowiadałby, że zastrzeli albo poderżnie gardło X-owi – lecz nie żywiłby po temu szczerego i prawdziwego zamiaru – nie wolno by nam było robić Y-grekowi najmniejszych kłopotów. Dopóki nie planowałby zrealizować tego, co zapowiada, dopóty posługiwałby się językiem w sposób „metaforyczny”.

Skąd zaś właściwie mielibyśmy wiedzieć, kiedy ktoś mówi poważnie, a kiedy stosuje „przenośnię”? Wyłącznie z jego deklaracji, ma się rozumieć. W swoich głowach nawzajem nie siedzimy. Nie mamy dostępu do cudzych stanów wewnętrznych, a zatem w każdym przypadku deklaracja „to była metafora” musiałaby kończyć dyskusję. Dokładnie tak, jak skończyć ją chciał Stanowski, choć nie powiedziałbym, że mu się ten zamiar udało pomyślnie zrealizować.

A mówiąc poważnie, cała ta historia to mieszanina zgrozy i groteski. Z jednej strony obelżywa, chamska wypowiedź, która, co typowe w mediach „społecznościowych”, od razu wywołała potok rechotu, aplauzu, bluzgów i podobnych fantazmatów. Z drugiej strony tłumaczenie, które jest tak kuriozalne, że chyba samo ma charakter „metaforyczny”. Fakt, mnóstwo profili, ośrodków medialnych i osób, które się wypowiedzią Stanowskiego demonstracyjnie oburzają, to dystrybutorzy nienawiści, pogardy i szyderstw, tyle że z drugiej strony barykady. Zgoda, ich strojenie się w piórka moralistów to hipokryzja. Podobnie prawdą jest, że urzędy i urzędnicy skarbówki stosują często najbardziej niekorzystne dla obywateli interpretacje, jak również zachowują się w sposób złośliwy i daleki od jakkolwiek pojmowanego pożytku publicznego.

Nie zmienia to jednak faktu, że posługiwanie się takimi „przenośniami”, jakimi posłużył się Stanowski, wyznacza nowy etap w dziejach degrengolady polskiego dyskursu publicznego. I nie służy niczemu poza poszerzaniem i pogłębianiem oceanu nienawiści, pogardy i szyderstw, w którego odmętach wszyscy toniemy. Doprawdy, trzeba być albo skrajnym cynikiem, albo człowiekiem o wyjątkowo wąskich horyzontach, żeby tego nie widzieć, a może raczej tylko udawać, że się tego nie widzi.

Przy czym słowa „horyzont” użyłem tu oczywiście w trybie metaforycznym. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd”. Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem”, „Ucieczki od bezradności”, „Reguł na czas chaosu” i „Powrotu fatum”.

Albatros travel

Albatros 40 lat

Andaluzja Olé!

NOWOŚĆ

Wybierz się w podróż do serca Hiszpanii i zanurz się w fascynującą historię Andaluzji, zachwycające widoki i ciepłe słońce Costa del Sol.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Malagi, transfer do hotelu w La Cala de Mijas. **Dz. 2** Wycieczka do białego miasteczka – Frigiliany i nadmorskiego miasta Nerja. **Dz. 3** Zwiedzanie Malagi jedną z trzech tras oraz degustacja wina w lokalnym barze winiarskim. **Dz. 4** Wycieczka do Rondy – spektakularnie położonego górskiego miasteczka. **Dz. 5** Wycieczka do Sewilli – zwiedzanie, spacer po historycznej dzielnicy miasta i czas wolny. **Dz. 6** Wycieczka do Granady – miasta spotkania kultur i słynna Alhambra. **Dz. 7** Dzień do własnej dyspozycji lub wycieczka do Gibraltaru (nie wliczona w cenę). **Dz. 8** Wylot z Malagi do Warszawy.

8 dni | **Wylot z Warszawy 03/02 2027** | od **3.948,-**

2 posiłki dziennie

Japonia – święto kwitnącej wiśni

Zobacz kwitnące drzewa wiśniowe na półwyspie Izu i wszystkie największe atrakcje Japonii – od tętniącego życiem Tokio po historyczne Kioto i Hiroszimę.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Tokio. **Dz. 2** Przylot do Tokio. Świątynia shinto Meiji Jingu i Shibuya. Powitalna kolacja. **Dz. 3** Tokio. Świątynia Asakusa, wieża telewizyjna Skytree, dzielnica sklepów Ginza i Pałac Cesarski. **Dz. 4** Tokio – dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 5** Pociągami Shinkansen i regionalnym do miasta Shimoda na półwyspie Izu. Święto kwitnącej wiśni „hanami". Kolacja. **Dz. 6** Shimoda. Zwiedzanie miasta oraz świątyń Ryosenji i Chorakuji. Kolacja. **Dz. 7** Przejazd pociągiem regionalnym i shinkansen do Kioto. Targ Nishiki i urocza dzielnica gejsz Gion. **Dz. 8** Całodzienna wycieczka z obiadem do Hiroszimy i na wyspę–świątynię Miyajima ze słynną czerwoną bramą torii. **Dz. 9** Kioto. Złoty Pawilon, zamek Nijo, wizyta w ogrodzie zen i spacer po bambusowym lesie w Arashiyama. Pożegnalna kolacja z wołowiną wagyu w menu. **Dz. 10** Transfer na lotnisko Kansai i wylot do Polski. **Dz. 11** Przylot do Warszawy.

11 dni | Wyloty z Warszawy 09/02, 16/02, 18/02 2027

od **15.998,-**

REKLAMA

2 posiłki dziennie

Wielka Bałkańska Przygoda

Historyczna podróż przez 6 bałkańskich krajów dawnej Jugosławii od Serbii przez Bośnię i Hercegowinę, Chorwację, Czarnogórę i Kosowo aż do Macedonii Północnej.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Belgrad. Przyjazd do stolicy Serbii. **Dz. 2** Belgrad. Zwiedzanie miasta, w tym Fort Kalemegdan i Muzeum Jugosławii. **Dz. 3** Belgrad – Sarajewo. Sremska Metrovica i rezerwat przyrody Zasavica. **Dz. 4** Sarajewo, Bośnia i Hercegowina. Zwiedzanie miasta, w tym Muzeum Tunelu i Starego miasta. **Dz. 5** Sarajewo – Jablanica – Mostar. Muzeum w Jablanicy i zwiedzanie miasta Mostar. **Dz. 6** Mostar – Dubrownik – Trebinje. Zwiedzanie Dubrownika i Trebinje. **Dz. 7** Trebinje – Kotor – Cetinje – Podgorica. Piesza wycieczka po Kotorze, przejazd przez góry do Njigusi i królewskiego miasta Cetinje. **Dz. 8** Podgorica – Kolasin. Zwiedzanie miasta, podróż do Kolasina i wizyta w P.N. Biogradska Góra. **Dz. 9** Kolasin – Prisztina, Kosowo. Czas wolny w Kolasinie, pomnik Kosowa i przyjazd do Prisztiny. **Dz. 10** Prisztina – Skopje. Klasztor Gracanica i rejs w wąwozie Matka. **Dz. 11** Skopje. Zwiedzanie miasta i czas wolny. **Dz. 12** Skopje – Warszawa. Wylot do Polski.

12 dni | Wylot z Warszawy 20/09 2026, 16/05, 19/05 2027

od **7.998,-**

albatros.pl
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.
rezerwacja +48 22 128 48 81

Kod reklamy: **TP14**

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe

SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ **SUBARU SAFE8**

WIĘCEJ NA **SAFE8.SUBARU.PL**

8 LAT GWARANCJI
SUBARU SAFE8

REKLAMA

SUBARU

PARTNERZY SUBARU

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU
KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS
warta.
ERSTE Leasing
ENEOS MOTOR OIL
ERGO HESTIA
YOKOHAMA